

Kinga Izdebska

Biuro kotów znalezionych

Kociarstwo bez przesądów

Wydawnictwo WAB

***Rozdział pierwszy, w którym kichnęłam
i porzuciłam bezsilność***

– A psik! – Udawane kichnięcie miało usprawiedliwić łzy, które płynęły mi po policzkach. W pracy się nie płacze, kichnąć zawsze można.

Na ekranie mojego komputera widniało zdjęcie małej kotki z azyłu Koci Dom. Jej historia składała się z samych nieszczęść. Stąd łzy. Podobno człowiek bombardowany tragicznymi wiadomościami i drastycznymi zdjęciami izoluje się i uodpornia, by zachować równowagę psychiczną. Ze mną działo się odwrotnie.

– Na zdrowie – odpowiedział kolega. Nie zauważył? Był taktowny? Wszystko jedno. Grunt, że udało mi się uniknąć tłumaczenia współpracownikom, iż na nieszczęście zwierzęcia reaguję płaczem. W biurze trudno nie rozmawiać na aktualne tematy, poznałam więc

opinie moich kolegów w sprawie bestialskiego traktowania zwierząt. Przeważały wśród nich sądy skrajne: „Ja bym tych dręczycieli...”, jak również powtarzane w kółko – także w mediach – zdanie: „Od rzymczka do koniczka”, czyli że zabicie zwierzęcia dla zabawy może prowadzić do zabicia człowieka. Słyszac tę ostatnią opinię, zastanawiam się, dlaczego dopiero strach przed ewentualnym popełnieniem morderstwa przez dręczyciela zwierząt ma nam uświadomić, że znęcanie się nad każdym stworzeniem jest złem.

Na monitorze wyskoczyło powiadomienie o nadejściu nowej wiadomości: to Monika pisała, że szuka kota do wzięcia. Dojrzała do tej decyzji po stracie poprzedniej kociej towarzyszki. To ona przysłała mi kilka zdjęć zwierzaków potrzebujących domu. Zastanawialiśmy się wspólnie, który kot powinien trafić do niej. Trudna decyzja. Moja koleżanka marzyła o rudzielcu, okazało się jednak, że nawet wśród bezdomnych kotów taka maść to rarytas. Szukałyśmy więc dalej. Zwykle unikałam stron i ogłoszeń kocich w internecie (nawet nie z uwagi na możliwość wzruszenia się i niechęć do pokazywania światu zapłakanej twarzy, lecz z poczucia bezsilności i wściekłości w obliczu krzywdy zwierząt). Tym razem było inaczej. Mogłam autentycznie pomóc koleżance i kotu, którego sobie wybierze.

Kilka minut po moim udawanym kichnięciu Monika napisała: „Mam!”. Znalazła ogłoszenie osoby, która zabrała osieroczone kocię z piwnicy. Zwierzątko było rude, za wcześniej pozbawione matki, a w dodatku chore. Monika postanowiła, że odchowa malucha. Miała już

w tym doświadczenie: poprzednią kotkę uratowała, pielęgnując ją i karmiąc sama. No, może niezupełnie sama, bo z pomocą swojego psa, który przez całe życie będąc bojowo nastawiony do kotów, na starość został przykładną niańką.

Pierwsze zwycięstwo nad bezsilnością zawróciło mi w głowie, ale nie na długo. Internetowa strona Kociego Domu przywabiła mnie i zaglądałam na nią coraz częściej, szukając rozwiązania i dla siebie, i dla zwierząt.

Następną historią powodującą u mnie udawane kichanie była sprawa „Marusi – koteczki bez noska”. Już sam tytuł ogłoszenia, w którym do opisu defektu kotki użyto wyłącznie zdrobnień (koteczka, nosek), brzmiał jak reklama kiepskiego horroru lub nagłówek w brukowcu. Koszmar nadmiaru zdrobnień w połączeniu z faktycznym stanem kotki. Problem Marusi polegał nie tyle na niewykształconym nosie, bo ten, choć cofnięty jak u persa i wyjątkowo mały, był widoczny na zdjęciach, ile na niedrożnych przewodach nosowolżowych. Niestety, oprócz wklęsłego nosa, kotka nie mogła się poszczycić żadnym innym atrybutem perskiego kota, niczym odchudzona do granic możliwości modelka, której zabrakło przy tym wymaganego wzrostu, urody i bujnych włosów. Co gorsza, kotkę znaleziono skrajnie wyczerpaną, bo mając trudności z oddychaniem, nie umiała zdobyć pożywienia ani go pogryźć i przełknąć.

Zebrałam się na odwagę i napisałam do ogłoszeniodawcy. Okazała się nim sympatyczna dziewczyna o imieniu Lena, wyraźnie

ucieszona moim zainteresowaniem. Nie mogłam jej wprawdzie obiecać konkretnej pomocy, ale dzięki nawiązanemu kontaktowi zaczęłyśmy ze sobą korespondować. Lena była wolontariuszką, ale nie w azylu Koci Dom, lecz w zaprzyjaźnionej z nim fundacji o nazwie Ciach. Przyjrzałam się tej instytucji, wchodząc na jej stronę internetową. To, co tam znalazłam, przekonało mnie do niej ostatecznie: nowoczesność, wręcz elegancja w treści i w formie, minimalizm i konkret, cechy raczej niekojarzone z nawiedzonymi kociażkami i pękającymi w szwach schroniskami. Bo też okazało się, że Ciach nie jest schroniskiem, lecz – mówiąc dosadnie – kastratornią. Jedynym takim miejscem w Warszawie, a może i w Polsce, które zajmuje się kotami bezdomnymi i zarazem dzikimi, lecząc je i pozbawiając możliwości rozmnażania. Nie udomawia, nie szuka opiekunów, tylko kastruje i zwraca wolność. Byłam zachwycona, czytając o tym, że funkcjonuje ośrodek, który usuwa przyczynę, a nie skutek. Oto lek z prawdziwego zdarzenia, powiedziałam sobie i poprosiłam Lenę o wskazówki, jak się zostaje wolontariuszką i co należy potem robić. Odpisała, że najlepiej będzie, jeśli zacznę pisać teksty na fundacyjny blog. Oczywiście, że dla fundacji cenne byłyby artykuły o kotach, a ja w tej kwestii akurat niewiele miałam do powiedzenia. I właśnie wtedy zaczął kiełkować pomysł, żeby założyć dom tymczasowy - przystanek w drodze do domu stałego, rozwiązanie chwilowe i awaryjne.

 Nie miałam wtedy kota ani żadnego innego zwierzęcia. Kilka

miesiący wcześniej zmarła kotka Aura, która przez ponad piętnaście lat mieszkała ze mną i z mamą. Wrosła w nasz dom i życie tak bardzo, że stała się w jakiś sposób niewidoczna, oczywista. Pomimo że nie wyrwała się specjalnie przed innych zawodników, najpewniej żyłaby dłużej, gdybym jej nie zaniedbała, gdybym dostrzegła, że coś jej dolega i że traci apetyt. Mama, owszem, często powtarzała, że kocica znowu robi sobie głódówkę, ale nie była to wiadomość z ostatniej chwili, bo Aura zawsze wybrzydzała i w ogóle niewiele jadła. Skubnęła raz czy dwa, tyle, ile akurat chciała, i zazwyczaj wtedy, kiedy nikt nie patrzył.

Podzieliłam się moim pomysłem z Leną. Po wymianie kilku listów ustaliłyśmy, że mieszkamy blisko siebie i jadamy w tym samym miejscu, tylko o innych porach. Postanowiłyśmy się spotkać i pogadać o tym, jak miałyby wyglądać moja współpraca z fundacją Ciach i na czym polega prowadzenie domu tymczasowego dla kotów.

Jeszcze raz przyjrzałam się stronie internetowej. Wśród ludzi figurujących w zakładce „wolontariusze” wystąpiła jakaś erupcja talentów: ta fotografuje, ów jedną ręką robi strony www, a drugą maluje akwarele, wszyscy zaś w wolnych chwilach uprawiają łyżwiarstwo figurowe i specjalizują się w nurkowaniu głębinowym. Zmartwiłam się, czy ja bym pasowała do takiego grona, i zapytałam Reda, brata Moniki, co on by zrobił na moim miejscu.

– Ale o co chodzi? – zachrypiało w słuchawce, bo Red przeziębził się na treningu. – Przecież masz pomagać zwierzętom, a nie poje-

dynkować się, kto ma bardziej wypasione CV.

– Wkoło tej instytucji skupiły się osoby wyjątkowo uzdolnione. Pytanie, czy sprostaw zadaniu?

– Kwestia potrzeby. Każdy coś umie – powiedział. Zabrzmiało to jakby wzruszył ramionami. – Gdyby potrzebowali astrologa, też by się znalazł, co nie znaczy, że zaraz okazałby się geniuszem. Poza tym nie pchasz się na siłę. To oni ciebie chcą. A teraz wybac, muszę sobie pokaszleć.

Miał rację, można się tylko cieszyć, że ludzie, którzy coś potrafią, są w stanie zupełnie za darmo służyć swoim talentem sprawie, w którą wierzą. Zastanawiałam się, o czym miałabym pisać i czy poradziłabym sobie merytorycznie. Nie miałam raczej dużej wiedzy o kotach i prędzej odgrzebałabym anegdotę niż poradę.

Kamila to najbardziej wygadana osoba, jaką ta ziemia kiedykolwiek nosiła. Mogłaby zająć daleko w polityce. Nie dość że zgrabnie dobiera słowa i celnie nimi strzela całymi seriami, jeszcze mistrzowsko moduluje głos. Mogłaby, gdyby jej się chciało. Poza tym kocha zwierzęta i lubi z nimi pracować, więc zmiana branży w ogóle jej nie interesuje. Do pracy z właścicielami zwierząt nie podchodzi równie entuzjastycznie, jednak dzięki umiejętnościom interpersonalnym nabytym już w żłobku radzi sobie nawet z osobami, które po stracie psa nie są w stanie wysłuchać prośby o chusteczkę. A ma do czynienia z takimi sytuacjami, bo pracuje w oku cyklonu, czyli w rejestracji kliniki weterynaryjnej. Doszłam do wniosku, że i przez nią

mogę nawiązać kontakt z osobami pomagającymi zwierzętom. Tymczasem akurat ona sama do mnie zadzwoniła.

– Wyjątkowa okazja! – oznajmiła radośnie. – Niezwykle atrakcyjny sybiraczek chciałby znaleźć dom i uciec przed strzykawką.

– Dlaczego ten kot ma dostać śmiertelny zastrzyk? – dopytywałam. – Czy leczenie nie przyniosło rezultatów?

– On nie jest chory. Pomagam szukać nowego domu dla niego, a ty się znasz na internecie, to może machniesz jakieś zgrabne ogłoszenie?

– Jasne, postaram się pomóc. Zadzwonź za jakąś godzinę, a ja się rozejrzę.

Ucieszył mnie ten pomysł, bo wreszcie mogłam coś zrobić sama, zamiast biernie przyglądać się wysiłkom innych. Już sobie wyobraziłam, jak dzięki bohaterskiemu działaniu dołączam do panteonu gwiazd fundacji Ciach.

W czasie drugiej rozmowy z Kamilą dowiedziałam się czegoś więcej o sybiraczku, choć nadal dla żadnej z nas nie było jasne, na czym polega problem z tym zwierzęciem.

– No, powiedzieli – Kamila usiłowała opisać sytuację w domu młodych rodziców – że kot się rzuca.

– Co znaczy: „rzuca się”? Do gardła? Może dziecko ciągnie go za ogon? – dociekałam, odruchowo broniąc kota.

– To w ogóle nie tak. Dziecko jest na etapie oglądania wnętrza powiek tudzież sufitu, a jak coś nie pachnie mlekiem, to go wcale nie

interesuje.

– Noworodek?

– Całkiem „nowo”. Dopiero co wyrzwał z tunelu, a już natknął się na kłopoty.

– Czyli kot jest zwariowany, zestresowany i zazdrosny, atakuje niemowlę, a strapieni rodzice szukają wyjścia. – Usiłowałam uporządkować wiadomości. – Tylko że jeśli z niego taki gagatek, to nawet długie futro nie da mu przepustki do domu z dziećmi.

– Niczego nie zrozumiałaś, jest odwrotnie. – Kamila na pewno przewracała oczami, dziwiąc się mojej niedomyślności.

– Czyli rodzice atakują kota, bo są zazdrośni o dziecko?

– Coś w tym rodzaju. Kot lubi dziecko i gotów jest bronić je przed nieznanymi, na przykład przed dziadkami. Nie wnika. Kot jest dobroduszny, przyjaźni się z kuwetą, a przy tym zdrowy jak byk. Mimo to ma odejść albo spotkać się z Panem Morbitalem.

– Jakże to tak? Uśmiercić zdrowego? – Byłam oburzona, bo przecież z faktu, że kot nie może już mieszkać w tym domu, nie wynika, że nie może mieszkać nigdzie.

– Wczoraj się urodziłaś? Jednorożce i dziewice ci się marzą – zakpiła Kamila, być może tak samo oburzona, ale niewypadająca z roli.

– Chodzi o to, że za odpowiednią kwotę da się wszystko załatwić? – dociekałam.

– Jak zawsze. Załatw mu dom, załatw bez kasy, okej?

Kamila nie miała zapewne pojęcia, jak bardzo chciałam udowodnić, że istnieją jednorożce, i znaleźć dom dla kocura, oczywiście nie posuwając się przy tym do przekupstwa. Ciekawe, jak duże „kotkowe” trzeba by ustanowić, żeby chętniej brano pod swój dach koty. Zapewne podobnie jak w innych wypadkach nakłaniania ludzi pieniędzmi do nowych obowiązków, najbardziej ucierpieliby niewinni i bezbronni, czyli tu – koty.

Miałam plan, więc poprosiłam Kamilę o zdjęcie sybiraka i zabrałam się do tworzenia ogłoszenia zwanego na Facebooku wydarzeniem.

Warto tu wspomnieć, jak działa Facebook, bo wprawdzie jest to medium, o którym każdy słyszał, ale nie każdy z niego korzystał. Najłatwiej wyobrazić sobie niezwykle grubą książkę, w której każdy chętny może napisać jedną stronę o sobie, powklejać zdjęcia swoje, rodziny, kanarka i – ogólnie mówiąc – podzielić się tym, czym akurat chce. Inne osoby, przeglądając tę książkę, mogą natknąć się na naszą stronę i wykrzyknąwszy: „No nie! Przecież to Jadzia z wczasów!”, zaznaczyć tę stronę zakładką. Jeden użytkownik może mieć od kilku do kilku tysięcy zakładek, a swoje zakładki nazywa znajomymi. Oprócz zwykłych stron, które opisują ludzi, są też strony, na których przedstawiają się firmy, instytucje, sklepy, przedsiębiorstwa itp. Ponadto poszczególne osoby łączą się w określone grupy według zainteresowań. Największe znaczenie, jeśli chodzi o sprawę zwierząt, ma to, że możemy „tworzyć wydarzenia”, czyli osobne kartki z

informacjami, co, gdzie i kiedy ma się odbyć i czego oczekujemy od zaproszonych gości. Dodajemy też listę gości, a ci potwierdzają swój udział albo odrzucają zaproszenie, albo też ignorują całą sprawę, no bo kto by miał na takie rzeczy czas. Przypomina to przebywanie jednocześnie ze wszystkimi znajomymi w jednym domu, ale w osobnych pokojach. Napisałam, że sympatyczny, owłosiony arystokrata szuka ciepłego domu, w którym mógłby się skryć przed śmiertelną strzykawką. Ku mojemu zdumieniu ogłoszenie zdobyło ogromną popularność, a mój apel potraktowano poważnie i z troską. Pojawiły się głosy: „Jak, do cholery, można uśpić zdrowe zwierzę?”. „Prawo powinno tego zabraniać”. „Halo, czy to aby nie ścierna? Chyba jest za takie zabawy jakiś paragraf?”. Ucieszyło mnie bardzo, że jest nas, wierzących w jednorożce, więcej. Jednocześnie wiałam się jak piskorz, żeby odpowiadać na pytania, nie znając szczegółów życia kotka. Tylko czekałam, że ktoś w końcu napisze: „Jak nie masz o niczym pojęcia, to nie zwracaj nam głowy”.

Zamiast tego padło zdanie: „Kotek znalazł dom”. Napisała do mnie jedna z osób, która przejęła się sprawą kocura i postanowiła ją wyjaśnić. Udało jej się skontaktować z właścicielem kota. Ponoć przeżywał on dramat związany z koniecznością wyboru i wcale nie zamierzał usypiać sybiraczka. Możliwe więc, że przekazana mi przez Kamilę informacja została umyślnie przeinaczona, ewentualnie, że decyzja nie należała akurat do osoby, z którą moja korespondentka rozmawiała. Albo zawiniło nieobeznanie człowieka z naturą kota i

odczytanie nieobliczalnych zachowań zwierzęcia jako agresji skierowanej do ludzi, a to zapewne nasunęło wniosek, że kot nie nadaje się do adopcji. A ponieważ jest zbyt uzależniony od człowieka, nie może żyć na wolności. Dzięki rozmowom na temat sytuacji sybi-raczka dowiedziałam się, że dziwne i nowe zachowania zwierząt pojawiają się zazwyczaj w nowych dla nich warunkach i przeważnie są okresowe.

Zadzwoiłam do Kamili w związku z nagłą potrzebą doprecyzowania innego tematu.

– Słuchaj, ten kot, ta sytuacja...

– Pięknie poszło. Dzięki za pomoc. Nie miałam pojęcia, że istnieje taka zagraniczna Nasza Klasa...

– Tak, narzędzie jest niezłe, ale mnie chodzi o coś innego. Dlaczego ktoś chce dać futrzakowi zastrzyk, zamiast odnieść go do schroniska, gdzie przychodzą ludzie, by wybrać sobie kumpla?

– Wybrać kumpla? Na jakim ty świecie żyjesz? Poza wolontariuszami nikt tam dobrowolnie nie zagląda. Mogiła, kobieto, choroby, ścisk, odór.

– Byłaś w takim schronisku, że wiesz? Bo ja właśnie zamierzam się dowiedzieć.

– Jak chcę mieć choroby, ścisk i odór, idę do klubu. Obcowanie z sierściuchami ograniczam do mojej Kocki i poczekalni w klinice. I niech tak zostanie.

Paplanina z koleżanką nie przyniosła konkretnych odpowiedzi,

wciąż więc nie dawał mi spokoju problem schronisk. Jeśli z jakichś powodów nie chcę lub nie mogę dłużej trzymać kota, niosę go do schroniska, gdzie wprawdzie nie jest mu jak w niebie, ale ma jedzenie i szansę na znalezienie nowego właściciela. W każdym razie nie umiera, nie błąka się po ulicach, po prostu czeka. Chyba po to istnieją schroniska, po to są utrzymywane z publicznych, również moich, pieniędzy. Skoro jednak ich kondycja jest tak fatalna, należałoby je dla dobra i ludzi, i zwierząt kontrolować, karać, usprawniać, jednym słowem – dążyć do likwidowania problemów. Miałam wrażenie, że nikt nie podziela mojego zdania i nie wierzy w pozytywne zmiany. Jakby się wszyscy umówili i bez dania racji wywiesili szyld: „Schronisko to piekło”, a potem zasznurowali usta. Postanowiłam, że zgłębię w końcu tę zagadkę.

Rozdział drugi, w którym odwiedziłam koci dom tymczasowy i założyłam własny

Z Mają umówiła mnie Lena, żebym się przekonała, jak wygląda dom tymczasowy.

– Wchodźcie szybciotko – powiedziała gospodyni, witając się – bo zaraz zaczną się spacerować na klatkę schodową.

Mimo tej zapowiedzi nie pojawił się żaden puchaty wycieczkowiec. Od Leny wiedziałam, że w tym mieszkaniu przebywa dzie-

się kotów. Gdzie się więc podziewały? Może nie przepadają za obcymi, a może muszą być powoli oswajane w osobnych pomieszczeniach? Czytałam o takiej procedurze postępowania z przestraszonymi lub dzikimi kotami.

Stałam w drzwiach i rozglądałam się po pokoju, kiedy o łydkę otarł mi się wielki rudy kot.

– To rezydent – powiedziała z dumą Maja.

– To znaczy?

– To znaczy, że jest mój. Nie jest przeznaczony do adopcji, ma już dom – wyjaśniła.

Nic dziwnego, pomyślałam, patrząc na rudego olbrzyma: miły, kontaktowy, korzystna prezencja, a w dodatku nieprzesadna dostojność.

– No dobrze, a gdzie reszta? – dopytywałam. – Lena mówiła, że masz ich teraz dziesięć.

– Jedenastie – uściśliła Maja. – Ale to wcale nie znaczy, że przy jedenastu kotach boisz się unieść nogę, bo nie będziesz miała gdzie jej potem postawić. – Maja wypowiedziała te słowa takim tonem i w takim rytmie, jakby czyniła to po raz setny.

– To tylko jedenastie naprawdę niewielkich istot, które głównie śpią. Nigdy nie miałaś kota w domu? – doszedł mnie głos z fotela.

Drgnęłam i się przedstawiłam.

– Basia – odpowiedziała trochę naburmuszona dziewczyna,

unosząc się, żeby podać mi rękę. – Chyba nie myślisz, że jedenaście kotów to za dużo?

Właśnie pomyślałam, że jedenaście kotów to za dużo.

– Zapewne to zależy od metrażu, wolnego czasu i wysokości pensji opiekuna – wybrnęłam, wcale przy tym nie kłamię. – A teraz chciałabym zobaczyć pozostałe koty, bo bardzo je lubię.

– I o to chodzi, reszta to tylko organizacja – powiedziała Maja, wręczając mi talerzyk z czymś bardzo dużym i czekoladowym. – Wystarczy, że je lubisz, a ich liczbę uregulują twój portfel i metraż. Zresztą powiem wam, że taka jedenastka, jaką mam teraz, to nic w porównaniu z dwójką, która nie pała do siebie sympatią i zaznacza teren.

– Albo z kotem, który nadaje się tylko na jedynaka – weszła w słowo Basia. – Kiedyś trafiła do mnie kotka Padma, która nie lubiła innych kotów. Czasem tylko na nie syczała, a czasem w proteście siusiała do kosza z brudną bielizną. Najchętniej zaś mieszkała w szafie. To była taka kotka z szafy. Kiedy musiała wyjść, była nieszczęśliwa.

– Może w ogóle była dzika? – zapytałam, mając nadzieję, że się nie ośmieszam ani nie obrażam Basi.

– Skądże – ton głosu Basi sugerował, że chyba jednak trochę obrażam. – Jak brałam ją na ręce czy głaskałam, była w siódmym niebie. Ona się po prostu bała innych kotów, wcale jej nie interesowały zabawy ani mycie uszu. Ludzie, którzy się zgłosili, chcieli ad-

optować tylko jednego kota w typie rasowego, bo przez pół roku tłumaczyłam im, żeby nie kupowali za pięć stów fałszywego ruska, tylko poczekali, bo często zdarza się jakiś przybłęda podobny do rasowego.

– Czyli że przez pół roku żaden się nie zdarzył?

– Owszem, trafiały się pasujące wyglądem, ale zazwyczaj stare lub takie, które nie byłyby szczęśliwe w pojedynkę. Mało kotów chce żyć w pojedynkę, chociaż bywają i takie, które nie znoszą towarzysztwa innych kotów.

Koło nogi Basi pojawił się bury kot. Siadł i wpatrywał się w nią uważnie. Widocznie słuchał.

– No to jak przekonałaś tych ludzi do Padmy? – Maja wyłoniła się z kuchni z butelką wina.

– Po prostu zobaczyli ją i się zakochali. Weszli do mieszkania, pod nogami kręcą im się takie piękności jak Franko i Masza, takie niby-persy, a oni pytają, gdzie ten kot, który się boi. Otwieram szafę, a tam biedna Padma zerka na nich zalękniona zza sterty ciuchów. No i się zakochali. Powiedzieli też, że mnie pokopało, żeby trzymać kotkę w szafie, że ona się boi i jest chuda. Faktycznie była chuda i bała się, okej, ale miała dom.

– Dali znać, jak się zaaklimatyzowała?

– Jasne, tylko że ja jej nie poznałam. Tamta chuda czarno-biała kotka, bardzo wycofana, na zdjęciach od nich wygląda jak spasiona caryca w hamaczku za kilka stów. Napisali, że w ogóle się

nie boi – ani ich, ani ich znajomych, nawet tych, których widzi pierwszy raz. Po prostu rezydentka pełną gębą! Wygląd sierści jej się też poprawił. Przyznać jednak trzeba, że koteczka ma już trochę nadwagi.

– A czym ją karmią? Mówiłaś, żeby uważali z kocimi fast foodami?

– Tak, ale oni w ogóle nie kupiliby karmy w niewyspecjalizowanym sklepie. Najlepsze jest to, że dają jej dokładnie tę samą karmę co ja. U mnie jednak Padma była tak przytłoczona, że jadła niewiele, u nich się obżera. Napisała mi ta dziewczyna z wymówką, że koteczka rzuca się na jedzenie, jakby była głodzona.

– To pochopny wniosek – skrzywiła się Lena.

– Ty wiesz, bo znasz takie sytuacje, a oni myśleli może, że kotka była zamknięta w szafie i jadła naftalinę.

– I powstały zmutowane molokoty.

Baśka wyjęła z torebki papierosy i wyszła na balkon. Paląc, coś do nas mówiła, więc po chwili wszystkie stałyśmy na balkonie w skarpetkach i trochę marznąc, oglądałyśmy zamontowane przez Maję zabezpieczenie.

– Tu jest źle przyczipione, widzisz? – Maja pokazała mi felerny punkt na samym dole. Otwór był niewielki. – Nie myśl, że dziura jest za mała – odgadła moje myśli. – Kot potrafi się wcisnąć w niezwykle ciasną przestrzeń, a poza tym uszkodzone miejsce to zaczątek dalszych zniszczeń. Koty wychodzą na balkon tylko pod moją

opieką.

Balkon, a właściwie loggia w domu Mai była zabezpieczona jak forteca. Drobną siatką ze stalowych rombów pokrywała całą przestrzeń od podłogi do sufitu. Była nie do sforsowania przez jakiegokolwiek kota i z pewnością mogła służyć jako ścianka wspinaczkowa nawet dla futrzaków z nadwagą. Na tarasie jednak – co do tego wszystkie się zgodziłyśmy – lepiej byłoby zbudować z siatki wolierę zapewniającą kotom całkowite bezpieczeństwo i znaczące powiększenie przestrzeni życiowej, a jednocześnie możliwość wygrzewania się latem w płamach słońca, wspinania się na siatkę, polowania na owady i obserwacji ornitologicznych. Zastanawiałyśmy się, czy administracja budynku podzieliłaby ten pogląd.

Zabezpieczanie, a raczej niezabezpieczanie okien i balkonów to temat wywołujący ogromne emocje. Dlatego też przytoczonej dalej historii nie odważyłam się opowiedzieć moim nowym koleżankom, bo obawiałam się, że zażądadają ode mnie adresu opisanej osoby bądź też wyładują złość na mnie.

Pewnego dnia znajoma opowiadała mi o uwielbieniu swojej mamy dla zwierząt. Mama hołubiła pieski, nie szczędziła czułości kotkom, miewała też kanarki i złote rybki. Kiedyś mamie ubył z zestawu ulubieńców kot. Na pytanie, co się stało, córka, wzruszywszy ramionami, odparła, że „wypadł z balkonu”. Bardzo się zmartwiłam. Wyobraziłam sobie naiwnie, że sytuacja była z gatunku tych nieszczęśliwych wypadków nie do przewidzenia. Nic z tych rzeczy. Z

relacji mojej znajomej bynajmniej nie wynikało, że wszystko stało się nagle i mimo zachowania środków ostrożności – koteczka wypadła, „bo akurat” coś tam może fruwało i kota skusiło, a może wystraszyło, kto by go tam zresztą zrozumiał. Wcześniej koteczka wędrowała nie raz i nie dwa po barierce balkonu, a zadowolona pańcia, czyli mama mojej znajomej, przyglądała się temu, podziwiając płynność ruchów i zręczność zwierzątka. „Że też to nie spadnie” – pojawiała się myśl w arcypustej czaszce mamuni, a następnie gasła, by zrobić miejsce dla telewizyjnej sieczki. Że też to spadło w końcu i się zabiło, niesłychane!

Usiłowałam wpytać, czy z tej nieszczęsnej sytuacji wyciągnięto chociaż wnioski pozwalające zapobiec takiemu nieszczęściu w przyszłości. Wyraz gębuni mojej rozmówczyni, gdy wymawiałam słowo „nieszczęście”, jasno dał mi do zrozumienia, że nie wypada śmierci kota nazywać nieszczęściem. Potwierdziły to zresztą słowa: „Daj spokój, przecież to nie pierwszy, który wypadł”. Tu nastąpiła koszmarna wprost wyliczanka. Buranio: pierwsze wypadnięcie – kalectwo, drugie wypadnięcie – pogłębienie kalectwa, trzecie wypadnięcie – śmierć. Miśka: śmierć na miejscu. Sugus: śmierć na miejscu. Grzybek: poharatany, złe rokowania, kosztowne leczenie – uśpiony. Świrek: śmierć na miejscu. Gdyby jakiś fizyk badający wszechświat próbował odkryć i udokumentować istnienie dwóch najbardziej oddalonych od siebie punktów uniwersum, miałby szansę: mój nastrój, wnioski oraz stosunek do mamuni od nastroju, wnio-

sków i stosunku jej córki dzieliła przestrzeń nieskończona. Wisienkę na torciku debilizmu, którym mnie częstowano, stanowiła myśl, że „te koty to są strasznie głupie, bo nie uczą się na błędach i ponownie wypadają”. Wszelkie umowy adopcyjne, obostrzenia, możliwość odrzucenia danej osoby jako opiekuna można tak długo wkładać między bajki, jak długo podaż zwierząt przewyższać będzie znacząco popyt.

Wracając zaś do sprawy siatek w oknach: istnieją różne ich formy, rozmiary, kolory i materiały, z jakich można zrobić zabezpieczenie. Są też fachowcy, którzy trudnią się tego typu montażem. Oczywiście wiąże się to z pewnymi kosztami, co zapewne zaskoczy ludzi przekonanych, że kot nic nie kosztuje, bo piach doprowadzi się z pobliskiej budowy, a za żarcie wystarczą resztki z obiadu. Takie myślenie wcale nie jest rzadkie, choć osoby pokroju Mai czy Basi byłyby przekonane, że pomysł na bezkosztowy chów kota może powstać w głowach zaledwie promila społeczeństwa. Na tym chyba polega problem organizacji prozwierzęcych oraz związanych z nimi ludzi: nie mają oni pojęcia, co wie o psach i kotach przeciętny Kowalski, który nawet jeśli coś niecoś usłyszał, to tę wiedzę odpycha od siebie, bo jest zbyt bolesna.

Wyposażenie domu Mai zdradzało całkowite oddanie kotom. Już na pierwszy rzut oka dostrzegłam skomplikowane zabawki na baterie, dwa szalowe drapaki, krytą kuwetę z filtrem pochłaniającym zapachy i podstawkę pod estetyczną miską. Moja nieżyjąca już kotka

Aura bawiła się sznurkiem przywiązanym do klamki i kasztanami, pod miską czasem miała tekturkę, przeważnie zaś gołą kuchenną podłogę, drapała z prawej strony moją kanapę i korzystała z kuwety bez eleganckiego wrąbka. Muszę jednak przyznać, że z wyjątkiem może szczególnie rozwijających zabawek, dostawała to samo co koty Mai. Za to ja musiałam niestety myć podłogę, a nie podkładkę, spać na kanapie, która z prawej strony była puchata, a z lewej gładka, i sprzątać żwirek rozsypany wokół kuwety. Stąd moje przekonanie, że kot nie jest stworzeniem szczególnie droгим w utrzymaniu, chyba że komuś przyszło do głowy kupować designerskie kocie kanapy i naśladujące antyki kuwetki. Ważne jest natomiast, by rzeczy przeznaczone dla kota były wystarczająco trwałe, czyste i funkcjonalne.

Skończywszy sesję na balkonie, przeszliśmy do ciepłego wnętrza.

– Słyszałyśmy – zagadnęła mnie Maja – że być może założysz dom tymczasowy. Dla nas to bardzo ważna wiadomość.

– Bardzo ważna – pokiwała głową Lena, jak zwykle wyglądająca na trochę zamyśloną.

– Dom tymczasowy jest na wagę złota, ale musisz się dobrze zastanowić. Niektóre koty w nim zostają, bo albo nie ma na nie chętnych, albo chętni tobie nie odpowiadają, albo ty już nie chcesz oddać kota.

– Jeśli sama nie chcę, to nie widzę problemu.

– Tak – powiedziała Maja z ociąganiem, jakby wchodziła na

grząski grunt – ale podobno po stracie poprzedniego kota nie zamierzasz brać żadnego na stałe.

– To nie jest kwestia traumy, lecz doświadczenia. Przypuszczam, że moja kotka umarła wcześniej, niż powinna, z powodu mojej nieuwagi. Ktoś inny pewnie od razu rozpoznałby objawy choroby.

– Niekoniecznie – stwierdziła Maja. – Koty nie pokazują po sobie choroby, czasem nic nie wiadomo do ostatniej chwili. Tak mogło być i w tym przypadku. A biorąc pod uwagę, że twoja kotka była już seniorką, możesz uznać za sukces, że przeżyła ponad piętnaście lat. Wiemy, jak się czujesz – kontynuowała. – Każdemu umarł kiedyś kot. Jeśli jednak obarczysz się winą, nie będziesz już w stanie zaprzyjaźnić się z żadnym zwierzęciem, a to chyba ogromna strata, prawda?

Miała rację. Mimo to dalej czułam się wobec Aury nie w porządku. Byłam też zawstydzona. Postanowiłam więc powiedzieć coś sensownego.

– Zgadzam się, że kot może nie pokazać po sobie, że coś go boli. Jednakże my, wiedząc o tym, chyba powinniśmy jakoś wcześniej działać?

– Badania kontrolne! Takie, których zwykle odmawiasz samej sobie, bo nie pamiętasz, bo nie teraz, bo nie masz pieniędzy, bo ci się nie chce, no, a przede wszystkim dlatego, że czujesz się zdrowa i w ogóle nie bierzesz w rachubę, że coś złego mogłoby się stać? – Lena mówiła powoli, jak o czymś, co знаła z doświadczenia, i to całkiem

niedawnego.

– No tak, ale podczas badań kontrolnych, tych ludzkich, lekarz zadaje nam pytania i coś może na podstawie odpowiedzi wywnioskować, poza tym mierzy ciśnienie i takie tam.

– Zauważ, że kieruje też na analizy. A wyniki analiz mówią same za siebie. Także w wypadku kota. Można więc zbadać kotu krew, mocz, kał, obejrzyć zwierzę, pomacać, zajrzeć w uszy i w pyszczek. A co do reszty trzeba już zaufać lekarzowi. Nie ma rady. Dobrze jest mieć jednego sprawdzonego weterynarza. Od dyskusji, który lepszy, pęka głowa.

Maja rozlała do kieliszków wino i powiedziała:

– Nie ma co się martwić na zapas. Złapałam dziś pięć kotów do sterylizacji. Wypijmy za ten sukces i za nowy dom tymczasowy!

Po wyjściu od Majki jeszcze chwilę rozmawiałyśmy z Leną przed domem. Lena starała się utwierdzić mnie w decyzji o założeniu domu tymczasowego. Może się martwiła, że okręcę się na pięcie?

– Lena, ale ja tak nie chcę – wydusiłam w końcu. – A raczej nie umiem.

– Czego nie chcesz? – zmartwiła się.

– Tak zupełnie zmienić mojego życia, mojego domu. Oddać się tej sprawie całym sercem. Nie jestem pewna, czy potrafię zadbać o siebie, a co dopiero o koty. – Mówiąc to, bardzo się bałam, żeby Lena mojego sprzeciwu nie odczytała jako niechęci do ludzi zajmujących się kotami, ale ona najwyraźniej dobrze mnie zrozumiała.

– O Maję ci chodzi? Ona jest wyjątkowa. Jako jedyna poświęca na wolontariat każdą wolną chwilę. Ja bym tak nie chciała. Można również inaczej. Na przykład tak jak Ania, od której wzięłam moją kotkę. Ona podchodzi do tego jak do kolejnej sprawy. Bierze kota na jakiś czas, oddaje w dobre ręce i tyle. A jeśli akurat realizuje większy projekt w pracy, to przecież go nie rzuci. Taką sobie wyznaczyła granicę i już. Jak się zabierasz za tymczasową opiekę, to musisz od początku to i owo ustalić, na przykład liczbę kotów. Pięć czy dziesięć, nieistotne, ale to ty decydujesz, a potem tego nie zmieniasz. To samo dotyczy liczby godzin, które chcesz poświęcić na rzecz fundacji.

– To brzmi tak, jakbyś przestrzegła mnie przed nałogiem.

– No, nie wiem. Niektórzy tak to widzą. – Lena zamyśliła się i po chwili wydusiła z siebie prawdę: – Ja się boję „tymczasowania”, bo przecież mam te dwie moje kluchy najukochańsze i po prostu nie chcę, żeby się stykały z chorobami, z kotami, które mogą być do nich wrogo nastawione. Nie chcę, żeby się stresowały. To egoizm, ale jestem egoistyczna z uwagi na dobro moich rezydentów. Poza tym, gdybym oszalała i brała wszystko, to mój mąż miałby na głowie więcej, niż byłby w stanie unieść.

– Chcesz powiedzieć, że działasz w tym środowisku i nigdy nie „tymczasowałaś”? – zapytałam ciekawa, jakie są inne sposoby udzielania pomocy zwierzętom.

– Raz i tylko przez chwilę, bo szybko znalazł się dom stały.

Wolałabym jednak tego nie powtarzać. Mam wymagającą pracę, obecnie cienko przędę, jeśli „tymczasowy” trzeba tylko karmić, to okej, ale gdy musisz z nimi latać do lekarza, to nie dasz rady finansowo.

– Właśnie, jak to jest z chorobami? Wspomniałaś, że się boisz, żeby nowo przyjęte koty nie zaraziły starych, prawda? A jak Majka sobie z tym radzi?

– Maja ma „tymczasowy” z naszej fundacji, czyli szczepione, odchlone, odrobaczone, po przeglądzie lekarskim, podczas gojenia po operacji też pozostające pod obserwacją. Myślę, że koty z tego źródła możesz brać bez obawy. O innych takich miejscach wiem niewiele. Ogólnie mówiąc, wybrałam zdalne działanie i jestem z tego zadowolona. Kocham koty, ale w moim mieszkaniu uwielbiam czystość, przestrzeń i porządek. Ja nie kończę pracy po ośmiu godzinach, pracuję też w domu. A najwięcej przebywam w terenie, choć na pewno nie tyle, ile mąż – on ma pracę, która pozwala mu swobodnie się przemieszczać przez cały dzień.

– O, szczęściarz!

– Prawda? Ale wtedy praca nie ma końca. Nie jest tak, że wychodzisz z biura i uff! Nazywasz się już nie Ławczyńska, lecz Lena. A co do męża... On jest alergikiem, więc chociażby ze względu na niego nie mogę trzymać większej liczby kotów. To, co osiągnęliśmy, zawdzięczamy kompromisom – między mną i nim, między rozumem i sercem, między potrzebami kotów i ludzi. Myślę, że zachowuję równowagę.

– No nie, chyba żartujesz! To da się tak żyć z alergią?

– Owszem, da się żyć. Tak się bałam, że będę musiała wybierać, bo najpierw były koty, a potem mąż. Właściwie to on wybrał – wybrał lekarstwa i mnie, i moje koty. Teraz nasze! Dlatego zrezygnowałam z towarzystwa zwierząt w sypialni. Odkurzamy, on bierze leki i nie ma ataków. Chociaż wcale nie jest idealnie. To takie balansowanie na granicy, poza którą już się komuś dzieje krzywda.

– A dzieje się?

– Ciągle się dzieje, ale niezbyt dotkliwa. Każde z nas gdzieś ustąpiło.

Miałam wrażenie, że ustępstwa ze strony męża były większe niż ze strony Leny i kotów. Przecież on mógłby postawić twardsze warunki. Tylko jakie? Objąć „bezkociem” jeszcze większą część mieszkania? Nadal byłoby to wspólne mieszkanie z kotami. Prawdopodobnie już polubił te dwa puszyste alergeny. Nic więcej w tej kwestii nie pozostało do dodania.

– Przez cały czas rozmawialiśmy u Mai o kotach i o domu tymczasowym, a ja ciągle nie wiem, co byście chcieli, żebym pisała na blogu – zapytałam.

– Naprawdę nie musisz się spieszyć – odpowiedziała Lena. - Pisz o wszystkim, co ci wpadnie do głowy. Ot, choćby o takim konflikcie interesów. Nawet nie muszą to być porady, wystarczą luźne rozważania.

Po wizycie u Mai i rozmowie z Leną wprost tryskałam pomys-

słami. Przez cały weekend pisałam, zmieniałam, poprawiałam. Sprawiało mi to niesłychaną frajdę, zwłaszcza że Lenie bardzo się wszystko podobało. Pokazałam swoje wypociny również przyjaciołom, uzyskując pełną aprobatę. Wszystko wskazywało na to, że uda mi się w ten pośredni sposób pomagać fundacji.

Sprawdzałam też na bieżąco, jak rozwija się historia Marusi: kotka została zoperowana i wszystko wskazywało na to, że nos ma udroźniony.

Bałam się, co wyniknie z szumu wokół mnie. Wiedziałam, co może się wydać, i wciąż czekałam na moment, kiedy to nastąpi. Nie potrafiłam robić nic szczególnego. Owszem, pisałam poprawnie, ale nie wydawało mi się, żebym posiadała jakikolwiek inny talent, którym mogłabym wspomóc fundację. Próbowałam nadrabiać entuzjazmem, którego niewątpliwie miałam aż nadto.

Na szczęście Lena uchroniła mnie przed popadnięciem w marazm, skontaktowawszy ze Stracciatellą, która w fundacji zajmowała się redakcją i korektą. Nie mogłam trafić lepiej. Dziewczyna, z którą miałam współpracować, bardzo dla mnie miła, była podobna do mnie, tyle że bardziej pewna siebie, no i w zaawansowanej ciąży. Ponieważ poród miał nastąpić lada chwila, siedziała w domu i zabijała czas, pisząc do mnie kilometrowe mejle ujawniające osobę wszechstronną i buńczuczną, wegetariankę, a zarazem sybarytkę. Trochę wściekłą, a jednocześnie rozbawioną obserwatorkę. Stracciatellą prowadziła też dom tymczasowy. Zapytałam, mając w pamięci

sprawę syberyjskiego kota z kliniki Kamili, czy nie obawia się jakichś incydentów między kotami a niemowlakiem. Trochę się obruszyła, tłumacząc, że to kolejny szkodliwy mit.

Najważniejsze, że bawiły ją moje teksty, którymi miałam zasiać niemrawy fundacyjny blog. „Jesteś świetna, grafomaniaczko. Jest tam kilka kropek i kresek do przestawienia, ale zostawże te swoje tabelki i zacznij pisać o ważnych rzeczach” – tak napisała Stracciatellą, a ja cieszyłam się jak głupia.

Rzeczywiście, moja praca na określonym etapie wymaga układania tabelki. Tabelki nie są takie złe. Przedstawiają wycinek rzeczywistości, nie są sztuką dla sztuki, lecz odzwierciedleniem faktów. Na przykład, że dwadzieścia osób w Koszalinie pracuje osiem godzin dziennie w maju, a w czerwcu jedna z nich już tylko cztery. Pytanie, co się z tą wiedzą zrobi? Czasem marzę o obieraniu ziemniaków przez bite osiem godzin dziennie, gdyż praca, której efekt sprowadza się do pliku xls czy nawet xlsx, może zaowocować szajbą. Konsekwencje powstania tabelki są dla jej autorki tak abstrakcyjne, że niemal całkowicie oderwane od rzeczywistości.

Teksty, które wysłałam, opowiadały kolejno o stereotypach, kotach i psach oraz specyficznych „kociarskich” określeniach, jak wspomniane „tymczasowanie”. Koniec końców, tylko jeden – i to po znaczących zmianach – ujrzał światło dzienne. Wszystko dlatego, że na pierwszy plan wysunął się pomysł założenia domu tymczasowego. Pisałam więc o swoich zamiarach, wątpliwościach i motywach.

To był tylko niewielki artykuł na fundacyjnym blogu, a jednak po tym, jak wcisnęłam guzik „publikuj”, serce biło mi jak szalone. Czy aby Stracciatella się nie myliła? Czy czytelnicy nie wyśmieją mnie i mojego skromnego wkładu w pomoc zwierzętom? Stało się inaczej. Wpis *Pierwszy stopień zakocenia* miał tylko trzysta trzydzieści dwa słowa i siedemdziesięciu dwóch zadowolonych czytelników, a po publikacji dostałam siedem listów. Wszystkie te liczby są dla mnie bardzo ważne, może dlatego że lubię liczby, a może dlatego że pierwszy raz odważyłam się coś opublikować. Zmieniło to zupełnie moje życie, przede wszystkim zaś życie pewnej grubiotkiej, srebrzystej kotki.

Obiecałam koleżankom i czytelnikom błoga, że przyjmę do siebie kota, ale wcale nie ze względu na tę obietnicę nie mogłam się wycofać, lecz głównie ze względu na samą siebie – dłużej nie zniosłabym beczynności. Argumenty w rodzaju: „wszystkim nie pomożesz”, w ogóle do mnie nie przemawiały. Czy istnieje możliwość zrobienia „wszystkiego” w jakiegokolwiek dziedzinie? Otóż nie. A zatem czy dwieście uratowanych kotów, dwa tysiące przeczytanych książek, trzysta rozegranych gier, czterdzieści podróży uznamy za wynik satysfakcjonujący? A jeśli uratuję trzydzieści kotów, przeczytam tysiąc książek, przejdę jedną grę i pojedę do pobliskich Puław, to czy moje życie stanie się przez to mniej wartościowe?

Nie, nie zamierzałam niczego planować z wyjątkiem tego, że wezmę na przechowanie kota, pierwszego i może jedyne, i zo-

baczę, co z tego wyniknie. Musiałam tylko oswoić się z myślą, że ten kot nie będzie mój, że nie zostanie u mnie na zawsze i że nie mam prawa z egoistycznych pobudek go zatrzymać.

Zanim jednak bezimienny fundacyjny pręgus trafił do mnie, otrzymałam z dwóch źródeł jego zdjęcie. W klatce, na gazecie, siedział srebrny kot. Nie wyglądał na zabiedzonego znajdę, gapił się prosto w obiektyw i nazywał się DSCF3469.JPG. W liście, do którego przyczepiono fotografię, określono go jako „megamiziasną kotkę”, która „powinna szybko znaleźć domek”. Ponieważ słowo „domek” skojarzyło mi się z domkiem dla lalek lub ptaków, którego znalezienie mogłoby oznaczać dla kota (zwłaszcza w tym drugim wypadku) szczęśliwy traf, wyobraźnia podsunęła mi makabryczną wizję. Termin „mizianie” z kolei przywiódł mi na myśl scenę z *Kilera*. To na tym filmie pierwszy raz w życiu usłyszałam to słowo z ust Rysi, która podtykając tytułowemu bohaterowi swoje ponętne wdzięki, szepotała zmysłowo: „Miziaj mnie, Kiler, miziaj mnie”. A określanie kota mianem „miziaka” nie jest w środowisku zwierzolubnych niczym nowym ani szczególnym. Miziak oznacza po prostu pieszczocha.

Poza tym wszystko wyglądało zachęcająco: i kot, i jego perspektywy na przyszłość. Problemem był brak czasu: tego dnia, kiedy kotka miała do mnie trafić, zaraz po pracy szłam na lekcję, a nie przygotowałam jeszcze kociego oprzyrządowania, bo wszystko, co należało do Aury, rozdałam lub wyrzuciłam. Powstało kilka zawirowań, w wyniku których kotka zawitała do mnie nieco później. Kiedy

już kuweta zajęła swój stary kąt w toalecie, a miseczka swoje stałe miejsce przy lodówce, pojawiła się lokatorka. To samo bezczelne spojrzenie i ten sam luz jak na zdjęciu. Dała się pogłaskać i szybko poszła na obchód mieszkania. Maja, która ją przywiozła, rozglądała się z niepokojem.

– Gdzie kuweta? – zapytała.

– W ubikacji – wyjaśniłam zdziwiona.

– Może lepiej będzie, jak ją wystawisz, żeby kotka od razu ją zauważyła.

Maja umieściła kuwetę pod lustrem w przedpokoju. Bardzo mi się nie spodobał pomysł, że kocia ubikacja ma być zlokalizowana w moim przedpokoju:

– Chyba nie na zawsze, co? – upewniłam się.

– Oczywiście, że nie. Stopniowo będziesz stawiała ją coraz bliżej wucetu, aż wreszcie wróci na miejsce.

Wiedziałam, że nie posłucham. Rzecz jasna zamierzałam pozbyć się pojemnika z przedpokoju dopiero po wyjściu Mai, która była dziwnie zdenerwowana.

– Widzisz, jaka miła kotka? Aklimatyzuje się. Widzisz? – powtarzała jak katarynka.

Nie miałam pojęcia, czym się tak niepokoiła. Kot biegał po domu, wyglądał na niespieszonego nowym miejscem i nowymi ludźmi. Przeciwnie, zachowywał się tak, jakby wszystko mu się podobało i go cieszyło.

– Myślę, że jest podekscytowany i tyle. – Uśmiechnęłam się, bo spodobał mi się rezolutny zwierzak.

– Podekscytowana... To kotka. Nazwiesz ją? – spytała nadal z niepokojem w głosie Maja.

– Na pewno, ale jeszcze nie wiem jak. – Skłamałam, bo coś już chodziło mi po głowie. Było takie... treściwe i opisowe, nie zdradzające żadnych emocji. Nie chciałam, żeby Maja pomyślała, że nie zamierzam „miziać” kotki, cokolwiek by to znaczyło. – W końcu ona będzie u mnie tylko przez chwilę – dodałam.

– No, niekoniecznie, bo oczywiście „tymczas” zostaje przez jakiś czas, ale przecież nie wiesz przez jak długi – delikatnie wykręciła... hm... kota ogonem Maja.

W ogóle mnie to nie zastanowiło. Myślałam, że kiedy ludzie wiedzą, że masz u siebie przechowalnię kotów, to po prostu mówią swoim znajomym: „Zdrowy, odkarmiony kot, tylko od Kingi”. I już po sprawie. W końcu najważniejsze, by zwierzę nie trafiło na ulicę, reszta jakoś się ułoży. Choćby tak, jak ułożyło się z sybiraczkiem. Czy warto więc w ogóle dawać imię kotu? Jeszcze się do niej przez to imię za bardzo przywiążę? Nie wygłosiłam na szczęście tych mądrości przed Mają, bo może by biedaczka doszła do wniosku, że ma do czynienia z osobą niespełna rozumu, i zabrała mi kotkę. Zamiast więc pocieszać siebie, pocieszałam Majkę:

– Nawet jeśli zostanie na dłużej, to wszystko będzie dobrze. Umiem się zająć kotem.

Szybko się jednak okazało, że chyba nie do końca, bo każda z kupionych przeze mnie rzeczy była w jakiś sposób niewłaściwa. Zła była kuweta, bo za mała, żwirek nie nadawał się do spuszczenia w toalecie, jedzenie to ukryty morderca, a plastikowa miska przemycała do kociego organizmu potworne toksyny. Wszystkiego tego dowiedziałam się z lektur w sieci wiadomości złych, nieistotnych, błędnych i przekłamanych. W rzeczywistości tylko łopatką nie nadawała się do obsługi kuwety, co zresztą spostrzegłam przy kupnie, ale sklep akurat nie miał innych, więc machnęłam ręką. Ostatecznie pogodziłam dobre rady internetowe z moim własnym zdaniem i wymieniałam żwirek, łopatkę oraz karmę na nieco droższą i trudniej dostępną. Uznałam, że póki kot nie da mi do zrozumienia, że kuweta mu się nie podoba, i póki sama od czasu do czasu jadam plastikowymi sztuczkami z poliestrowej miski, nie zamierzam się przejmować. W końcu traktuję go nie gorzej niż siebie, a nawet lepiej, co musiałam uczciwie stwierdzić, patrząc na cenę kociej karmy.

Maja, wyraźnie uszczęśliwiona, wyczałowawszy mnie i kotkę, pojechała do domu.

Natychmiast przestawiłam kuwetę, zaniiosłam do niej zwierza i powiedziałam:

– Patrz, kuweta, piasek, wiesz, o co chodzi.

Kot popatrzył mądrze, otrząsnął łapy ze żwirku i poszedł z westchnieniem rozciągnąć się na łóżku mamy.

– Jest śliczna. Mam nadzieję, że nie umrze – przeszła do rzeczy

mama.

– Naprawdę nie wiem, czemu uroda kojarzy ci się ze śmiercią
– zainteresowałam się.

– Przecież Aura umarła – powiedziała mama, nadal zupełnie bez sensu.

– Bo miała szesnaście lat, a nie dlatego, że była ładna. Popatrz zresztą, jakie to żywotne stworzonko, ani myśli umierać. To zdecydowanie nie-Aura.

– Podobna nawet.

Niby tak, kot w paski i kot w paski, ale Aura miała smukły, krótki tułów na dość długich nogach i była niewielka, a ten tutaj całkiem słusznych rozmiarów, choć żaden kolos. Łapy przeciętnej długości. Szeroka głowa, uśmiechnięta paszcza. Wspaniały dachura.

– A jak się nazywa?

– Szara – wypowiedziałam imię, które od początku chodziło mi po głowie.

– Szarotka! – Mama i tak słyszała, co chciała. – Bardzo ładnie. Nawet taka milutka, aksamitna.

Szara przez cały wieczór siedziała z mamą. Zupełnie tak samo jak jeszcze parę miesięcy wcześniej Aura. Nic więc dziwnego, że mama wciąż nazywała ją Aurą: „Aura, nie na stół. Oj, przepraszam, no, jak ci tam? A! Szarcu!”. Przekręcanie imion i nadawanie przezwisk w mojej rodzinie ma zresztą długą tradycję. Mama rzadko była nazywana mamą, częściej Masetlą i Matyldą, więc gdyby Szara mia-

ła ochotę u nas zamieszkać, musiałaby się dopasować.

Szarotę bardzo interesowały miseczki. Trujące chrupki jadła z chęcią, te mniej trujące zresztą też, i bardzo dużo piła. Przez całą dobę jednak nie pojawiło się nic w kuwecie. Byłyśmy z mamą przestraszone.

– No i po co ją przestawiłaś? Przecież ta pani mówiła wyraźnie, żeby nie. – Mama doszukiwała się przyczyn.

– Okej, ale widzisz coś gdzieś poza kuwetą? – broniłam się.

– Dobrze, poczekajmy. Kot wygląda przecież na zdrowego.

Szara była aż za bardzo pewna siebie. Wszystko jej się podobało, mruczała, ocierała się o łydki, sypiała w różnych, ale zawsze eksponowanych miejscach. Nie bała się obcych, którzy przychodzili do domu. Przypominała raczej doskonałego robota, który pozbawiony jest strachu, stresu i produktów przemiany materii. W końcu jednak przestała zgrywać robota, rozwiewając zarazem nasze obawy, że niby nie wie, gdzie znajduje się ubikacja.

Patrząc na Szarą, myślałam, że nie chcę, by stała się pępkiem mojego świata, by wszystkie drogi prowadziły do niej, by kwestia jej adopcji, jej życia i zdrowia była dla mnie ważniejsza niż wszystko inne.

Rozdział trzeci, z którego można się dowiedzieć, skąd się wziął styropianowy kubek z kawą na śródmiejskim podwórku

Kot miejski (*Felis urbanicus*) według fundacji Ciach powinien charakteryzować się brakiem jaj jedynie w sensie dosłownym, co oznacza, że mimo kastracji musi być na tyle samodzielny i buńczuczny, by poradzić sobie w ciężkich warunkach. Dlatego przewożenie transportem miejskim kota miejskiego, który dał się właśnie wyprowadzić w pole czy raczej wprowadzić do klatki łapki, nie wchodzi w rachubę. Współpasażerowie gotowi bowiem pomyśleć, że usiłujemy przetransportować stado kotów w trakcie rewolty. Klatka łapka to urządzenie o wiele dłuższe od transportera, żeby więc zważyć do niej kota, należy umieścić w środku karmę, a po złapaniu zwierzęcia przykryć pojemnik prześcieradłem.

– A taksówką nie można? – spytałam Basię, która zadzwoniła z prośbą o pomoc w transporcie.

– Odpada, w klatce łapce znajduje się przecież mokry pokarm, który na pewno wypadnie prosto do bagażnika.

Argument sensowny, choć problem przecież żaden.

– No to trzeba podłożyć pod spód gazetę – zaproponowałam pierwsze z brzegu rozwiązanie, które przyszło mi do głowy.

– Nie, odpada. Pomyśl o gorszych zniszczeniach niż upapranie karmą...

Tak, Baśka miała rację. W końcu taksówkarz ma prawo się zgodzić lub nie, a ona nie może stać z klatką na zimnie i wydzwaniać do kolejnych korporacji taksówkowych. Transport musi być wcześniej umówiony i niezawodny.

– W porządku, załatwię samochód. A gdzie będziesz łapać? Czy mogę przyjść i popatrzeć? – Wprost rozpierała mnie chęć nie tylko niesienia pomocy, ale też – a może przede wszystkim – zdobywania nowych doświadczeń.

– Chyba możesz. Z tym, że to nie ja łapię. W tym tygodniu jestem bardzo zajęta. Oddaję pracę, więc muszę się wyłączyć.

Na łapankę szłam w przeświadczeniu, że będę uczestniczyć w pokazowym łowieniu dorosłego kota miejskiego w celu sterylizacji. Niespodzianka! Odławialiśmy kocię i jego matkę.

– Po co to robicie? Przecież kociąt nie można sterylizować – usiłowałam się czegoś dowiedzieć od dziewczyny kierującej przedsięwzięciem. Chyba jej się moje słowa nie spodobały.

– Jak więc sobie wyobrażasz ich dalszy los? – zapytała tonem nauczycielki. Wyraźnie chciała mnie naprowadzić na właściwą odpowiedź. Nawet się nie zirytowała. Może rzeczywiście nauczycielka?

– Po prostu wrócisz tu za kilka miesięcy, kiedy już będzie można wykonać zabieg – wydukałam z wahaniem. – To znaczy niekoniecznie ty osobiście, tylko ktoś, kto tego dnia będzie mógł.

– To nie kwestia poświęcenia dnia na łapankę.

Moja nauczycielka stała oparta o ścianę budynku. Była ubrana zbyt grubo jak na panującą temperaturę, więc rozpięła zielony płaszcz, odsłaniając bluzkę z naszytą sylwetką kota. Rękawiczki, w których trzymała styropianowy kubeczek z kawą, też miały naszyte kocie sylwetki, identyczne jak na bluzie. Nie mogłam się skupić, bo wciąż się zastanawiałam, czy sama zrobiła aplikacje.

– Może chodzi o to, że złapiesz je teraz i oswoisz – przyszło mi do głowy jedyne rozsądne wytłumaczenie – a ich mamę wysterylizujesz i wypuścisz?

– Bardzo dobrze – wystawiła ocenę i uważnie mi się przyjrzała. – Zmarzniesz. Nikt ci nie powiedział, jak długo może potrwać łapanka?

– Czy sama naszywałaś koty na swoje ubrania? – skorzystałam ze zmiany tematu na odzieżowy, żeby wypytać o wszędobylskie sylwetki.

– Tak, bardzo lubię podłubać. Mam jeszcze torbę do kompletu. Podobają ci się? – Nauczycielka ucieszyła się z podziwu uczennicy.

– No jasne. Są oryginalne. Powinnaś od czasu do czasu zrobić coś na sprzedaż. Gwarantuję, że rozeszłoby się na pniu – zachęcałam.

– Niekiedy to i owo sprzedaję, ale nie zwiększa to znacząco budżetu fundacji – skrzywiła się.

– Procentowo zapewne nie, ale co za satysfakcja.

– Ano widzisz, przypomniałaś mi – znów wpadła w mentorski

ton, i dobrze, bo akurat zamierzałam się czegoś nauczyć – że te kocięta, które dziś złapiemy, zabiorę do domu, oswoję i znajdę im stałe kwatery. Na maluchy zawsze są chętni. Ich mamę wysterylizujemy i wypuścimy w tym miejscu. Ona sobie poradzi, a one nie będą musiały przechodzić twardej szkoły życia na ulicy. Teraz mają najwyżej trzy miesiące, to ostatni dzwonek na osvajanie.

– Czy później już nie dadzą się oswoić? Podobno karmiciele mają do czynienia z całymi stadami na wpół oswojonych kotów.

Karmiciel to opiekun kotów miejskich: dokarmia koty piwniczne, szacuje kondycję członków stada, z niektórymi się zaprzyjaźnia, choć one pozostają dzikie.

– Otóż to: na wpół – powtórzyła, patrząc mi uważnie w oczy. Poczułam obawę, że mnie nie tylko uczy, ale i ocenia. – Dorosłe koty dają się oswoić tylko w pewnym stopniu, zależnym od ich indywidualnych charakterów. Przy karmicielu, którego widują codziennie, czują się bezpieczne. Prawdopodobnie do niego podejną całkiem blisko, ale do innych ludzi już nie. To po pierwsze. A po drugie: te koty wcale nie muszą bać się ludzi, tylko nie mają ochoty razem z nimi mieszkać. W domu czułyby się źle, przestałyby jeść, a co dalej, to sobie wyobraź.

Usłyszałyśmy trzask zamykanej klatki. Stojący po drugiej stronie podwórka łapacz wstrzymał nas gestem dłoni, ale stałyśmy się już widoczne dla kotów. W klatce szamotała się kocica, kociąt nigdzie nie widziałam. Dziewczyna złapała mnie za ramię i wskazała

coś, co poruszało się w naszym kierunku, a teraz zamarło. To chyba był kociak. Potem wypadki potoczyły się błyskawicznie. Sama nie wiem, co się właściwie stało. Chłopak przykrył zwierzę czymś, co wyglądało jak siatka na motyle. Moja instruktorka pobiegła w jego stronę, wcześniej wpychając mi w dłoń kubek z kawą. Trochę płynu się wylało. Uniosłam oparzony nadgarstek do ust, obserwując jednocześnie, co się dzieje po drugiej stronie placu. Dziewczyna przykryła klatkę i przez splot siatki usiłowała chwycić „motyłka”. Nasz towarzysz Paweł, przyciskając obręcz siatki stopą, próbował sięgnąć po transporter. Najwyraźniej obawiał się, że zwierzę podważy krawędź i ucieknie. Odstawiłam kubek na chodnik i pobiegłam na pomoc.

– Postaw go! – zawołał Paweł.

– No przecież stoi!

Otwarte drzwiczki transportera znajdowały się od strony łapacza.

– Nie, nie tak! Otworem do góry i przytrzymaj, żeby się nie przewrócił.

– Tak jest łatwiej, sama zobacz – powiedziała spokojnie, jak na panujący rozgardiasz, moja nauczycielka. Już trzymała kotka w pewnym uchwycie, a łowczy wyplątywał go z siatki. Maluch, który wcześniej wierzgał, teraz zwisał w miarę statecznie. – No to hop do kontenera i jedziemy.

Kiedy zwierzątko zostało już zamknięte, a klatka starannie okryta prześcieradłem, dostrzegłam podniecony wzrok bezkrwawych

łowców. No, niezupełnie bezkrwawych, bo dziewczyna zdjęła rękawiczkę i oglądała zadrapanie. Koci pazurek bez trudu przeszedł przez luźny splot dzianiny. Jeden maluch został złapany, a drugi nawet się nie pokazał. Musieliśmy wracać, nie zrealizowawszy planów.

– To tylko przypadkowe drapnięcie. Gorzej jest z ugryzieniem. Ich zęby są jak dziurkacze.

– Mimo wszystko zdezynfekuj.

– Wiadomo. Mam ze sobą wodę utlenioną. To nie pierwsza moja łapanka.

Kociątko zawieźliśmy do weterynarza, gdzie zostało z opiekunką.

Kiedy przyprowadza się kotka do domu, to mimo że w pierwszym okresie będzie odizolowany w klatce wystawowej, warto sprawdzić stan jego zdrowia. Niemal na pewno odkryjemy u niego pasożyty – zewnętrzne i wewnętrzne. To smutne, ale regułą jest też koci katar, niegroźny akurat dla ludzi oraz zaszczepionych kotów, dla malucha natomiast bardzo niebezpieczny i wymagający leczenia.

Z Redem, który zgodził się być naszym łapankowym kierowcą, i z łapaczem pojechaliśmy do fundacji, żeby zostawić kocicę. Bałam się tej wizyty, tych rzędów klatek, tych miauczących kotów, tego zapachu odchodów. Bałam się też ze względu na Reda. Mój przyjaciel, wytatuowany twardziel i motocyklista, natychmiast miękł, jeśli chodziło o zwierzęta. Wychodził z pokoju, gdy robiłam kotu zastrzyk, rozpieszczał psy, z niewinną miną karmiąc je pod stołem przy

obiedzie, czule przemawiał do królików, głaskał świnki morskie. I na pewno za nic na świecie nie chciałby znaleźć się w fundacji, bo ani by się spostrzegł, jak wychodziłby bogatszy o kilka ogonów.

Tymczasem ku mojemu zdziwieniu trafiliśmy do pomieszczenia z biurkiem, telefonem, formularzami i komputerem – ot, do takiego małego biura. Owszem, zapach chemiczny był mało przyjemny, ale nie ohydny. Miauki, niestety, zaraz się podniosły. Idąc za tym głosem, faktycznie trafiłam na ciąg klatek ustawionych na pierwszym i drugim piętrze regałów. Na parterze leżały stopy gazet. Każda z klatek miała przymocowaną plakietkę z numerem, obok wisiała karta kota opatrzona tym samym numerem. Była w niej informacja o jego płci, o dzielnicy, z której pochodzi, o danych opiekuna, czyli karmiciela, i o tym, czy zwierzę jest oswojone, czy nie. To ostatnie dało się zresztą szybko poznać po zachowaniu kotów: oswojone podchodziły bliżej i miauczały, dzikie cofały się w milczeniu. Oczywiście miałam ochotę zabrać oswojone ze sobą. To reakcja odruchowa. Nie jestem w tym osamotniona. I one nie są same, pomyślałam nader optymistycznie.

Dzika kotka, którą przynieśliśmy, już została zapakowana do klatki. Nie była to, jak się obawiałam, operacja trudna i krwawa. Zwierzę samo chętnie opuściło klatkę łapkę i usiadło w kąciku nowego pomieszczenia na stronie gazety obwieszczającej, że jedna modelka i jeden aktor już nie są parą. Zrozumiałam, że gazety miały sprawić, by koty zbyt nie nudziły, czekając na zabieg. Świet-

nie się też sprawdzały podarte na strzępy w kocich kuwetach. Jak się później dowiedziałam, prasę pochodzącą z nadwyżek nakładów przekazywano do fundacji bezpłatnie, dzięki czemu oszczędzała ona na żwirku, który nie dość że kosztowny, to przy dzikich kotach niezbyt dobrze się sprawdza podczas wymiany: wymaga wykonania o wiele bardziej skomplikowanych czynności przy kuwecie niż zwinienie gazety i zastąpienie jej nową.

Byłam coraz bardziej zachwycona fundacją. Wszystko tu miało sens. Koty przywożono na zabieg, a po wygojeniu się ran odwożono na miejsce bytowania. Czyściutkie kocie spa z najnowszą prasą. Wszystko klarowne jak algorytm blokowy. Jedyne, co nie pasowało, to obecność oswojonych kotów, takich jak moja Szara.

– Czy naprawdę one wszystkie zostały wyrzucone przez właścicieli? – odważyłam się zapytać.

– Nie – odpowiedział łowca kotów, wielki przeciwnik wypuszczenia kota na dwór. – Oczywiście niektóre wyszły na spacer i nie wróciły. Inne zwiały, kierując się potrzebą chwili. Różnie to bywa, ale moim zdaniem zawsze winny jest człowiek.

W tym momencie zapikał mu telefon.

– Super! Nowy ciachacz! Stracciatella urodziła!

Rozdział czwarty, w którym Szara popadła w niełasę

Wróciłam do domu bardzo z siebie zadowolona. Rozmyślałam o fundacji Ciach, o szczelnej logice, jaką się kierowałam. Usiadłszy przy herbacie, przypomniałam sobie o kawie pozostawionej na chodniku w śródmiejskim podwórku i głośno się roześmiałam. Nie wszystkim, jak się okazało, było do śmiechu.

– Jak mogłaś?! Jak mogłaś?! – wrzasnęła nagle mama w swoim pokoju. Krzyk był pełen pasji i urazy. Zerwałam się na równe nogi. Czyżby chodziło o śmiech kolidujący z aktualnym nastrojem mamy? Niemożliwe, przecież od czasu pojawienia się Szarej mama jest radosna jak skowronek.

– Mamo, co się stało? – zawołałam przerażona i pobiegłam, potykając się oczywiście o chodnik w przedpokoju.

– Widzisz, co ona robi z chodnikiem! – Ostatnie zdanie, pełne oburzenia, mama wypowiadała, gdy podnosiłam się z podłogi. – Widzisz!

W tym „wiedzisz” słysząc już było zaczątek szloch. Niedobrze, bardzo niedobrze, nie można pozwolić, żeby mama się rozkleiła, bo już nie przestanie.

– Wrzeszczysz, aż się wystraszyłam! Myślałby kto, że coś ci zrobiłam.

Mama dramatycznym gestem uniosła koldrę na wysokość swo-

jej mokrej od łez twarzy i wykrzyknęła:

– Ten kot!

Aha, „ten kot”... To właściwie wszystko wyjaśniało. Uspokojona rozejrzałam się za Szarą. Nigdzie nie było jej widać.

– Złała się na kołdrę? – miałam nadzieję, że w moim głosie nie dało się wyczuć ulgi.

– No właśnie! Dlaczego?! Dlaczego mi to zrobiła?! – W głosie mamy zadźwięczał histeryczny ton.

Obejrzałam kołdrę. Plama była ogromna, na szczęście wyjątkowo mało w niej było ekstraktu *leau de kuvette*. Szybko sprawdziłam, czy coś wsiąkło w materac. Na szczęście sucho. Wpakowałam kołdrę i poszwę do pralki i wybrałam program. Czynność mało skomplikowana, ale gdyby miało się okazać, że trzeba ją powtarzać codziennie...

– Nic dziwnego, że wylądowała na ulicy, przecież nikt nie wytrzyma czegoś takiego.

Mama zalewała się łzami. A mnie ostatnie zdanie zaboląło. Teraz i ja byłam wściekła.

Zadzwoił telefon. Wyświetlacz anonsował Maję. Czy dam radę rozmawiać, będąc taka podminowana?

– Jasna cholera, jasna cholera, jasna cholera – powiedziałam przed wciśnięciem zielonego przycisku, a potem do słuchawki: - Cześć! Dobrze, że dzwonisz. Sprawa jest!

– Nie przeszkadzam? – Maja coś wyczuła w moim głosie, ale i

jej głos zdradzał zdenerwowanie.

– Ale skądże! – Nie wiedziałam jeszcze, co chcę powiedzieć. Na pewno powinnam się poradzić, chociaż w tej chwili raczej należało się zająć mamą niż kotką. Miałam jednak nadzieję, że jeśli mama usłyszy racjonalne wytłumaczenie zachowania kotki, przestanie myśleć, że był to postępek skierowany przeciwko niej.

– Przytrafiło mi się coś koszmarnego – kontynuowała Maja. – Chcę zapytać, czy mogłabyś mi pomóc?

– Pytaj, to nic nie kosztuje.

– Jestem trochę zdenerwowana, bo właśnie odebrałam telefon od kobiety, która kilka miesięcy temu wzięła ode mnie Tunię. Wszystko układało się dobrze, aż tu nagle dzwoni i wiesz, co mówi? Aż wstyd powtarzać! Powiedziała, uważaj: „Niech pani zabiera kota, bo szcza na łóżko!”.

Spasowiałam. Sytuacja niemal identyczna (pomijając brak zamiaru usunięcia Szarej z domu).

– Że co? Że szcza? No, naprawdę, zero kultury! – Wypadalo się oburzyć.

– Właśnie. Nawet nie spróbuję przekonywać tej kobiety. Była tak wściekła, że bałabym się zostawiać u niej kotkę. Nie wiem, co robić. Kot, przebywając u mnie, zachowywał się bezbłędnie, jeśli chodzi o kuwetę. U niej przez wiele miesięcy też. Coś się musiało stać!

– Na przykład co? Czy powodem mogły być nerwy? – Pomy-

ślałam, że zaraz czegoś ciekawego się dowiem.

– O tak, nerwy, choroba, wszystko. Kot sygnalizuje w ten sposób swoje niezadowolenie. Mógł nie mieć dostępu do łazienki, mógł się przestraszyć. Mógł mu się żwirek nie spodobać. Albo przestawiono mu kuwetę.

– Gdyby to się stało tuż po przeprowadzce, łatwo dałoby się wytłumaczyć – zaryzykowałam stwierdzenie, którego nie byłam pewna.

– Oczywiście, gdyby zdarzyło się na nowym miejscu, w ogóle bym się nie dziwiła. Przeprowadzka jest dla kota bardzo przykrym przeżyciem.

A więc wszystko dało się wytłumaczyć! Jednorazowa wpadka. Pozostawało ugłaskać mamę, oczywiście jak przestanie się jeżyć. Ugłaskać, ale się nie pokłuć.

– Co teraz zrobisz z Tunią? – zapytałam. – Zabierzesz ją znów do siebie jako – usiłowałam sobie przypomnieć właściwą liczbę – dwunastego kota?

– A bo ty nie wiesz, że załatwiłam adopcję Molly! – podchwyciła Maja i dodała: – Z Tunią jest jeszcze ten kłopot, że to jedy-naczka.

– Nie ma rodzeństwa? To chyba ewenement w świecie kotów? – zażartowałam.

– Ty jesteś niereformowalna w kwestii przyswajania „kociarskiego” słownictwa! „Jedynak” to kot, który musi przebywać sam,

bez towarzystwa innych zwierząt. Z innymi nie czuje się dobrze, nie potrafi sobie znaleźć miejsca, co się różnie objawia.

– Na przykład sikaniem?

– Na przykład, ale tu nie wchodzi w grę taki przypadek, bo Tuńka była jedynym kotem w tamtym domu.

– Zabierasz ją?

– Bezwzględnie! Ale nie mam dokąd. Może znasz kogoś, kto by ją przyjął na trochę i kto nie ma w domu żadnych zwierząt?

Zastanowiłam się. To nie było łatwe. Gdybym przedstawiła Redowi sytuację tak, jak opisywała ją Maja, na pewno bardzo by się przejął i zabrał kotkę do siebie, ale czy miałam prawo tak postąpić?

– Maju, a jakie są szanse na...

– ...adopcję? Z tym może być słabo. Jedynaczka, nerwowa (choć tego dokładnie nie wiemy), wróciła z adopcji, a jednocześnie bardzo ładna i taka przylepna. Lubi grzać kolana. Taki kot modelowy. Może więc się uda.

– A jak się nikt nie znajdzie, to co zrobisz?

– Nie wiem. Czarna rozpacz. Słyszałaś o umowach adopcyjnych?

– Tak, podpisują je osoby oddające i przyjmujące zwierzę.

– A znasz ich treść?

– Pobieźnie. Wszystkiego nie pamiętam. Na pewno jest tam coś o oknach i że nie wolno zwierzątka oddawać dalej.

– Tak, ale istnieje możliwość zwrócenia go tam, skąd się wzię-

ło. Na myśl, że nagle ci wszyscy ludzie zadzwoniliby do mnie z zamiarem zwrotu, chyba bym osiwiła. A mogą!

– Przecież nie wszyscy naraz... Podpisujesz umowę jako jedna *te* stron i podejmujesz zobowiązanie, którego de facto nie jesteś w stanie spełnić.

– Zawsze jednak mogę umieścić kota w innym domu tymczasowym. Widzisz, jak ważne są takie domy jak twój?

– A jak zachowywała się Tunia u ciebie przed adopcją? Wiedziałaś, że to jedynaczka?

– To się wtedy okazało. Ona się męczyła, chowała, tłukła z innymi. Coś okropnego. Przez dwa miesiące izolowałam ją w łazience. Było ciężko.

Przypomniałam sobie moje czasy przedszkolne. Właściwie rozumiałam Tunię, że wolała życie w izolacji niż wśród pobratymców, ale Szara chyba nie byłaby zadowolona z takiego odseparowania. Ostatecznie musiałam pożegnać się z Mają, nie rozwiązawszy jej problemu, i zabrać się do naprawiania tego, co zmalowała Szara.

Mama nie szczędziła jej nieprzyjemnych słów, których kotka wprawdzie nie rozumiała, ale czując skierowaną ku sobie niechęć, usuwała się. Martwiłam się, że narastanie konfliktu spowoduje u niej większy stres i kolejne wpadki oraz pogłębi niechęć mamy. I tak jak w baśni o śwince, która nie chciała przejść przez kładkę, skończy się na tym, że będę musiała iść do słońca, żeby szybciej wzeszło, gdyż wtedy dopiero wszystko się naprawi. Z konfliktu mamy i Szarej nie

było innego wyjścia niż przeczekanie. Mama z osoby zachwyconej kotką zmieniła się w osobę zawiedzioną. Szara została skazana na banicję, a drzwi do dużego pokoju pozostawały zamknięte, co w pewnym sensie ceniłam sobie ze względu na tłumienie głośnych dyskusji politycznych, jakie mama zwykła prowadzić z telewizorem.

Mogłam być pewna, że w ślad za skrzyknięciem zawiasów i głośniejszą melodią telepapkki zaraz usłyszę:

– Wiem, tylko czekasz, żeby wejść tu i znowu mi zrobić przykrość, ale nic z tego!

Denerwowało mnie, że mama nie chciała popatrzeć na zachowanie Szarej obiektywnie, że kotka rzeczywiście zrobiła jej przykrość, ale bez tej satysfakcji, jaką prawdopodobnie odczuwa złośliwy człowiek, doprowadzając kogoś do łez, że chciała coś uzyskać, coś zakomunikować. Chwył poniżej pasa? Możliwe, ale ten przeciwnik nie ma szans sięgnąć wyżej. Nieśmiało próbowałam tłumaczyć mamie, że Szara nie jest człowiekiem. Wiedziałam, że za jakiś czas będą w równie dobrej komitywie jak przed wpadką.

Wśród siedmiu listów, które dostałam po publikacji pierwszego tekstu na fundacyjnym blogu, znajdował się mejl od Luški.

Nazywanie Luizy Lušką wiąże się z ryzykiem. Dlatego, mimo że świerzbi mnie język, oficjalnie nazywam ją Luizą. Ona w rewanżu nazywa mnie ciągle Kinią, czego ja z kolei nie znoszę.

Luiza we właściwy sobie sposób gardzi wszystkimi, a robi to z

wielką życzliwością. Jednym słowem, stać ją, damę i intelektualistkę, na pobłażliwe spojrzenie na swoich niedorozwiniętych kolegów. Mężczyźni ją bawią i ma dla nich najwięcej tego typu sympatii połączonej z wyrozumiałością, bo „to przecież nie ich wina, iż tak zostali zrobieni, że myślą... hm... no wiesz”. Tyle że ja nie wiem i z przykrością wysłuchuję takich opinii, mając przy tym wrażenie, że Luiza to wie. Pochłaniają ją szczegóły i przesłaniają widzenie całości, również siebie. Dlatego też nie zaskoczyło mnie, że napisała: „Kiniu, dziwię się, że jesteś w stanie robić rzeczy związane z fundacjami prozwierzęcymi. Wokół takich instytucji często jest wiele hałasu, panuje niedobra atmosfera, a reperkusje tej sytuacji mogłyby ci boleśnie dotknąć. Pamiętaj, że zwierzę zawsze sobie poradzi i przetrwa. Zwłaszcza kot. Z psem już gorzej, on jest bardziej uzależniony od człowieka. Bez względu jednak na mój sceptycyzm, życzę ci powodzenia”.

Zastanowiłam się przez chwilę, o jakich reperkusjach mówi Luiza. Z zawodu i zamiłowania jest przecież architektem, a nie, na przykład, prawnikiem lub dziennikarzem, którzy z racji swojej profesji najczęściej zderzają się z kwestią nieuczciwości w fundacjach. Poza tym jaki związek ze mną mogłyby mieć ewentualne szwindle w fundacji? Nie pocieszyło mnie ostatnie zdanie listu: „Jesteś wyjątkowo podatna na manipulacje emocjonalne, jak to kobieta”. „Jak to kobieta”, miałam ochotę rzucić kubkiem z matę o przeciwległą ścianę. W porę jednak sobie uświadomiłam, że przebywam w miejscu

pracy, a w dodatku, że napar z mate zostawia zjadliwie zielone plamy. Wiedziałam z doświadczenia, że ludzie, którzy chętnie rozgadują się na temat „jak to kobieta”, lubią również pogadać sobie, dlaczego nie przepadają za kotami, a za psami już tak, i czemu urodzony Skorpion zodiakalny to niezawodnie wamp.

Znałam problem Luizy – była niepewna siebie, więc musiała znaleźć w świecie punkty pewne: nieodpowiedzialnych mężczyzn, Skorpiony łase na pochwały, dumne koty. Dzięki temu świat stawał się prostszy. Niestety – pomimo szczerzej sympatii do Luizy, nie mogłam zaakceptować jej punktu widzenia, choć zapewne żyłoby mi się łatwiej, gdybym zgodziła się na stereotypy. Łatwiej, ale nudno. No bo po co poznawać nowych ludzi, skoro każdy mężczyzna okaże się błaznem, a kobieta ofiarą, wszędzie wkoło zaś pełno będzie wyniosłych kotów? Ja wybrałam świat skomplikowany do granic możliwości, gdzie dwa koty mają zupełnie inne usposobienia, dwie fundacje prezentują inne stanowisko w sprawie kreatywnej księgowości, a dwie kobiety: Luiza i ja, w ogóle nie są do siebie podobne.

Przyjaźń Luizy była dla mnie mimo wszystko bardzo ważna, więc wzięłam sobie do serca jej słowa i zaczęłam rozważać pogląd, że „zwierzę sobie poradzi”. Tak, nie raz i nie dwa słyszałam: „To dziki kot, z niejednego pieca chleb jadł, jamnika by pogonił”. Prachtettowski wizerunek Greebo, kota, który niczego się nie boi, więcej – to jego boi się cała reszta, kota, który pogoniłby jamnika, a potem go zjadł, jest uproszczeniem. Greebo to bestia niemająca wiele

wspólnego z otyłymi poduszkami, które ludzie układają sobie na kolanach i nazywają kotami. Z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że zanim dziki kot stanie się Greebo, umrze. Na tyfus, z głodu, pod samochodem, z zimna albo wskutek choroby. Jeśli zaś jakimś cudem nie umrze, to będzie chorował, cierpiał niewygody, marzył, głodował i nosił na sobie całkiem gruby płaszcz z pcheł. Już słyszę głosy, że takie jest życie. Owszem, życie jest ciężkie, gorzkie, niełatwe, a jego piękno w tym, że smutek przeplata się ze szczęściem. Cóż, gdyby kot tak właśnie postrzegał świat, miałby kciuk przeciwstawny do pozostałych palców i być może stałby obok Luizy, mówiąc: „Pani Rydzewska, ja ten projekt muszę mieć na jutro”. Uczłowieczanie kotów nie wychodzi im na zdrowie, a także nam, bo zainstalowana w głowie błędna informacja, że kot jest „tajemniczy, samodzielny czy dumny”, prowadzi tylko do kolejnych błędnych wniosków.

Podobnie jak Luśka, kilkoro moich znajomych dociekało, dlaczego zdecydowałam się na wolontariat w organizacji kociej, a nie psiej.

Moja rezerwa wobec psów podyktowana jest podobno traumą z dzieciństwa. Z opowiadań rodziców odtwarzam taką oto scenkę, której sama zupełnie nie pamiętam. Jest słoneczny dzień, dzieci bawią się w piaskownicy. Na plac zabaw wpada rozbrykany młody dog o posturze cielaka i zaczyna radośnie harcować w piasku, skakać przez przeszkody, czyli dzieci, słowem – dobrze się bawić. Zapewne nie

ma złych zamiarów, lecz mimo to kilkoro maluchów zaczyna płakać, jedno z nich ucieka na drabinkę i odmawia zejścia, a pozostałe bawią się gorzej niż ów dog. To, że nie pamiętam tego zajścia, nie znaczy, że nie wywarło ono na mnie wpływu, choć jestem przekonana, że o wiele bardziej znaczący ślad pozostawiły dwa inne incydenty: ze szczekaniem oraz świnką, a także wielce pedagogiczne pouczenia. Szczekania nie lubię do dziś. Po pierwsze, wzdragam się, gdy słyszę nagły hałas, tak zapewne reaguje wiele osób. Zawsze mi tłumaczono: „Pies wie, kiedy się go boisz, i wtedy szczeka jeszcze zajadlej”. Próbowалам więc bać się mniej, lecz nic z tego nie wychodziło, bo oczywiście pies nie próbował mniej jazgotać. Poza tym nie mogłam zrozumieć, czemu on w ogóle na mnie szczeka, skoro ja tylko przechodzę obok lub jadę na rowerze i wcale go nie zaczepiam, a wręcz omijam. Rodzice służyli wyjaśnieniem: „Wiesz, psy tak mają, pewnie się boją”. Wyglądało więc na to, że bojąc się, tkwimy w impasie oboje: ja i pies.

Kiedy miałam mniej więcej osiem lat, rodzice obdarowali mnie świnką morską – Futrzakiem. Moje przywiązanie do zwierzątka było ogromne, nic więc dziwnego, że za przyzwoleniem taty brałam je latem do parku, gdzie niezmiennie spędzaliśmy popołudnia. Futrzaczek siedział sobie w koszyku, dopóki nie zdecydowałam, że jest bezpiecznie. Wtedy stawiałam go na parkowej alejce lub łączce, a on, nawet gdy obok rósł kuszący mlecz, podążał za mną, reagując na każdy mój ruch, tak jakby z moją kostką łączyła go jakaś nitka. By-

łam bardzo dumna z mojej świneczki, tym bardziej że dzięki niej nigdy nie brakowało mi kompanów do zabawy. I wcale nie chodziło o zabawy ze świnką – Futrzak okazywał się jedynie wabikiem. Tata zawsze powtarzał, że muszę bardzo uważać na psy, bo mogłyby się zainteresować Futrzakiem i, jak to dyplomatycznie określił, „nieźle go pogonić”. Bardzo uważałam, choć byłam przekonana o niesprawiedliwości takiego stanu rzeczy. Dlaczego mam ograniczać swobodę łagodnemu i niegroźnemu Futrzakowi? Czy to nie przestępców powinno się zamykać do więzienia, żeby nie krzywdzili niewinnych? Czy wśród ludzi byłoby przyjęte, żeby ograniczać i trzymać pod kluczem niewinnych? Przyznam, że jestem dumna z moich ówczesnych rozważań jako ośmiolatki i rada, że wtedy jeszcze nie wiedziałam, iż to właśnie niewinni muszą zmykać i się pilnować.

Pewnego dnia jakiś sprytny jamnik mimo wszystko podbiegł do Futrzaczka i... We wspomnieniu widzę świnkę w pysku psa, ale przecież tak być nie mogło, bo Futrzaczek wyszedł z opresji bez szwanku. Coś mi się przywidziało. Może pies go polizał? A może tylko powąchał? Tak czy owak, pamiętam opętańczy wrzask, jaki z siebie wydałam i nie przestawałam wydawać przez kilka najbliższych minut. Mój tata zjawił się przy nas w ciągu nanosekundy i też zaczął wrzeszczeć, bo nie zaliczał się bynajmniej do stoików, a mnie i świnkę lubił znacznie bardziej niż jamnika i jego pana. Odziedziczywszy temperament po ojcu, wtórowałam mu tak zaciekle w sprzeczce, że właściciel psa, początkowo usiłujący mnie pogłaskać,

zasugerował, że może to nie jego czworonogowi, lecz mnie należałoby założyć smycz i kaganiec. Szczęściem przebywaliśmy w parku, a wokół zgromadziło się kilka osób, więc nie związaliśmy pana i psa smyczą i nie zostawiliśmy na pożarcie wszystkim świnkom morskim świata.

Osobną sprawą kształtującą mój stosunek do psów było tłumaczenie tego incydentu przez rodziców: „Pies musi gonić, gdy coś mu ucieka” lub wręcz „Psy są po prostu nieobliczalne”. Równie ciekawych rzeczy dowiadywałam się o kotach, ale ich się nie bałam, bo nie szczekały i nie miały okazji dobrać się do mojej świnki.

Muszę dodać, że psy moich kolegów nigdy mi nie zagroziły. Pamiętam bardzo dobrze i wspominam ciepło te zazwyczaj poczciwe, łagodne istoty, które raczone codziennie porcją dziecięcego miętoszenia, uodporniły się na dziwne traktowanie. Nawet ich poszczekiwanie zachowałam w pamięci jako niższe i brzmiące raczej radośnie niż niepokojąco. Był Kłopot, czarny kudłacz, który odprowadzał moją koleżankę do szkoły i wracał sobie do domu sam. Jego przemyślność i orientacja w terenie wydawały mi się niesamowite. Była Bambinka, biały miniaturowy pudel, który bardzo wysoko skakał i nie umiał oduczyć się nad wyraz ekspresyjnego witania się z ludźmi. Nie bałam się go jednak, choć rajstopy często miałam w strzępach, a mama nie wydawała się tym zachwycona. Był Trampek, wyjątkowo bystry psiak, z nim pierwszym bawiłam się bez lęku w znaną wszystkim szczeniakom zabawę „mam zęby!”. Był też kochany sta-

ruszek Ami, przybrany ojciec porzuconego kociątka. Jego otwartość i sympatia do wszystkich chyba ludzi na świecie może nie pasowały do obrazu psa jako istoty rezerwującej swoją miłość do jednej tylko, wybranej osoby, ale dla mnie pozostał ideałem, i to nie tylko w kategorii „idealne zwierzę”.

Kochałam je wszystkie, jednakże wobec psów nieznanych do dziś zachowuję rezerwę i odczuwam napięcie w mięśniach grzbietu. W ogóle zaś go nie doznaję, gdy mam do czynienia z kotami. Wystarczyło kilka niefortunnych zdań nieumiejętnie tłumaczących świat tych zwierząt, dwa incydenty, które zapewne były mniej niebezpieczne, niż się wydawało, bym pomimo całej sympatii pozostawiała margines niepewności, dystans bezpieczeństwa. Podejrzewam, że podobne doświadczenia ma za sobą ktoś, kto wypowiada się nieprzychylnie o kotach. Czy czasem nie słyszał od babci, że to zwierzęta przynoszące nieszczęście? Czy nie był przekonany, że ciche kocie kroki są dowodem przestępstwa? A może został podrapany w dzieciństwie przez zirytowanego Mruczka lub usłyszał, że „u cioci Helenki coś nie tak z głową, bo ma aż dwa koty”? Do takich podwalin szeptanej propagandy łatwo dorobić solidne argumenty na korzyść i niekorzyść obu gatunków. Tylko po co? Czemu niby należy dokonywać jakichś wyborów i klasyfikacji, zamiast cieszyć się różnorodnością i złożonością świata? Jeśli więc ktoś zapyta mnie, co wolę: koty czy psy, niezawodnie odpowiem, że wolę psa Amiego i kotkę Szarą.

Dlatego „na ptysiu” trochę się zdenerwowałam. „Ptys” to po prostu spotkanie przy piwie. Nazwa pochodzi od wspomnianego z leżką w oku przez pokolenie dzisiejszych trzydziestolatków napoju gazowanego Ptyś. Niełatwo się domyślić, że ich rodzicom przed laty łatwiej było udawać, że wszystko jest pod kontrolą, gdy słyszeli: „Idę z koleżanką na ptysia”. Ptysiowa koleżanka, z którą utrzymuję kontakty chyba tylko dlatego, że przy niej mam pewność, iż nie ja robię z siebie największego błazna, nie tylko dokazuje, ale też nie przejmuje się opinią otoczenia, w dodatku jest nieco zarozumiała i głośna. To osoba, z którą bardzo miło spędza się czas na imprezie, ale ostatnia, z którą pogadałoby się o problemach sercowych. Kiedy rozmowa zesłała na temat moich działań w fundacji, w pierwszym odruchu chciałam uciec, ale się powstrzymałam. Prędzej czy później ta rozmowa i tak mnie nie ominie, pomyślałam i przywdziałam zbroję.

– Przecież każdy wie, że zwierzęta to temat zastępczy. Osobiście nie mam nic przeciwko nim, ale wcale nie są tak ważne – perorowała koleżanka.

– Jak ważne? – spytał rzeczowo Małomówny, za którym nie przepadałam, ale teraz łapał punkty.

– Jak ludzie, rzecz jasna. A może się mylę... Raczej nie tak ważne w moim świecie.

– Ale wołowina jest ważna, co? – Małomówny wyczerpał już chyba limit słów na cały tydzień.

– Jak cholera. Ja mówię o maskotkach, które ludzie kupują sobie do domu. Jakieś pluszowe istoty do „ładniewyglądania”. Jeszcze psa kupić to ja rozumiem, konia czy kanarka, ale kota?

Właściwie mówiła do rzeczy. Interesowała ją wołowina od krowy, spacer od psa i aria od kanarka. Oferta kocia była bardzo subtelna. Może za subtelna. Mimo że robiło mi się gorąco i puls mi przyspieszył, udawałam, że śledzę pogawędkę dobiegającą z drugiego końca stołu i nie mam pojęcia, o czym tych dwoje mówi. Było to dość naiwne, bo głos koleżanki słyszeli wszyscy w pubie.

– Koty są wyniosłe i nudne, nic nie robią. Snobistyczne zabawki.

Wyeksploatowała się tym ostatnim zdaniem, bo zaraz zaczęła znajomą i zaczęła pokazywać jej jakieś zdjęcia na swojej komórce. „Brudny, zapchlony kot ma najmniej wspólnego ze snobistyczną zabawką, głupia kłepo”, powiedziało mi się w myślach.

– Ciekawe, czemu ludzie uważają koty za dumne – odezwał się cicho Małomówny. – To tak jakby masło uznać za pochlebcę, bo jest śliskie.

Już nabierałam powietrza, żeby mu odpowiedzieć, już układałam pierwsze zdanie, gdy na stole pojawił się rachunek.

Tej nocy nie spałam dobrze. Raz, że ptyś krążył jeszcze w moich żyłach, a dwa, że wciąż prowadziłam dwutorową rozmowę z koleżanką i Małomównym. O czwartej rano byłam już tak wyczerpana ścieraniem się na argumenty w rodzaju: „A czy ty przychodzisz od

razu na zawołanie?”, „A te kłaki wszędzie, fuj”, „Tak, antropomorfizowanie jest koszmarnie”, że wstałam, zagrzałam mleko i popijając, rozwiązywałam krzyżówkę przy kuchennym stole, żeby odciągnąć myśli od irytujących tematów. Przyszła Szara i usiadła na drugim krześle.

– Jesteś nudna? – zapytałam.

Ziewnęła i popatrzyła z miną: „Chyba ty”. A potem zwinęła się w kłębek i zasnęła, zupełnie nie przejmując się opiniami ludzi. Daje słowo, w tym momencie przypominała moją koleżankę „od ptysia”.

Na głowie miałam szafirowe nauszники. Ogromne i puchate. Drogowcy może i nie, ale ja byłam przygotowana na falstart zimy. Idąc do Stracciatelli, przeglądałam się w każdej wystawie, bo wyglądałam jak księżniczka Lea skrzyżowana ze Smerfetką, czyli bardzo ładnie i bardzo śmiesznie. A zamierałam kupić kapelusz, no bo skoro miałam już płaszcz, a nie kurtkę, to dorosłam też do kapelusza. Chyba jednak nie, bo nauszники wprost błagały, by je nosić. Nie było śniegu, tylko mróz. Przyjemnie mi się oddychało tym ostrym powietrzem, jeszcze dalej się szło. Przecięłam park, zatrzymałam się przy „Powszechnym”, rozważając, czy iść dalej Jagiellońską, czy Targową. Wybrałam tę drugą, bo Jagiellońską zawsze przejeżdżałam rowerem i chciałam, by pozostała moją trasą rowerową. Na Targowej lubię sklepy w starym stylu, ten z ręcznikami, optyka ze spłowiałymi zdjęciami na wystawie i drogerię Izis z przykurzonymi pudełkami

kremów. Potem ciągną się sklepy z używaną odzieżą, jeden za drugim – wyprzedaż, promocja, dostawa, likwidacja. Obie ze Stracciatellą jesteśmy entuzjastkami ubierania się w rzeczy z drugiej ręki i akurat między naszymi domami jest całe zagłębienie tych sklepów. Nie weszłam jednak do żadnego, bo bardzo spieszyłam się na spotkanie. Na Nowej Pradze pierwszy raz zobaczyłam skupisko klubów przy Inżynierskiej w świetle dziennym. Uff, już blisko. Trochę się zmęczyłam.

Otworzyła mi ruda dziewczyna z niemowlęciem w ramionach. Rudy kot przebiegł po pomarańczowej podłodze i wypadł na klatkę schodową. – Łap Dyżka!

Kocur, seryjny uciekinier, zatrzymał się przy schodach i obejrzał na mnie. Bez oporu dał się wziąć na ręce i zanieść do najbardziej pomarańczowego miejsca na świecie. Tak musiał się czuć Jakubek, przegryzając się przez brzoskwinę olbrzymkę, lub ktoś odwiedzający amerykański festiwal dyń. Stracciatella wyglądała jak typowy rudzielec: mleczna karnacja i tysiące piegów. Dotarło do mnie, skąd się wzięło jej przezwisko.

– Stracciatella! – dałam wyraz swemu odkryciu.

– To właśnie ja – odpowiedziała i wskazała na dziecko. – Muszę je nakarmić, a potem wyjdziemy na spacer, dobrze? Wszystko ci pokażę, nie tylko kluby!

Niemowlak był spory, a Stracciatella niewielka, odnosiłam wrażenie, że jest jej ciężko, choć miała świetny humor. Potem okaza-

ło się, że taka jest – bardzo wesoła i pozornie beztroska.

Chodziłyśmy po Pradze, Antek spał słodko, przymocowany do piersi mamy i przykryty wraz z nią jednym płaszczem. Było bardzo zimno i pogodnie, a okryta złą sławą Praga wydawała się wprawdzie bardzo zniszczona, ale i bardzo przyjazna. Była to zapewne zasługa Stracciatelli, która mówiła cały czas i zwracała uwagę na to, co ładne. Tylko raz przewinął się temat kotów, gdy przechodziłyśmy koło pałacyku Konopackiego. Rezydowała tam bezdomna kotka, która jednak postanowiła nam się nie pokazywać. Miałam nadzieję, że zaszyła się gdzieś we względnie ciepłym miejscu.

Po powrocie do domu Stracciatella zmierzyła mnie wzrokiem i przyniosła kupkę ubrań. Stwierdziła, że „szafiarstwo” stało się jej nałogiem i tylko patrzeć, jak mąż zacznie nalegać na leczenie. Jak przystało na osobę, która nosi płaszcz w serduszka, Stracciatellą miała same zabawne i kolorowe ciuchy, więc jak przystało na osobę, która nosi wielkie niebieskie nauszники, przyjęłam wszystkie te rzeczy z pocałowaniem piegowatej ręki.

– Słuchaj, a może byś zrobiła kilka scenariuszy komiksowych?
– Wiara Stracciatelli w moje możliwości była nieograniczona. Nie pomogło tłumaczenie, że się nie znam i nie umiem. Moje jęki skwitowała jednym zdaniem: – Wszystko jest możliwe. Urodziłam dziecko, to chyba jakiś dowód!

Tak spotkałam Stracciatellę, wszechstronnie rudą miłośniczkę kotów, z którą na szczęście miałam o wiele więcej wspólnego niż

sympatię do czworonogów.

Mijały dni i tygodnie, a drzwi do pokoju mamy pozostawały przed Szarą zamknięte. Sądziłam, że przebaczenie nastąpi szybciej, tymczasem mama była nieufna. Szara z kolei ze zdezorientowanej stała się obojętna. Od początku wybrała sobie pokój mamy, mamy łóżko, mamy krzesło, mamy parapet i mamy towarzystwo. Okazywała mi sympatię, ale gdy mogła wybierać, szła do mamy. Teraz zostaliśmy we dwie. Czasem miauczała pod maminymi drzwiami, trochę drapała, lecz daleko jej było do rozpacz. Po dwóch dniach tamta część mieszkania przestała ją przyciągać, jakby przedpokój dzieliła niewidzialna ściana. Sypiała przeważnie koło mojej poduszki, dzięki czemu zaobserwowałam, że przez sen wzdycha. Wydawało się, że wystarczy zadać jej jakieś pytanie, by zaczęła mamrotać odpowiedź przez sen. Nie bałam się o moje łóżko, byłam święcie przekonana, że wypadek z siusianiem przydarzył się Szarej jednorazowo. Nie pomyliłam się, o czym nie omieszkałam wciąż przypominać mamie.

Drzwi do pokoju mamy coraz częściej bywały, niby przypadkiem, uchylone. Kołdra wyschła, potem została oblana herbatą i znów uprana, jeszcze raz wysuszona, obleczona w nową powłoczkę, bo stara troszkę się pobrudziła tuszem, gdy mama na leżąco rozwiązywała krzyżówki. Można powiedzieć, że listopadowe przygody kołdry były nadzwyczaj intensywne. W końcu drzwi się otworzyły na dobre. Mama wyszła z za nich nieco naburmuszona, lecz skłonna

do pojednania. Nie miała jednak z kim się jednać. Kotka nadal widziała w przedpokoju ścianę i się nie zbliżała. Czy była zła? Nie sądzę, bo w kuchni czy łazience z sympatią traktowała starszą opiekunkę. Przypuszczam, że przekonawszy się raz a dobrze, że drzwi są zamknięte, nie miała zamiaru tego doświadczenia powtarzać. Podobnie postępowała z drzwiami wejściowymi: po jednej krótkiej wybieżce na klatkę schodową przestała uważać ten otwór w ścianie za przydatny do jej celów.

Myślę, że takie właśnie są koty: w żaden sposób nie złośliwe czy pamiętliwe, raczej pamiętające ze względów praktycznych. To przemawia na ich korzyść, świadczy o inteligencji i zdolności uczenia się.

Rozdział piąty, w którym nie dowiedziałam się, czemu nie powinno się używać słowa sterylizacja

Zarówno Biuro Kontroli Schronisk (BKS), jak i Ciach powstały z inicjatywy Anny i Tadeusza Wysockich, jednakże do wypełnienia nadrzędnego celu, jakim jest dobro zwierząt i poprawa ich losu, podążają całkowicie różnymi drogami. Ciach to ośrodek nastawiony na działania bezpośrednie, skupione na określonym terenie, BKS działa w całym kraju i w sposób ogólny monitoruje schroniska. Misja Ciachu jest łatwiejsza do zrozumienia czy zauważenia, bo odnosi się

do spraw tu i teraz. BKS nastawiony jest z kolei na aktywność długofalową, niekoniecznie efektowną, dotyczącą zmiany nastawienia do zwierząt i sposobu ich chronienia w dłuższej perspektywie czasu. Ciach zajmuje się wyłącznie kotami, BKS wszystkimi zwierzętami trafiającymi do schronisk. Przede wszystkim jednak różni obie te instytucje to, że w Ciachu się działa, osiąga pozytywne efekty, przyciąga ludzi z inicjatywą, otwartych i pogodnych, podczas gdy w BKS-ie przygotowuje się raporty, których czytanie jest torturą, nie wiem, czy bardziej przygnębiającą z powodu ogromnej liczby umierających zwierząt, czy też ze względu na mur obojętności sądownictwa. Pociechę dla czytelnika stanowi fakt, że takie raporty powstają i piętnują niewłaściwą działalność schronisk w Polsce.

Moja współpraca z Ciachem, jak się wkrótce okazało, nie ograniczyła się do wrzucania co jakiś czas tekstów na blog. Wkrótce poznałam osobiście szefostwo. Zżerała mnie trema, jaką odczuwa się, idąc na spotkania z ludźmi znanymi lub godnymi szacunku, którzy uświadamiają nam, jak sami niewiele w danym zakresie zrobiliśmy. Obawiałam się, że nie sprostam ich oczekiwaniom wobec mnie. Obie z Mają zostałyśmy zaproszone na obiad.

Długie światła samochodu przeczesywały zarośla. Wśród prószącego śniegu i ciemności wypatrywałam drogi. Niewątpliwie znalazłyśmy się w lesie, choć przed chwilą byliśmy jeszcze na ulicy. Tu i ówdzie leżał śnieg, który na miejskich jezdniach dawno już stopniał. W rzeczywistości nadal przebywałyśmy w obrębie miasta, ale w

takim jego drobnym fragmencie, gdzie zdołał ukryć się niezwykle dom z naiwnych marzeń o domu z mnóstwem dzieci i zwierząt, z ogrodem, domu jasnym, wspólnym i prostym. Zachwycił mnie on od chwili, gdy mrugnął do mnie spomiędzy płatków śniegu i zza wyłaniających się w ciemności gałęzi. Dłuższa ściana kuchni jest przeszklona, wchodzący widzi więc od razu olbrzymi stół i wielkiego psa, a jeśli dobrze się przyjrzy, dostrzeże mnóstwo kolorowych kocich kłębków.

Ten obraz ciepłego i solidnego domu Wysockich należy zrewidować po obejrzeniu go w świetle dziennym: okazuje się bowiem, że to letniak, z cienkimi ścianami, bez piwnic, papierowo-szklana konstrukcja, która z racji swej specyfiki i izolacji od innych zabudowań ma jednak wiele uroku.

Ogromny pies o imieniu Rudy nieprzystojnie zanurkował nosem między moje nogi. Kiedy zaakceptował moje istnienie od pasa w dół, podniósł łeb i charakterystycznym gestem podbił mi dłoń. Tymczasem na jeszcze niższym poziomie walczyły o swobodny dostęp do moich łydek kolorowe kłębki. Ukucnęłam i na udo wskoczył mi ślepy buras, reszta kręciła się wokół, witając mnie tańcem z szaloną choreografią.

– Lubią mnie! – powiedziałam do gospodyni, z którą, ze względu na „atak parterowy”, nie zdążyłam się jeszcze przywitać.

– Nie chcę umniejszać pani radości, ale one wszystkich lubią. – Może nie były to pierwsze słowa, które powiedziała do mnie gospo-

dyni Anna Wysocka, ale na pewno pierwsze, które zapamiętałam. Ta wysoka, szczupła, krótko ostrzyżona pani, pobrzękująca biżuterią, na pierwszy rzut oka stanowiła moje przeciwieństwo, wystarczyło jednak, że rozejrzałam się po kuchni, by wiedzieć, że to tylko pozory. To była moja kuchnia. Kredensy, zegary, rzeźbione krzesła, dywaniki wyplatane z resztek tkanin, zaprzeczenie minimalizmu i meblarskiej kanciastości. Poczułam się swobodniej.

Może sprawił to wspólny posiłek zjedzony sztuccami ułożonymi na pięknych wspornikach, a może spotkanie z ludźmi sprawiedliwymi, odważnie realizującymi wspólny cel, a może siedzenie przy jednym stole – dość, że z każdą chwilą czułam coraz wyraźniej, iż do nich przynależę. Nie zdarza mi się to często i zdecydowanie nie wobec osób, które są de facto moimi przełożonymi. Może za sprawą kotów, które sprawiedliwie pełniły wartę na moich kolanach, a może dzięki gościnności gospodarzy, tamtego wieczoru stałam się „ciachaczką”.

Koty na kolanach zmieniały się jak w kalejdoskopie. Usiłowałam nauczyć się ich imion.

– A ten? – spytałam, wskazując na rudego kotka.

– Rudy Kotek.

– To widzę, ale imię.

– Właśnie Rudy Kotek.

Po chwili znów wskazałam na rudego kotka i upewniłam się:

– Rudy Kotek?

– Nie, to Paclapek.

„Robią mnie w konia”, pomyślałam! Po chwili jednak zobaczyłam równocześnie oba rude koty, dla mnie nierozróżnialne.

W imionach zwierzaków brak tu choćby śladu elementarnej politycznej poprawności: Rudy, Trójłapek, Prosiaczek, Fetorek, Przeszczep, Zombisław i Ślepaczek zostali nazwani tak nie bez przyczyny. Warto dodać, że Fetorek jest akurat fretką, bo wśród kotów smród należy do bardzo rzadkich cech.

Wszystkie koty są w jakiś sposób „felerne”, a to brakuje łapy, a to ogłady towarzyskiej. Na pierwszy rzut oka usterek nie widać, choć zamknięte powieki na lekko zapadniętych oczodołach Ślepaczka przyprawiły mnie o dreszcz. Sam Ślepaczek był uroczy: ostrożny i delikatny. Moje serce podbił Kubuś. Czarna, „długofutra” chudzina, lekka jak wróbel, z ptasią kostką wystającą jak haczyk z przodu klatki piersiowej. Kubuś najwyraźniej też mnie polubił, bo spędził sporo czasu, chrypiąc z zadowolenia na moich kolanach. Jego pomruk był zniekształcony katarem, z którego daje się go wyleczyć tylko czasami. Całkowicie stracił odporność, przeszedł panleukopenię, jest nosicielem fiv, cud, że żyje, więc okresowe zakatarzenie wydaje się szczegółikiem. Kubuś najwyraźniej o tym wiedział i zachowywał się jak zdrowy kot. Reszta sierściuchów też. Mimo wszystko całe towarzystwo (oprócz czwórki podrzuconych maluchów) nie nadawało się do adopcji.

To dom kotów. Narożniki ścian oklejono wykładziną dywa-

nową, żeby zwierzaki mogły się wspinać i ostrzyć pazury. Nisko w drzwiach umieszczono klapy. Koty mają też swój kredens. Na jego niższej półce stoi rząd dozowników chrupek, na wyższej znajdują się legowiska, a szafki pękają od lekarstw. Maja trzymała w zgięciu ręki dwa kociątka, a na kolanach ich przedszkolankę – Przeszczepa. W sprawie kociąt, które teraz jeszcze były zbyt małe do oddania, już dzwoniли chętni. W sprawie trójłapego kota, który otrzymał w końcu przydomek Wieczny Tymczas, nikt. Brak symetrii u trójłapego był trudny do odkrycia. Zwierzak tak zgrabnie zeskoczył z kredensu i wskoczył mi na kolana, że się nie zorientowałam. Nie znalazłam pozostałości po amputowanej kończynie, nic, tylko gładki, gęsto okryty futrem bok. Z obawą dotykałam miejsca, gdzie powinna się znajdować łapa. Naprawdę się bałam. Nie wiem czego: że go urażę?, że zachował jakieś wspomnienie łapki?, że wkraczam na teren zbyt intymny? Kot nie podzielał moich lęków, wyciągał się i cieszył z dotyku, który brał za czułą pieczętę. Pozwolił sobie na zapomnienie o przeszłości. Jeśli komuś należało tu współczuć, to raczej człowiekowi, który nie umie zapomnieć, przestać oglądać się wstecz i przyjąć rzeczywistości taką, jaka jest.

– Ten program jest być może dobry dla klinik weterynaryjnych, ale nieodpowiedni dla nas. Moglibyśmy z równym powodzeniem korzystać z bazy przeznaczonej dla agencji nieruchomości. Tyle że brzmiałoby to gorzej – żartowała pani Ania, „przeklikując” się przez kolejne okna bazy danych dla klinik weterynaryjnych. Po-

kazywała mi obejścia, jakie musiała stosować, żeby w nieprzystosowanej bazie ewidencjonować sterylizacje. Fundacja Ciach ma obowiązek sprawozdawczy wobec Urzędu Miasta. Poza tym warto wiedzieć, ile kotów z Mokotowa zostało wysterylizowanych lub który karmiciel ma największe stado. Miałam rozważyć możliwości dostosowania istniejącej bazy do potrzeb fundacji. Zastanawiałam się, czy istnieją programy zrobione konkretnie dla schronisk. Zapewne nie, skoro ewidencjonowaniu zwierząt nie poświęca się żadnej uwagi, a ich liczbę zaokrągla do stu sztuk. Zresztą gdyby nawet funkcjonowały takie programy, nie znalazłyby zastosowania w Ciachu, który z założenia wypuszcza zwierzęta, a nie szuka im domów.

W tym wypadku problem polegał głównie na eksporcie danych. Miałam rzadką okazję rozmawiania z kimś, kto dokładnie wiedział, czego ode mnie i od programu oczekuje. Często apel do informatyka brzmi: „Zrób coś!”, co nie jest najszcześniejszym zwrotem, bo „zrobić coś” oznacza także wstać i wyjść. Wszystkiemu winne są filmy pokazujące informatyków, którzy ledwie zerkną na ekran, a już wytrwale stukają w klawiaturę, wprowadzając tajemne formuły, czego efektem są piski właściwie pobudzonego systemu i usunięcie głowic nuklearnych, wirusów czy duplikatów zdjęć. Mój fart polegał na tym, że wiedziałam, czego ode mnie oczekiwano, a w dodatku problem leżał dokładnie w zakresie moich kompetencji zawodowych.

Nie pozostawało mi więc nic innego, jak wnieść trochę magii

do szarego życia pani Ani. Załomotałam w klawiaturę, a ekran posłusznie wypełnił się kolumnami danych.

– O, właśnie o to chodziło – pani Ania popatrzyła na mnie z niepokojem. – Jak pani to zrobiła?

Byłyśmy kwita. Podziwialiśmy się nawzajem.

Resztę wieczoru spędziłam w obłoczku samozadowolenia. Starczyło go do momentu, gdy z problemem niedostosowanej bazy usiadłam przed własnym komputerem. Perspektywa robienia bazy od podstaw jest przytłaczająca, ale poprawianie po kimś przypomina tango na polu minowym. Zdecydowałam się więc na samodzielność. Wszystko wydawało się proste. Koty są łapane przez łapaczy za pośrednictwem karmicieli. Istnieje więc jakiś kot i przypisani do niego łapacz i karmiciel. Na każdego łapacza może przypadać kilka kotów, podobnie jak na karmiciela. Konstruowanie bazy okazało się nie bardziej skomplikowane niż przepisywanie notesu z telefonami. I póki jeszcze siedziałam przy niej tego wieczoru ogarnięta entuzjazmem, wszystko szło jak po maśle. Kot wzdychał przez sen na parapecie, a ja nie zważając na późną porę, robiłam coś potrzebnego i sensownego. Przecież byłam czarodziejką.

Pierwsze dobre wrażenie, jakie ku mojemu wielkiemu zdziwieniu udało mi się wyrzucić na nowej szefowej, nie ustawało. Następnego dnia w pracy odebrałam telefon.

– Dzień dobry, dzień dobry! Jak się miewają mieszkańcy tym-

czasowi i stali?

– Bardzo, bardzo – zachichotałam. – Znaczy bardzo dobrze. Szara na razie nie splamiła ani honoru, ani kołdry powtórnie.

– Oczywiście, że nie. To był tylko stres i w zasadzie Szara w przykry sposób powiedziała nam, że wszystko z nią w porządku. Prawidłowo zareagowała na stres, którego odczuwanie przy przeprowadzce też świadczy o jej dobrej kondycji.

– Prawidłowo zareagowała! No, kto by pomyślał! Niech pani to powie mojej mamie, dobrze?

– Niech się pani nie martwi. Reakcja mamy także jest prawidłowa. Ani się pani obejrzy, jak obu im przejdzie. Dajmy im czas. Ruszyła pani z przemyśleniami na temat naszej bazy?

– Tak, to banalnie proste. – Za późno ugryzłam się w język. – Chociaż kiedy minęła fala pierwszego zapachu... już nie tak proste, jak sądziłam... To znaczy... może nie całkiem proste, lecz wykonalne bez zarywania nocy.

– Nocy proszę nie zarywać, zwłaszcza że mam całkiem nową propozycję. Nakręcimy film!

– Fascynujące, zamieniam się w słuch.

Rozmowa z panią Anią to wyjątkowa sprawa. Nie można ot tak sobie przejść do sedna. Trzeba się odrobinę wysilić, jak przy podjeździe rowerem pod niewielką górkę. Jest pięknie, świeci słońce, łapiesz oddech i rozglądasz się po świecie. Wysiłek wart efektu.

Okazało się, że w Ciachu ma odbyć się spotkanie z wolontariu-

szem, który wpadł na pomysł, żeby w ramach swoich zajęć szkolnych nakręcić coś dla nas. „Dla nas”! Tak właśnie pomyślałam. Nie minął miesiąc, a ja już zakładałam, że to stały związek. Co za naiwność!

Godzinę później pod mój biurowiec podjechał ford ze zrudziałymi nadkolami. W bagażniku klekotały jakieś kocie druciane klamoty.

– Niech się pani nie martwi, wszystkie klatki są puste. Możemy szaleć mimo dziur w asfalcie. Najwyżej nam się pojazd rozpadnie.

Ciach przywitał nas miaukami. Zazwyczaj głośne są koty oswojone, tym razem jednak zewsząd dobiegał wyjątkowy hałas. Kociątko o umaszczeniu syjama przechodziło z rąk do rąk. Przypominało zręczną małpiatkę, brakowało tylko tego, żeby zaczepiało się ogonem o pręty klatek.

Mały kot potrafi być nadzwyczaj ruchliwy. Zabawa z nim jest zupełnie inna niż z dorosłym osobnikiem. Dorosły nie stroni od figli, przy czym jedną papierową kulką może się interesować przez długi czas. Kociak nie jest w stanie porządnie skoncentrować się na kulce papieru, skoro wszystko wokół jest jeszcze nieodkryte. Pilnowanie małego zwierzaka wymaga mniej zastanowienia, za to zdecydowanie więcej refleksu. Dlatego nasza praca nad filmem przebiegała tyleż wesoło, co mało efektywnie.

Pomysł był mglisty: pokazać, czym się zajmuje Ciach, po co to robi i jak. Najpierw miało być statyczne przedstawienie ośrodka,

potem krótkie wstawki z terenu o działaniu łapacza.

Układanie scenariusza przerywałam głównie ja.

– Czy musimy koniecznie unikać słów „sterylizacja” i „kastrowanie”? – pytałam oburzona. – Przecież tym właśnie zajmuje się fundacja. Po co oszukiwać? To nie lecznica ani azyl. Nic z tych rzeczy.

Uważałam, że atutem ośrodka jest odmienne podejście do zagadnienia: wymiana uszczelki zamiast nieustannego wycierania zalanej podłogi. Jak można się tym nie chwalić? Jak można unikać mówienia o zaletach?

– Nie chodzi o kłamstwo – przekonywano mnie – tylko o posłużenie się innym słownictwem, gdyż ludzie na określenie „sterylizacja” zaczynają reagować jak na termin „aborcja”. To słowa kluczowe służące do wzniecania kłótni. A tego przecież nie chcemy.

Wiedziałam, że brak mi zdolności dyplomatycznych. Zastanawiało mnie jednak, kim są owi „ludzie”? Ja też jestem człowiekiem, a przecież wolę nazywanie rzeczy po imieniu.

– A jeśli nas nie rozumieją?

– Rozumieją. Uważasz, że „ograniczenie liczby kotów miejskich” brzmi niezrozumiale? – Przyszły filmowiec przewrócił oczami. Chyba już wszyscy mieli dosyć moich wątpliwości.

– Tak. Brzmi, jakbyśmy je zabijali.

– Nikt tak nie pomyśli – starała się uciąć dyskusję pani Ania.

Akurat! Mimo to uznałam, że sprawy wizerunkowe należy zostawić fachowcom.

Ze spotkania wyszliśmy z zarysem scenariusza i planem jego rozbudowania. Zadziwiające, ile pracy trzeba włożyć w kilkuminutowy film mający pokazać, jak odbywa się łapanie i wypuszczenie kota. Utrudnienie stanowiły przy tym warunki na zewnątrz: chłapa, wcześniej zapadająca ciemność, a podczas zaledwie kilku jasnych godzin wszyscy zainteresowani przebywali akurat w pracy. Jediną ludzką bohaterką miała być Maja.

Moje wcześniejsze mętne wyobrażenia o wolontariacie na rzecz zwierząt opierały się na wspomnieniach z wyprawy do schroniska, którą dwadzieścia lat temu odbyłam z przyjaciółką. Ona starała się wymóc zgodę rodziców na upragnionego pieska, ja jej towarzyszyłam, o ile dobrze zapamiętałam, bardzo niechętnie. Pamiętam też, że psy skakały na siatkę okalającą boksy, że szczekały i że się bałam. Nie widziałam żadnego kota, a może akurat żaden nie wywarł na mnie wrażenia, które przetrwałoby dwadzieścia lat. Pamiętam swój strach i zupełny brak współczucia. Marysia okazała się zdecydowanie wrażliwsza ode mnie, choć koniec końców tata kupił jej pudła na bazarze:

- Czy to pudle, proszę pani?
- Pewnie, że pudle! Czempiony by były, ale miot był duży...
- Dobrze, dobrze. Czy one są średnie?
- No średnie, średnie, tylko że jeszcze małe.

Marysia dostała wymarzonego psiaka (który zresztą okazał się wyjątkowo inteligentną bestią mającą wystarczająco dużo cech śred-

niego pudła), a ja zostałam z wrażeniem, że wolontariat to czyszczenie boksów i wyprowadzanie psów.

Dwadzieścia lat później okazało się, że wolontariat wymaga sprawnej obsługi komputera, umiejętności bezwzrokowego pisania, a także unikania słowa „sterylizacja”. Przynajmniej w dwóch trzecich miałam stosowne kwalifikacje.

Minęło zaledwie kilka tygodni, a ja już tkwiłam po uszy w bazie, w blogu, w fundacji.

A skoro o uszach mowa... Popełniłam *faux pas*. Napisałam na blogu, że Szara ma lewe ucho utłuczone jak brzeg kubka. Wydawało mi się, że to czyni ją wyjątkową, będąc świadectwem jakiejś minionej walki lub szczerbatego genotypu. Myliłam się. Wszystkim fundacyjnym kotom obcina się czubek lewego ucha! W przypadku Szarej planowano adopcję, więc cięto umownie, dyskretnie. Że też o tym nie wiedziałam! Wydawało mi się, że dość dokładnie przeczytałam wszystkie artykuły na stronie Ciachu, ale najwyraźniej coś mi umknęło.

– Nie przejmuj się. Nie musisz wiedzieć takich rzeczy. Tylko piszesz, a nie tniesz. Możesz się czasem omylić. Dla czytelników to sygnał, że jesteś prawdziwa – spokojnie przekonywano mnie, że wpadka nie jest wpadką. – Teraz napiszesz, jak się naprawdę sprawy z uchem mają, i oświecisz ich w tym względzie.

Pani Ania wręcz się ucieszyła z mojej wpadki:

– Doskonale, brakowało nam jakiegoś sensownego omówienia

kwestii cięcia ucha. Dla wielu to ciągle sprawa dyskusyjna.

– Dyskusyjna? – zdziwiłam się, bo nie przyszło mi do głowy, że w tej metodzie może być coś niewłaściwego. Przecież nie rysujemy na każdym kocie parafki oznaczającej odfajkowaną sprawę. – A czy są inne sposoby?

– Słyszałam o takich, żeby wykastrowanym kotom wkładać na szyję gumkę recepturkę (nasza metoda jest na pewno bardziej humanitarna), żeby stosować tatuaże (w futrze ich nie widać, podobnie jak blizny pooperacyjnej), nietoksyczne farby i czipy. To chyba wszystko.

– Czipy są świetnym pomysłem, z tym że ich wszczepianie wiąże się, podobnie jak cięcie ucha, z zadaniem zwierzęciu odrobiny bólu. – Mówiąc to, poprawiłam słuchawkę telefonu w moim własnym, wielokrotnie przedziurkowanym uchu.

– Może i tak, ale nam brak jednolitego systemu czytników, zapisów, a także czipów. Poza tym ucho widać z daleka, a czipa w ogóle nie widać. Przecież łapacz nie będzie biegał za dzikusami z bezprzewodowym czytnikiem.

– A jakie są argumenty przeciw? Jeśli mam o tym pisać, powinienam je poznać.

– Zadawanie bólu i względy estetyczne. To te racjonalne. Reszta – czyste emocje: „Dlaczego krzywdzić? Po co? A może by tak inaczej?”. Rozumie pani: „Róbcie inaczej, ale ja nie wiem jak”.

– No cóż, to w końcu Ciach zna się na kotach i powinien wie-

dzieć jak.

– No i wie, niech tylko pani napisze to jakoś tak po ludzku. Nie wiedziałam, co w tej sprawie można by zrobić. Nie znajdę słów, żeby przekonać kogoś, kto jest tak wrażliwy lub taką wrażliwość udaje, że obcięcie koniuszka ucha kotu, narażonemu zresztą na znacznie większe problemy, uważa za zbrodnię. Paradoksalnie natomiast w rzeszy ludzi upatrujących w kotach miejskich szkodniki, które należy wybić lub przestać się nimi zajmować, żeby same wyginęły, dostrzegłam potencjalnych sprzymierzeńców. Jeszcze niedawno sama nie umiałam usytuować kotów w miejskim ekosystemie. Wydawało mi się, że wszystkie żyjące na wolności osobniki należałoby wyłapać i przenieść do schroniska. Tymczasem kot dziki chce być dziki. Życzy sobie, by go zostawić w spokoju. Nakarmić, owszem, ale nie zbliżać się i nie dotykać. Obcięcie czubka ucha to sygnał dla innych łapaczy i karmicieli, że tego dzikusa nie warto już chwytąć. Znak widoczny dla zbliżającego się człowieka z takiej odległości, jaką może zaakceptować nieudomowione zwierzę. (Nawiasem mówiąc, wyłapanie całej populacji kotów wolno żyjących na terenie danego miasta i umieszczenie ich w schronisku, pomijając trudności techniczne przedsięwzięcia, nic by nie dało. Wystarczyłaby bowiem jedna para na wolności, żeby cały trud zniweczyć. A skąd wzięłaby się poza domem? Cóż, wskutek nieodpowiedzialności ludzi. W niespecjalnie długim czasie odbudowałaby się cała populacja.)

– Kogoś, kto chciałby się w jakikolwiek sposób pozbyć kotów,

raczej nie wzruszy sprawa cięcia ucha – kontynuowałam swój wywód.

– Ma pani rację, ale są też osoby, które wyludzają w naszej fundacji darmową usługę sterylizacji. Przynoszą swojego domowego kota, mówiąc, że to przyjaźnie nastawiony mieszkaniec piwnic. I oczywiście stanowczo sprzeciwiają się obcinaniu koniuszka ucha swemu pupilowi, twierdząc przy tym, że powód sprzeciwu wynika z ich rzekomej wrażliwości.

– Cóż, pani Aniu, cokolwiek napiszę, nie przekonam ludzi, którzy nie rozumieją, że sami są odpowiedzialni za siebie i swoje życiowe wybory.

– Wystarczy, że pani obrazowo opisze, po co to robimy. Bryły świata na razie nie ruszajmy z posad.

Rozdział szósty, w którym cieszyłam się z oryginałów i martwiłam podróbkami

W hali Arena odbywała się wystawa kotów. Nie była to pierwsza, na jaką poszłam, ale pierwsza, odkąd związałam się z Ciachem i prezentowałam nowe podejście. Wcześniej wystawy trochę mnie niepokoiły, bo byłam przekonana, że koty źle się czują zamknięte w klatkach, narażone na stres, ostre światło, zaczepki, a wszystko to dla jakiejś tam nieistotnej dla samego zainteresowanego nagrody. Mimo

to sprawiało mi radość oglądanie zwierząt w ich różnorodności i odmienności. Dlatego też doceniam hodowców i ich stowarzyszenia, które o zróżnicowanie dbają i zapobiegają (lub raczej starają się zapobiegać) nieprawidłowościom i nadużyciom.

Rozmaitość kocich ras powoduje, że co pewien czas pojawia się moda na inną. Wiadomo, że zawsze znajdują się wierni amatorzy na przykład persów, podobnie jak są osoby, które przez wiele lat preferują określony styl w ubiorze. Wielu jednak podąża za modą. Do niedawna wypadało mieć maine coona. To przepiękna rasa, koty są duże, półdługie futro nadaje im dziki i dumny wygląd, chociaż wcale nie są dzikie i dumne, tylko sympatyczne i wesołe. Jak tu nie kochać maine coona? Czy może z nim konkurować taki rozbitek życiowy ze schroniska, co to i charakter ma niepewny, i jakieś podejrzane nawyki, i choroby, i genetyczne obciążenia? Przede wszystkim zaś jest pospolity. Niejeden kandydat na kociarza postawiony przed wyborem między rasowcem a dachowcem poszuka rozwiązania pośredniego i trafi do pseudohodowli

Jak działa pseudohodowla? Ano mniej więcej na takiej zasadzie, jaką kiedyś zaproponowałam koledze, na szczęście rozsądnemu hodowcy: „Dawaj rozplodowca maine coona, pokryjemy moją buraskę i zobaczymy, co wyjdzie”. Wyszłyby puchate kotki, na oko rasowe, ładne, i znalazłby się na nie chętni, na pewno. Może nie stała by się z tego powodu wielka katastrofa. Na razie. Moglibyśmy bowiem dojść do wniosku, że skoro ludzie, którzy odebrali kociątka,

nie byli świadomi różnic między rasami, to można by pobrać od nich jakąś opłatę. Dla ich dobra, oczywiście, gdyż nie od dziś wiadomo, że prawdziwą radość daje pokonywanie trudności w osiągnięciu celu. Im zatem większa kwota, tym większa radość. Ale bez przesady, oczywiście. Nie będziemy pazerni, bo jeśli się nie sprzeda, to się przeterminuje. Żeby zaś nie padły pytania o rodowód, sprzedamy nasze mieszańce po cenach atrakcyjnych dla obu stron. Możemy przecież mieć ich całkiem sporo, kryjąc kotkę odpowiednio często. Niech rodzi, niech pracuje na karmę.

Jak więc widać, pozornie niewinny pomysł może sprawić, że wciągnie nas bagno. Tak zaczynają pseudohodowle, a kończą jeszcze gorzej. O czym miałam się niebawem przekonać.

Z hodowcami i przeciwnikami hodowli jest tak jak z kierowcami samochodów i motocyklistami. Dzieli ich wiele, lecz łączy jeszcze więcej. Tyle że o tym, co łączy, łatwiej zapomnieć. Z punktu widzenia pieszego, czyli przykładowo osoby niezainteresowanej zwierzętami, jedni i drudzy stanowią po prostu grupę zmotoryzowaną.

Przeciwnicy hodowli zazwyczaj zwracają uwagę na konieczność zajęcia się zwierzętami, które już istnieją. Hodowcy z kolei tłumaczą, że są w stanie eliminować niewłaściwe cechy zwierząt i wzmacniać pożądane, że kontrolują swoje hodowle oraz nie sprzedają kociąt ot tak, byle zbyć.

Moja opinia jest bardzo wyważona, choć raz opowiadam się

mocniej za tą, raz za inną frakcją. Załóżmy, że wszyscy hodowcy są odpowiedzialni i kochają zwierzęta. Kot został udomowiony tak dawno czy też – jak woła niektórzy – został tak dawno uzależniony od człowieka, że lepiej jest i kotu, i człowiekowi razem. Zatem rozumem i hodowców, i przeciwników hodowli.

Czy w pierwszej kolejności należy pomagać zwierzętom, które już są? Zdecydowanie tak, ale nie rzucając przy tym kamieniem w rozsądnych hodowców i w osoby kupujące rasowe zwierzęta. To sprawa ekonomii, zawsze znajdą się chętni na towary po absurdalnej cenie, więc kot, choć nie jest towarem, też podlega takim samym prawidłom. Kot kupiony może być przez nabywców kochany i traktowany jak czująca, rozumna istota. Wszystko to jednak przy założeniu, że mamy do czynienia z dobrymi ludźmi. Jeżeli są to okrutnicy, jeżeli przedmiotowo traktują zwierzę, to przestaje być istotne, czy wzięli je z hodowli, czy ze schroniska. Wyeksploatują je, zamęczą lub porzucą bez względu na to, czy podeszło samo na podwórku, czy zostało kupione. Problemem są więc ludzie: zbieracze, pseudohodowcy, osoby pozbawione empatii. Motywami innymi niż dobro zwierzęcia kierują się nie tylko hodowcy i ich klienci. Każdy ma swoje. Ktoś się przyzwyczał, bo od dziecka w domu miał koty, ktoś inny usiłuje naprawić cały świat, a jeszcze inny uważa, że koty dodają mu tajemniczości etc. Ilu ludzi, tyle motywów, a wśród nich na pewno znajdzie się prestiż.

Tymczasem stałam na mrozie przed halą Arena. Padał śnieg, a mimo to frekwencja na wystawie okazała się ogromna. Obeszłam już całą halę i nigdzie nie zauważyłam stoiska fundacji. Wyszłam więc na zewnątrz, żeby zadzwonić do Mai. Tam jednak było niewiele ciszej. Wiało.

– Gdzie jesteś?

– Jak to gdzie? Przy szatni, zaraz przy wejściu.

– Ale w hali, w środku?

– W środku, ale przed halą.

Kolorem Ciachu jest żółty. Tak jak żółte są w połowie barwy miejskie Warszawy. Wszystkie plakaty, koszulki, puszka, ulotki - żółte. Żółta plamka w niedoświetlonym holu. Na wystawach i związanych ze zwierzętami imprezach fundacja Ciach rozstawia stoisko z rzeczami tworzącymi jej wizerunek. Dochód z ich sprzedaży zasila jej budżet. To praktyka stosowana przez wiele fundacji z tych samych powodów finansowych. Niektóre ograniczają się do rozdawania ulotek i pobrzękiwania puszką na datki, inne handlują. Stoiska obsługiwane są przez wolontariuszy.

– Ale numer! Przechodziłam tędy kilka razy i nie zauważyłam stoiska! Ludzie tu w ogóle podchodzą?

– Coś się sprzedawało. – Maja zagrzechotała puszką. Pierwszy raz widziałam fundacyjne gadżety: koszulki, kubki i ręcznie robioną biżuterię. Kupiłam dla siebie kubek, a dla Reda koszulkę. Projekt świetny, lecz nie podobało mi się wykonanie. Chociaż Majka nie

była przekonana do minimalizmu Ciachowych gadżetów, zgodziła się ze mną, że odróżniają się korzystnie od kociarskich bibelotów z innych stoisk.

– Zrobię jeszcze jedną rundkę – oznajmiłam znudzona brakiem klientów.

Maja kiwnęła głową.

Było duszno i bardzo jasno. Oblegano kramy. Dzieci tłoczyły się przy stanowiskach, w których posadzony na dachu klatki kot polował na podsuwane piórko. Błyskały flesze. Panował hałas. Koty na wystawach wydają się nieobecne, tak jak pasażerowie w tramwajach, którzy udają, że panujący ścisk to nieprawda, zachowują pokerową twarz w nadziei, że uda im się oderwać myśli od nieustannie zmieniających się szczegółów otoczenia.

Spotkałam pół tuzina znajomych. Ktoś z pracy okazał się hodowcą ocicatów. Dobry kwadrans spędziłam na rozmowie o tej rasie. Potakiwałam, lecz z uwagą obserwowałam tylko kota bengalskiego, który wyglądał zachwycająco i leniwie bawił się piłeczką w klatce obok.

– Mówiąc najogólniej, są jak psy – podsumowała z dumą posiadaczka rodziny ocicatów, wygłaszając identyczną opinię jak wielu innych hodowców... kotów. Zastanawiając się nad tym, że jeszcze nigdy nie usłyszałam analogicznego stwierdzenia od hodowcy psów, wróciłam do stoiska Ciachu.

Maja siedziała za ladą, skubiąc piórka miotelki – ulubionej ko-

ciej zabawki. Wyraźnie się nudziła.

– To jak, wypatrzyłaś konkurencję dla Szarej?

– Nie. Jest bezkonkurencyjna. Tak jak one wszystkie.

Twarz Mai rozjaśnił uśmiech.

– Prawda? Też tak uważam. Każdy kot jest co najmniej najpiękniejszy.

– Co najmniej! – Roześmiałyśmy się obie.

Do lady podszedł mężczyzna z przewieszonym przez ramię grubym paltem i małą puchową kurteczką.

– Wnuczka chce kota – zagadnął – a to wasze schronisko na pewno jakiegoś ma.

To nie był dobry początek rozmowy. Widziałam, jak Maja się prostuje. Wyjaśniłam więc sama:

– Nie prowadzimy schroniska, ale na pewno będziemy mogli pomóc w adopcji. – O ile sformułowanie „to wasze” było irytujące dla mnie, o tyle zapewne dla niego trudne do przyjęcia okazało się słowo „adopcja”. – Oczywiście nikt nie odda kota pod opiekę dziecku.

Termin „adopcja” rzeczywiście niekiedy bywa źle przyjmowany. Na przykład przez niektórych posłów dyskutujących nad nowelizacją ustawy o ochronie zwierząt. Jakby wypadało stosować go wyłącznie wobec przysposobionego dziecka. Jak zatem nazwać przekazanie kota przez kogoś, kto wiele poświęcił dla zwierzęcia, komuś, kto powinien spełniać określone warunki? Oddaniem? Po-

wierzeniem? Zmianą właściciela?

– Wiadomo, że opiekować będą się rodzice, a mała tylko czasem z nim się pobawi. – Mężczyzna wyglądał na zdziwionego. Chyba powinnam o takich rzeczach wiedzieć...

– Rodzice się zgadzają? – spytałam podejrzliwie. Pan z paltem się zirytował:

– Nie przyszedłem się tłumaczyć, tylko zapytać o możliwości.

– Proszę pana – wtrąciła Maja. – To nie jest dobry moment na podjęcie takiej decyzji. Zresztą, jak pan widzi, nie mamy ze sobą kotów. Teraz dziecko jest pod wrażeniem, chciałoby mieć je wszystkie.

Człowiek-szatnia odszedł w ślad za wnusią, która odbiegła.

Właściwie zachowałyśmy się antypatycznie i protekcyjnie. Może i miałyśmy powód, ale czy to ten człowiek zawinił? W jego mniemaniu robił nam przysługę: chciał wziąć zwierzę, zabrać ciężar. Tyle że dom tymczasowy w taki „ciężar” inwestuje: czas, pieniądze i emocje.

Dostrzegłam w tłumie Monikę. Pomachała papierową torebką. Z rozczarowaniem stwierdziłam, że była ubrana w gładką szarą sukienkę, podczas gdy ja się spodziewałam ponaszywanych tu i ówdzie kocich aplikacji. Torba zawierała pączki. Gdy podjechała pod mój nos, dostrzegłam – trudno było nie dostrzec – wielki zegarek. Z jego cyferblatu wystawały spiczaste uszy, a pasek, czyli ogon, był w przęgi.

– Jak kociątko? – zapytałam nowo przybyłą, bo przypomniał mi się maluch, w którego łapaniu brałam udział.

– Motylek? Bardzo dobrze. Jest już dwa razy większy!

– Motylek? Tak go nazwałaś?

– Tak, bo ciągle dopytywałaś, czy używany przez nas podbierak to siatka na motyle.

– Pamiętam, pamiętam. Czy to naprawdę była siatka na ryby, czy mnie nabieraliście?

– Nie na ryby, tylko na wodne motyle! – wyskandowała Maja pomiędzy kaszlnięciami.

– Mówisz więc, że Motylek ma się dobrze. Oswojony?

– Właściwie tak. Leczymy go nadal z kataru i czekamy, aż zacznie mruczeć. Nieśmiały jest, a ponieważ po wypuszczeniu kota z klatki następuje regres osvajania, więc jeszcze trochę potrzymamy go w przytulnym zaciszu.

– W klatce? Dlaczego? Chronicie inne koty czy jego?

– Tobie klatka źle się kojarzy, ze zniewoleniem, a to tylko sposób na chronienie kota przed zbyt wielkimi przestrzeniami i nadmiarem doznań. Zwierzę szybciej się aklimatyzuje, poznając miejsce na tyle duże, żeby mogło w nim rozprostować łapy, i na tyle małe, żeby nie czuło się przytłoczone. Jak otworzymy klatkę, onieśmieli go otoczenie, więc się wycofa, a potem stopniowo się przystosuje i oswoi.

– Nie miałam pojęcia! Czy to znaczy, że powinnam była Szarą trzymać najpierw w klatce?

– Och nie. Szara to dorosły oswojony kot, którego wzięłaś do domu, gdzie nie ma innych zwierząt. Sytuacja bezstresowa.

– A jednak nasiusiła na łóżko.

– Ale nie z powodu braku klatki. Była trochę zagubiona, nie w takim jednak stopniu jak dziki kot zabrany do mieszkania. Nie powtórzyła się ta wpadka, prawda? – Monika raczej stwierdziła, niż zapytała.

– Na szczęście. Mama by tego chyba nie zniosła i zapewne chętnie by ją zamknęła w klatce.

– To nie było twoje łóżko? Łaskawy kot. Ale cieszysz się, że się nią zajęłaś?

– Oczywiście. To świetny kot, tylko czemuś chętnych do adopcji brak. Poza tym cieszę się, że spotkałam taką kociarską sektę.

– Czimy koty, popatrz na rękę Moniki. – Majce chyba też się spodobał zegarek.

– Czy pytałaś mamę wcześniej, co by powiedziała na taki dom tymczasowy?

– Naturalnie, ale wiecie, że jak się opowiada, wszystko wygląda inaczej. Przecież z założenia taki dom to zwyczajne mieszkanie, gdzie przebywa kilka kotów. Czasem ich ubywa, czasem przybywa. Od tego zaczęłam, nie zaś od problemów behawioralnych i ewentualnych chorób, na przykład grzybicy, którą możemy się pięknie zarażić. A w ogóle myślę, że mama jest szczęśliwa. Bardzo jej brakowało naszej Aury.

– Widzisz! Trzeba było od razu brać się za tymczasowanie, zamiast użalać się nad sobą i gryźć się bez powodu.

Bez powodu! Ech, nie chciałam burzyć dobrej atmosfery i ich opinii na mój temat, mówiąc, że moja kotka nie była nawet wysterylizowana, że u weterynarza bywała tylko wówczas, gdy bolały ją uszy, że nie wiem nawet, na co umarła. Nie, nie mogłam im tego powiedzieć. Było mi wstyd. Człowiek jednak potrafi się choć trochę zmienić i czegoś nauczyć. Chwilowo chciałam przynajmniej zmienić temat.

– A co z drugim kotkiem? – zagadnęłam. – Ich matka trafiła do naszej fundacji.

– Tak, kotka już dawno na wolności, z zagojonym brzuchem. Maluch natomiast nie dał się złapać.

– Próbujecie jeszcze?

– Po dwóch dniach daliśmy spokój. Trzeba było z Motylkiem znów jechać do weterynarza i zabrakło czasu. No, a potem ktoś znalazł tego drugiego martwego. Całkiem niedaleko.

– Skąd wiesz?

– Powiedział karmicielce, że ma posprzątać, i pokazał coś pod krzakiem. Strasznie się ponoć pokłócili.

– Szkoda, że mnie tam nie było! – Maja na mieszanke kofeino-glukozowej wchodziła łatwo na wysokie obroty. – Oczywiście, jak ktoś się zajmuje z własnej woli i pensji zwierzakami, to może się

jeszcze zając zielenią miejską, gaszeniem pożarów i wywózką szamba...

Skorzystałam z okazji, żeby zadać nurtujące mnie pytanie:

– Na sterylizację bezdomnych kotów łoży miasto, ale już na ich utrzymanie przy życiu łożą szarzy ludzie. Zastanawia mnie, czego karmiciele potrzebują bardziej: pieniędzy czy ochroniarzy?

– Każdy „kotoznawca” wie o apelu prezydenta Warszawy o opiekę nad kotami wolno żyjącymi. Chodzi o uchylanie okienek piwnicznych, zostawianie karmy i wody – wyjaśniła Maja. – Pierwszy napisał ten apel Lech Kaczyński, on i jego żona nie pozostawali obojętni wobec losu kotów miejskich. Apel to zresztą nie wszystko – ciągnęła Maja. – Zarejestrowany karmiciel dostaje też jedzenie dla zwierząt.

– No i cudownie, czyli taki karmiciel ma swojego ochroniarza w postaci miasta! – ucieszyłam się naiwnie.

– Jeśli dręczy cię niechętny kotom sąsiad, to taki apel możesz mu co najwyżej pokazać, on zaś może się drwiąco roześmiać. Nie istnieje prawo nakazujące zostawianie kotom piwnic do dyspozycji. Administracja czy wspólnota mieszkańców nie mają obowiązku karmić, poić i stawiać budek. Apel to prośba, jeśli się nie zastosujesz, głowy ci nie urwą.

Stracciatella dosypywała do dania kolejne składniki. Zawsze gotowała w ten sam sposób: na głęboką patelnię wrzucała parę garści

zapychacza, czyli ryżu, kaszy lub makaronu, dodawała rozmaite warzywa, jakie akurat miała w domu, i przyprawy. Czasem też rodzynki, czasem orzechy, zawsze pestki słonecznika. Wprawdzie zrezygnowała z mięsa, ale nie z radości jedzenia. Jedzenie było więc obfite, wyraziste w smaku i z wielką różnorodnością składników. Tym razem Stracciatella przesadziła z kuminem. Danie postawione przede mną wyglądało jak dal, lecz pachniało całkiem inaczej. Spróbowałam. Ciepłe i jadalne, więc o co chodzi? Stracciatella starała się przygarach, jak mogła, ale nigdy jej nie wychodziło, o czym zresztą świetnie wiedziała. Zjadała jednak każdą swoją potrawę do ostatka, żeby, jak mówiła, nauczyć się czegoś na błędach. Domyślałam się, co robiła źle: jeśli na przykład w przepisie zalecano dwie łyżeczki papryki, ona wrzucała dwie łyżki, bo przecież „papryka jest pyszna”. I tak dalej, aż do przefajnowanego końca. Jako gość, a w dodatku kuchenny antytalent, zauważyłam tylko:

– Bez kuminu smakowałyby chyba lepiej.

– Mówisz, że lepiej? Bez kuminu byłoby jadalne – oznajmiła Stracciatella i dodała: – Słodki widok, co?

Obserwowałyśmy leżącego na dywanie razem z kotem jej małego synka, który też podwinął przednie łapki, to znaczy rączki oczywiście. Dziecko pisnęło w kierunku kota. Kot dosłownie się skrzywił, na chwilę złożył uszy, ale wytrwał na posterunku.

– A może one uważają Antka za kocię? Dla kotów raczej jest ważne nie to, czy istota, z którą mają do czynienia, należy do tego

samego gatunku, lecz czy stwarza zagrożenie.

Na deser jedliśmy ciasteczka owsiane i piliśmy herbatę starannie parzoną przez gospodarza, który odmierzał herbaciane liście tylko dlatego łyżeczkami, że pod ręką nie miał wagi laboratoryjnej, zapewne też żałował, że w minutniku nie ma sekundnika i zielona sencha może się parzyć o ćwierć minuty za długo. Dla człowieka tego pokroju utrapieniem jest koci włos na dywanie, tymczasem on nie dość, że znosił obecność kotów w domu, ale po prostu je lubił.

Popijając herbatę z kubków, rozmawialiśmy na dorosłe tematy.

– No to co z Szarą? Dałaś ogłoszenia? – spytał.

– Kilka, ale bez odzewu.

– Spokojnie, wszystko w swoim czasie. – W tym momencie malutka, puchata, czarno-biała kotka wskoczyła mu na kolana. Spodnie, dotychczas nieskazitelne, pokryły się kontrastowym wzorkiem. – My właśnie zamierzamy dać ogłoszenie w sprawie tej delikatnej przylepki.

– A skąd ją wzięliście? Z Ciachu? – zapytałam.

– Nie, to zupełnie inna historia.

Zanosilo się na dłuższą opowieść.

Kotka pochodziła z pseudohodowli. Miała puszyste futerko i wyciągnięty pyszczek. Trzeba przyznać, że prezentowała się nadzwyczaj efektownie. Lecz to tylko pozory. W rzeczywistości była wątła i chorowita. Do domu tymczasowego trafiła po interwencji w pseudohodowli, o której istnieniu Stracciatella dowiedziała się od

kogoś, kto kilka lat wcześniej skorzystał z oferty i kupił tanio rasowego kota. Ten jednak okazał się słaby, dużo chorował i przedwcześnie umarł. Jego właścicielka zaczęła więc rozglądać się za następnym. Z ogłoszenia w gazecie trafiła w to samo miejsce, co kilka lat wcześniej. W to samo, lecz tylko pod względem adresu, bo reszta zmieniła się nie do poznania. Dawniej było to zwyczajne mieszkanie hodowcy. Teraz – zapuszczona melina.

– I co? Chyba tym razem już nie dała się nabrać? – zapytałam, przerywając opowieść.

– Nabrać to może i nie, ale umówionego kota wzięła, bo jej go było żal. A potem zgłosiła się do mnie z prośbą o pomoc – wyjaśniła Stracciatella.

Z dalszej relacji wynikało, że w mieszkaniu znajduje się mnóstwo zaniedbanych kotów. W pierwszej kolejności należało więc je zabrać, umieścić w domach tymczasowych i wyleczyć. Okazało się jednak, że kobieta zawiadująca przybytkiem stała się przez lata paranoicznie podejrzliwa i nie zamierzała nikogo wysłuchać ani dobrowolnie wpuścić do domu czy raczej, wedle określenia Stracciatelli, nory.

– A siłą? – zapytałam, bo jakoś wcale nie było mi szkoda osoby, która zarabiała na krzywdzie kotów.

– Jak to sobie wyobrażasz? Uderzyć człowieka, drzwi wyważyć? – Stracciatella popatrzyła na mnie z politowaniem. – Sposobem, kochana, sposobem.

Tym „sposobem” okazał się mężczyzna, który kupił od pseudo-hodowczynie kota na tyle niedawno, że mogła go jeszcze pamiętać. Zadzwoił pod pretekstem kupienia następnego. „Bizneslumen”, wietrząc zarobek, chwyciła przynętę i wyznaczyła datę. W umówionym terminie stawił się tuzin gotowych do walki osób z transporterami. Na ulicy czekał sznurek samochodów z włączonymi silnikami, ale przez wizjer można było zobaczyć tylko klienta. Otworzyła.

– I co?! – wstrzymałam oddech.

– I wtedy się zaczęło – zawiesiła głos Stracciatella.

Przede wszystkim dom przestał być domem. W ciągu kilku lat zmienił się w coś w rodzaju punktu skupu makulatury.

Koty, a raczej ich wynędzniałe cienie, znajdowały się wszędzie. Wszystkie podobne do siebie (co między innymi miało świadczyć o chowie wsobnym). Nie były to warunki do życia ani dla człowieka, ani dla kota. Zwierzęta chore, właścicielka też. Na widok wchodzących do jej domu ludzi z transporterami wpadła w szal.

– Wpadła w szal? Straszyla was policją? – dociekałam, na czym polegał ów szal.

– To akurat byłoby naturalne zachowanie, zważywszy na wtargnięcie obcych ludzi do domu. Ale nie, ona rzucała na nas klątwy. Abrakadabra. Rozumiesz?

Pomimo niewątpliwej klątwy głupoty ciążyącej nad tym smętnym biznesem udało się zabrać większość zwierząt. Stracciatella w ogóle nie żałowała właścicielki pseudohodowli. Za to z troską pa-

trzymała na kocu, którą z tak wielkim trudem wyrwała chorobie.

Uznaliśmy, że przypadek pseudohodowli graniczący z patologią zbieractwa należy do odosobnionych. Zwykle hodowca nie wykazuje cech szaleńca. Rozsądnie porozmawia, ustali cenę. Na tysiąc sposobów uzasadni brak rodowodu, zmanipuluje, pytając, po co rodowód komuś, kto kocha wszystkie koty. Myśli taktycznie i świetnie prosperuje. Oczywiście sprawdza się w roli biznesmena, a nie opiekuna zwierząt. Mimo wszystko nie znaczy to, że zwierzęta u niego mają się źle. W końcu dla rozsądnego przedsiębiorcy są inwestycją.

Takie podejście da się zaobserwować nie tylko wśród hodowców zwierząt. Podrobić – lepiej czy gorzej – można wszystko, na przykład torebkę.

– Uważasz, że porównanie udającej markową torebki do udającego rasowego kota jest na miejscu? Zwierzę to nie towar – zaprotestowała Stracciatella.

– Dla nas nie, ale rozmawiamy o sytuacji, gdy zwierzę jest traktowane jak towar i siła robocza jednocześnie.

Chodzi o to, że tak jak nie widzimy problemu w kupnie podrobionej torebki Versace, tak też nie oburzamy się na tych, którzy nie chcą płacić kilku tysięcy za rasowego kota. Więc chociaż kot to nie torebka, z czym każdy się zgodzi, w obu wypadkach mamy do czynienia z tym samym zjawiskiem przyzwolenia społecznego na podróbkę.

Rozdział siódmy, w którym zostałam mamą

Kotom nie przeszkadza przeziębiony opiekun, oczywiście dopóty, dopóki nie kichnie. Jeśli zacznie wydawać z siebie te niepokojące dźwięki, burzące nagle spokój, o nie, kot czegoś takiego zność nie będzie. Odskoczy i sobie pójdzie.

Szara i mama były zachwycone moim pozostawaniem w domu, chociaż nie jego przyczyną, która dla Szarej oznaczała, że stałam się nieobliczalna, skłonna do napinania swego przyjemnie ciepłego ciała w nieprzyjemny pałąk i wydawania serii kaszlnięć, a mamie uświadamiała, że utknę w klasycznym trójkącie: łóżko – lodówka – łazienka, i starannie wypełnię jego pole białymi chusteczkami.

Szara wybaczała mi dziwne zachowanie i starała się dotrzymać towarzystwa w niedoli. To wspaniała kotka, nienachalna i zawsze obecna. Idealny towarzysz chorego, bo daje przekaz: „Nie jesteś sam, ale niczego od ciebie nie chcę, po prostu leż sobie i rozrzucaj chusteczki”.

Snucie się po domu, dopijanie zimnej herbaty, sprawdzanie poczty co dwie minuty – to zajęcia, które zniesie tylko niedziela. Kiedy powyższe czynności wykonuje się trzeci dzień z rzędu, i to w dodatku powszedni, choroba nie zamierza ustąpić. Już lepiej by było

przespać trzy dni, wstać, zakaszleć na pożegnanie i wyjść z domu. Tylko po co? Dzień kończy się, zanim się wyśpisz, liści już nie ma, a śniegu jeszcze nie. Około katarowa depresja.

W takim właśnie będąc stanie, przeczytałam rozpaczliwy apel II opiekę nad dziką kotką z czwórką miesięcznych kociąt. Problem polegał na tym, że należało przyjąć komplet, bo maluchy były za młode do adopcji. Chodziło o dwa tygodnie, góra miesiąc. Zasmarkany organizm zgodził się z wyjałowionym umysłem, że można by się tą sprawą zainteresować, bo obecność kociej rodziny nie stanowi przeszkody w wegetowaniu. Zadzwoiłam do Mai i zaanonsowałam się zakatarzonym głosem:

– Cześć, tu Kinga, jestem chora.

– Możesz w ogóle mówić? Ledwie cię rozumiem.

– Chodzi mi o te kocięta z mamą. – Kaszlnęłam, odwracając się od słuchawki. Szara spojrziała zirytowana. – Czytałam prośbę, a że jestem w domu, mogę się nimi zająć.

– Planujesz mieć katar jeszcze przez miesiąc? – zaśmiała się Maja.

– Planuję pozbyć się go do jutra. Co nie zmienia faktu, że chcę pomóc.

– Jeszcze to sobie przemyśl, póki kocięta mają wykupiony pobyt w lecznicy. Ponieważ źle się czujesz, będzie ci dużo trudniej się nimi zajmować. A to ciężka robota. – Zdaje się, że Maja we mnie nie wierzyła.

– A co tu jest do zajmowania się? – machnęłam ręką na Majowe wątpliwości. – Przecież klatkę możemy pożyczyć z fundacji? Posiedzą w klatce i co?

I co ja sobie wyobrażałam? Dziką matkę, nieustannie wściekłą, na którą trzeba uważać, bo ma w głowie plan ucieczki. Małe kotki, które jedzą lub śpią. Sielanka z nutką emocji. Ustaliłam z Mają, że jeśli w tym czasie, gdy kocięta mają zapewniony dach nad głową, nikt inny, lepiej wykwalifikowany, się po nie nie zgłosi, ja biorę je na przechowanie i kropka. Uważałam, że małe szybko znajdą dom, a klatka ochroni Szarą przed ewentualnymi zagrożeniami ze strony przybyszów. Myślałam też o jeszcze wielu równie sympatycznych rzeczach, w większości niemających nic wspólnego z rzeczywistością.

Maja, najwyraźniej nieprzekonana do tego pomysłu, zapewne zdawała sobie sprawę z moich naiwnych wyobrażeń. Tylko że nikogo chętnego poza mną nie było. Nietrudno się domyślić, że w najbliższych dniach nikt do niej nie zadzwonił z prośbą o przywiezienie mu kociej rodziny. Mimo że ogłoszenie krzyczało: „Błagamy! Choć na parę dni!”, nikt nic w tej sprawie nie zrobił. Problem zamkniętej grupy. Każdy jej członek pomaga już jakiejś liczbie zwierząt i nie jest w stanie wziąć ich więcej pod swoje skrzydła. Jednocześnie ma świadomość, że osoby, które mogłyby pomóc, nie są zainteresowane lub nie dociera do nich stosowna informacja. Grupa usiłuje więc dotrzeć z wiadomością do większej liczby odbiorców, lecz nowo pozy-

skani zostają zarzuceni taką lawiną próśb, że zaczynają wątpić w jakąkolwiek skuteczność pomocy. Jednym słowem – wycofują się w zderzeniu z rozpaczą i beznadzieją bijącą z próśb, z ich negatywnym przekazem, z agresją zawartą w komentarzach i wrażeniem, że zaofiarowanie niewielkiej pomocy nie zmienia ogólnej sytuacji.

Tak więc odzewu nie było i Mai nie pozostało nic innego, jak dostarczyć mi zwierzęta. W tym czasie odzyskałam zmysł powołania, wróciłam do pracy i lekcji, byłam więc znów bardzo zajęta. Pojawiły się wątpliwości, czy sobie poradzę. Mimo wszystko odczułam radosne podniecenie, kiedy w uniesionej na wysokość mojej twarzy klatce zobaczyłam przepychające się kocięta – bardzo małe i nieporadne, ale niewyglądające już na chomiki (ich uszy nie znajdowały się całkiem z boku głowy), przypominały miniaturowe i nieproporcjonalnie zbudowane koty z mętnymi oczami. Spodziewałam się, że przede wszystkim zawładnie mną czułość i troska, tymczasem przekładając je do wyłożonej gazetami ogromnej klatki pożyczonej z fundacji, poczułam lęk. Zbierało mi się na płacz. Maja trzymała w dłoniach najmniejsze z rodzeństwa, pasiaste i ruchliwe kociątko, i z niezadowoloną miną mu się przyglądała.

– Czy to normalne, że one nie są jednakowej wielkości? – zdziwiłam się.

– Ten był odizolowany przez pewien czas od matki. Dlatego jest taki mikry.

– A co się stało?

Maja opowiedziała mi historię kociąt. Ich matka dotarła do przyjaznej kotom piwnicy, będąc w zaawansowanej ciąży. Prawdopodobnie skutecznie schowała się ze swoim młodym przychówkiem i nikt nie miał pojęcia, że się tam znajduje. Do czasu, gdy kocięta zaczęły sygnalizować swoje położenie rozpaczliwym miauczeniem. Karmiciel z tego położonego przy działkach miejskich bloku, pan Stanisław, zwrócił się do Mai o pomoc przy wydobyciu zwierząt z zamkniętego pomieszczenia. Znali się od dawna, bo karmiciel sukcesywnie sterylizował swoje stado w Ciachu. Burej matki nie rozpoznał, to znaczy, że przywędrowała niedawno, z pierwszymi mrozami. Dwa kociaki znajdowały się w pomieszczeniu, do którego nie zdołała wcisnąć się matka. Maja i pan Stanisław też nie byli w stanie tam wejść. W końcu udało się maluchy wyciągnąć ręką przez szparę w drzwiach. Jedno było wyraźnie większe, podczas odosobnienia jadło samodzielnie i rosło. Drugie nie umiało samodzielnie jeść podsuwanej karmy, co doprowadziło do wycieńczenia. Maja zapakowała kocią rodzinę i zawiozła do szpitala weterynaryjnego, gdzie koty, przebywając przez jakiś czas, odzyskiwały siły. Taka sytuacja nie mogła jednak długo trwać ze względów chociażby finansowych.

Warto dodać, że Maja z podziwem odnosiła się do działań karmiciela. Nic dziwnego, gdyż pan Stanisław to człowiek niezwykły. Aktywności temu starszemu i niepełnosprawnemu panu mógłby pozazdrościć niejeden dwudziestolatek. Pan Stanisław jest

zaprzeczeniem stereotypu karmiciela: kotami opiekuje się za zgodą wspólnoty mieszkaniowej, wszystko ma dopięte na ostatni guzik, pomaga nie tylko zwierzętom, ale i mniej zaradnym sąsiadom. Jest eleganckim dżentelmenem przypominającym profesora Filutka. Pomimo oficjalnie przeprowadzonej batalii o koty nie wszyscy lokatorzy byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Czy w związku z tym dochodziło do utarczek słownych? Oczywiście, że nie. Z kimś, kto prezentuje najwyższej próby kindersztubę, wszystko załatwiane jest w uprzejmej atmosferze. Pan Stanisław może zawsze liczyć na pomoc Mai, przy czym nigdy jej nie nadużywa.

Dwa kotki były białe z burymi łatami, a dwa pasiaste. Pasiastość jednego miała odcień szary z dodatkiem brązu, trochę jak kawa z mlekiem i popiołem. Nazwałam go Dymką, bo coś mi się ubzdurało, że to kotka. Drugi pręgus miał mocno zaznaczony każdy pas, kontrastujący z sąsiednim niemal jak u zebry, przez co jego pyszczek zyskał niezwykłą wyrazistość. Pasiak – takie niewyszukane imię pierwsze przyszło mi dla niego do głowy.

Z dwójki łaciatych ten największy miał okolice nosa jakby brudne (potem okazało się, że to naturalny kolor jego futra), podwozie białe, a minę gamoniowatą. Wyraz pyska to jedno, a hart ducha i postura to drugie – został nazwany Zuchem.

Średni kotek wydał mi się w tamtej chwili niewielki, spłoszony, usilnie trzymający się sutka swojej mamy. Nazwałam go Sutkiem, jak się później okazało, był panienką.

Kiedy wyszła na jaw sprawa z pomyłkami płci, ani przez chwilę nie pomyślałam, by zmienić imiona. Po co? W końcu całkiem zabawnie jest, kiedy dziewczyna nazywa się Sutkiem, a chłopak Dymką. To ostatnie brzmiało przyjemnie kresowo.

Małe koty w domu – tak jak sroki i spadające widelce – zapowiadają gości. Maluchy potrafią zauroczyć nawet osoby niechętne kotom. Od niejednej z nich, generalnie deklarującej brak sympatii do kotów, słyszałam, że obecność kociąt, owszem, jakoś zniesie.

Nic nie poradzimy na instynkt, który za nas decyduje i każe otoczyć troską istoty słabsze. Ludzie, którzy mają doświadczenie w opiekowaniu się zwierzętami, wolą jednak zajmować się osobnikami dorosłymi. Mały kotek jest wszystkim i niczym, zapowiedzią, promptem, pierwszym słowem w książce. Nie da się jeszcze nic o nim powiedzieć, bo niespecjalnie odróżnia się od rówieśników. Dlatego panuje przekonanie, że łatwiej go uformować – jak figurkę z plasteliny – i silniej przywiązać do siebie niż dorosłe zwierzę.

Red, mój przyjaciel, który w obecności zwierząt, małych i dużych, z twardziela zmienia się w nianię, przyjechał następnego dnia. Przywiózł malusieńkie puszeki z arcydrogą karmą.

– Redziku, one jeszcze tego nie jedzą. Właściwie dopiero jeden zaczyna. Ten największy. – Wskazałam ręką na biało-szare kocię w Redowych dłoniach.

– Największy? No, olbrzym po prostu. – Zuch z morderczym wyrazem na brudnym pysku zmagął się z kciukiem Reda. Jego drob-

niutkie ząbki, którymi usiłował odgryźć palec, zostawiały sine wgłębienia, nie przecinając skóry. – Czy on aby nie chce jeść?

– Nie ludz się, że jak go nakarmisz, to przestanie cię przeżuwać.

– Właściwie wolę już te zębiska niż pazury.

Na naszych dłoniach widniały czerwone kreski i kropki, płytkie, szczypiące odznaki oddanych nianiek. Red otworzył puszkę i wydobył całą jej zawartość na szklany spodek. Pozostałe koty zamknięte w klatce i Szara kręcąca się pod naszymi nogami wrzasnęły zgodnym chórem. Red się zmartwił:

– Może dam każdemu po puszcze?

Spojrzałam ze zgrozą.

– Mowy nie ma, ten mały idiota rozwali wszystko po całym stole i pójdzie do mamusi dać się umyć. Błat będę musiała umyć sama.

Zuszek dzielnie spełniał moją przepowiednię, choć sam też sporo zjadł. Wprawdzie puszka była mikroskopijna, ale i kotek niewielki. Papka o konsystencji i zapachu pasztetu oblepiała jego pyszczek i łapę oraz okolice spodka. Ponad połowa została niezjedzona.

Włożyłam kotka do klatki, a jego mama rzuciła się na niego, jakby był zrobiony z pasztetu. Korzystając z okazji, najmniejszy kocia, mój ulubieniec Pasiasty, wyszedł na zewnątrz i cały nastrozony, w akcie triumfu ciekawości nad strachem, podbiegł do Szarej, fuknął i odskoczył. Szara, wpatrując się jak zaczarowana w

pachnący obiekt na stole, nawet nie zauważyła jego zalotów.

Zgarnęłam maluszka. Był o jedną trzecią mniejszy od Zucha.

– Ten jest najmniejszy. Nie je sam, drze się bez przerwy, jest najpiękniejszy, najsympatyczniejszy i najaktywniejszy.

– Ciekawe, skąd ma tyle energii, skoro nie umie jeść.

– Reszta też nie je, oprócz tego dużego i mamuni. Nie martw się, ona karmi je nawet na stojąco. Widocznie myśli, że jest koniem.

Śmieliśmy się, patrząc na przepychanki w klatce. Tymczasem Pasiak postawiony przed rozsmarowaną po blacie zawartością puszczyki zachowywał się tak, jakby wdepnął w błoto. Unosił swoje cienkie łapki wysoko i otrząsał je.

– Obliz, głupku – odpowiedziałam, a Red zbliżył palec z odrobiną pasztetu do pyszczka kotka. Zwierzątko powąchało zainteresowane, ale nie zrobiło nic. Red umieścił packę na brodzie kociątka. Żadnej reakcji oprócz węszenia i otrząsania łapek.

– Przynajmniej kolacja u mamy będzie dla niego dodatkową przyjemnością – stwierdziłam optymistycznie.

Zebrałam papkę i podzieliłam niezbyt sprawiedliwie między kocią mamę i Szarą. Mamuśce należało się więcej, bo karmiła, a Szarej właściwie nic się nie należało, ale Red nigdy by mi nie wybaczył pominięcia jego ulubienicy.

– Szara jest kochana i nie można jej zaniedbywać. Pomyśl, jak ona się teraz czuje. Nagle się nią nie zajmujesz.

Gruba kocica nie wyglądała na zaniedbaną, a w każdym razie

nie na zagłodzoną.

– W ogóle się nią nie zajmuję ani nie zajmowałam. Prawdę mówiąc, poza jedzeniem, sprzątaniami i pisaniem o niej, niewiele robię. Szkoda, że nie umie czytać, wiedziałyby może, jaka jest ważna.

– Zabrałaś ją z ulicy i mądra Szara to wie.

Co zrobić, Red uwielbiał tę kotkę.

Maja przychodziła prawie codziennie. Przynosiła puszki, gazety i wszystko, co mogło mi się przydać. Zamieniałyśmy kilka słów, po czym ona nieruchomiała przed klatką, zapatrzona w bawiące się kocięta. Czasem zamierała, przytulając je do siebie. Była smutna, zatroskana i nieobecna. Trzymała kociątko w dłoniach niczym cumę mocującą łódkę „Maja” do brzegu rzeczywistości. Zrobiłam jej serię zdjęć, kiedy bawi się z kociętami. Nie sądzę, żebym jeszcze kiedykolwiek uchwyciła tak prawdziwą intymność.

Martwiłam się o nią, a ona martwiła się o kocięta. Mnie wydawało się, że są zdrowe i wesołe, ona dostrzegała jakąś niedoprecyzowaną nieprawidłowość. Czasem szeptała do siebie: „Nie podoba mi się to” lub: „Naprawdę nie wiem”. Pytałam, czego nie wie, ale tylko wzdychała i przywoływała na twarz uśmiech, piła herbatę i tłumaczyła mi, że martwi się o mnie, kocięta i ich matkę bez szczególnego powodu. Próbowалаm pokazywać jej, że świetnie sobie radzę, zamiast tego wciąż demonstrowалаm nieobeznanie. Nie wiedzia-

łam, jak drzeć gazety na długie paski, których koty używały jako zabawek, choć w zamierzeniu miały służyć za papier toaletowy. Raz rozkładałam zbyt wiele gazet i kocyków, innym razem za mało. Nie umiałam chwycić maluchów za skórę na karku, bałam się kocicy, faworyzowałam Pasiaka, nosząc go na ramieniu. Robiłam, jak uważałam, zamiast próbować czegoś się dowiedzieć i coś przeczytać, by postępować jak należy.

Usprawiedliwiała mnie tylko to, że nie miałam czasu na zrobienie czegoś więcej, cały grudzień zapamiętałam jako miesiąc nieustannego sprzątnia, chodzenia do pracy i na angielski. Albo zapierałam kocyki, albo pisałam zapytania, felibajdki na blogu i testy. Wieczorami zasypiałam w wannie, na wpół się budziłam, kiedy nos ledwie wystawał nad powierzchnię wody, i nie miałam siły wstać. Śniły mi się rozmowy po angielsku ze Stracciatellą i pływające w wannie kocięta, wysuwałam argumenty za czymś bardzo ważnym, ale sens mi umykał, bo nie byłam w stanie dobrać odpowiedniego przymiotnika. Zrywał mnie na nogi pełen niepokoju głos mamy:

– Znowu śpisz?!

– *Im all right, mum!* – Jasny gwint, co ja mówię. Wskakiwałam z wanny, obiecując sobie, że od tej pory będę wyłącznie brała prysznic. Obietnicę wciąż łamałam, bo wydawało mi się, że odpoczywam tylko w kąpielni. I tak w kółko: dryń, o rety! jak późno, zużyte gazety do śmieci, nowe do klatki, tramwaj, klawiatura, *English time*, tramwaj, gazety, wanna („Znowu śpisz?!”), łóżko. Niekiedy

pojawiła się Maja i pomagała mi w sprzątanii. Samo sprzątanie było czynnością arcybanalną: należało wyciągnąć gazety z klatki i kuwety, a przed zastąpieniem ich nowymi umyć wszystko. Problem polegał na tym, że po otwarciu przeze mnie drzwiczek małe istoty rozpierzchały się na wszystkie strony, a ich mama, milcząca i nieprzyjazna, jednocześnie zaś niezłe wystraszona, kulila się w jednej z tych plastikowych części, które należało szczególnie starannie wyszorować. Klatka była tak duża, że musiałam niemal do niej wejść, by sięgnąć końca. Wtedy przerażona kocia matka znajdowała się parę centymetrów od mojej głowy. Wprawdzie ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, był atak na mnie, niemniej dwa razy dziennie obawiałam się, że tym razem mi się nie upieczce.

Oprócz braku czasu wszystko układało się znośnie. Rzadkie chwile, gdy siadałam sobie spokojnie z kociątkiem czy dwoma na kolanach, były regenerujące. Lubiłam te szkraby i cieszyło mnie, że coraz bardziej przypominają dorosłe koty. Pierwszy raz w życiu mieszkałam z kilkoma kotami naraz, więc mogłam też obserwować ich odmienność. Każde z kociąt pochodzących z jednego miotu miało inną osobowość. Oczywiście wszystkie lubiły być w centrum uwagi, polować i zaspokajać ciekawość, ale każde w innym stopniu.

Pasiak był najpiękniejszy, najmniejszy i najwrzaskliwszy. Darł się jak opętany, dopóki nie zasnął albo nie zapchał sobie paszczy maminy cymem lub nie został wzięty na ręce. Był też ciekawski. Lubiłam go najbardziej ze wszystkich malców. Maja chyba też, bo

najwięcej czasu spędzała, głaszcząc go i usiłując karmić. Bez powodzenia. Kładłam Pasiaka na ramieniu, a on chował się w moich włosach i bawił nimi jak zasłoną z koralików. Jego pazurki rysowały mi esy-floresy na szyi, co czułam dopiero przy myciu. Czasem przychodziło mi do głowy, że Pasiaczek powinien ze mną zostać, że może nawet sam by tego chciał.

Dymka, drugi co do wielkości, a raczej małości, kociaczek, jadł już samodzielnie, choć z rzadka, bo najchętniej wisiał przyssany do maminego brzucha. Był nieśmiały, niemrawy i niezwykle jak na małego kotka spokojny. Lubił siedzieć przy mamie i dlatego wyjęcie go z klatki sprawiało mi przykrość. Często zanosiałam go do mojej mamy, żeby na czas czyszczenia klatki dotrzymywała maluchowi towarzystwa. On podwijał pod siebie łapki i spokojnie czekał.

Sutek to już zupełnie inna historia. Wojowniczką. Biła się o wszystko i niczego się nie bała. Często odstrasżającą postawę przyjmowała ot tak, dla wprawy. Dlatego zazwyczaj prezentowała się jak szczotka do butelek.

Zuch wyglądał przy reszcie jakby parokrotnie powtarzał klasę – dwa razy większy od Pasiaka, pożerający wszystko, co się da, wyraźnie nudził się w klatce. Potrzebował czegoś więcej niż zabawa kawałkiem gazety przez całą noc. Na szczęście będąc pogodnie usposobiony, nie wyżywał się akustycznie. Często pozwalałam mu się bawić z Szarą.

Zresztą wszystkie kocięta z nią się bawiły. Każde na swój spo-

sób. Sutek prowokowała, a Zuch polował na jej ogon. Szara była wyrozumiała. W najlepszym razie angażowała się w zabawy, w najgorszym – obojętnie odchodziła. Dzika kotka natomiast najwyraźniej interesowała się Szarą. Węszyła, ale nie okazywała strachu.

Zaczynałam myśleć, że Szara to świetny kompan dla innych kotów. Nie traktowała źle żadnego intruza na swoim terenie. Do wszystkich stworzeń – pionowych i poziomych – podchodziła bez lęku i z namysłem. Mimo to na pytanie, czy byłabym w stanie oddać Szarą do adopcji, odpowiadałam, że tak. Z ciężkim sercem, ale owszem. Tyle że w przeciwieństwie do całej kolejki chętnych na kocięta, Szarą nie interesował się nikt.

Agnieszka okazała się uosobieniem matczynych cnót: zaokrąglona, rumiana, pełna dobrych chęci, trochę jak najlepsza uczennica. Mogłabym już od progu wtulić się w nią jak w wielką poduchę i oddać jej wszystkie małe koty. Przesadziłam z określeniem jej wieku, bo jak się okazało, była młodsza ode mnie.

Ukląkszy obok klatki na koszmarnej brudnej podłodze (zajmowanie się kociakami stawiałam przed zajęciami domowymi), złożyła dłonie:

– Boże, one siom takie maniuńce – powiedziała z zachwytem.

Jak wiele grubo ciosanych bab mam awersję do spieszceń, ale nie tym razem. Zapytałam, czy nie miałyby ochoty przytulić „maniuńcego” kiciusia. Miała, i to ogromną, lecz bała się, że zrobi mu

krzywdę. W tym punkcie się zgadzałyśmy, ja również nieustannie się obawiałam, że swoimi grabiami wyrządę zwierzątkom krzywdę. Grabie Agnieszki były ze dwa razy większe od moich, ale też o wiele delikatniejsze. Trzymała Pasiaka w jednej ręce, głaszcząc po łebku wskazującym palcem drugiej i przemawiając w swoim czułym dialekcie. Kotek wyglądał na zainteresowanego nową przyjaciółką.

Znów uderzyła mnie intymność chwili, tak jak wtedy, kiedy Maja nie była w stanie oderwać się od maluszków. Agnieszka jednak szybko się opanowała i wprawnym ruchem odłożyła kotka do klatki.

– Czy pani zajmowała się już kiedyś takimi małymi zwierzątkami? – spytałam zdziwiona.

– Ależ skąd. Nigdy nie mieliśmy w domu zwierząt. W ogóle nic nie wiem o kotach.

Byłam zdumiona – Agnieszka wiedziała, co robi! Postanowiłam jednak przedstawić jej moją wersję opieki nad kotem.

– To proszę się w ogóle nie przejmować. Musi pani mieć kuetę i żwirek, jedzenie dla kociąt i trochę czasu, żeby się z rozrabiaką pobawić.

Agnieszka wyciągnęła z torebki kilka saszetek karmy, bardzo dobrej i kosztownej, oraz miotełkę z piórkiem – kocią zabawkę, na którą reaguje nawet najbardziej gburowaty pręgus.

– Jedzonko kupiłam. Proszę im je dawać, to mój się przyzwyczai i nie będzie miał problemów po przeprowadzce z akceptacją nowego rodzaju pożywienia. Czy mogłabym prosić też o kawałek

jego kocyka?

Nie miałam wątpliwości, że uczennica odrobiła lekcję, więc z moich podsumowań mogę zrobić samolocik i posłać go w powietrze. Moje zwykle wytrzeszczone oczy musiały być bliskie wypadnięcia z orbit, bo Agnieszka zaczęła się tłumaczyć:

– Niech się pani nie śmieje, ale ja się bardzo boję. Chciałabym, żeby kotom było u mnie dobrze, więc kupiłam dwa poradniki i je przeczytałam. Ja już o niczym innym nie myślę!

– To się bardzo pani chwali. Nie każdy tak podchodzi do adopcji kota. A czytania nigdy za dużo.

Entuzjazm Agnieszki był nie tyle śmieszny, ile niepokojący. Przypomniało mi się, co mówiła Stracciatella: adoptujący nie jest twoim kumplem i wcale się nie musisz starać być taktowna.

– A ma pani dzieci? – spytałam z uwagi na matczyne cechy Agnieszki.

Lubię dzieci, ale nie podoba mi się pomysł, by uczyły się empatii, szarpiąc za ogony niewinne zwierzęta, a odpowiedzialności, głodząc je.

Agnieszka nie była zdziwiona. W jej oczach pojawił się smutek z odrobiną buntu.

– Nie, nie mam dzieci, ale tu wcale nie chodzi o zastępstwo!

– To tylko standardowe pytanie do osoby adoptującej zwierzątka.

Agnieszka na wszystkie moje pytania odpowiadała wzorowo, a

jednocześnie książkowo. Byłam w kropce, lecz chciałam jej zaufać.

– Kiedy będę mogła zabrać kiciusie?

– Dobrze pytanie. Teoretycznie za dwa tygodnie, lecz w praktyce może potrwać trochę dłużej, bo te dwa kotki przeznaczone dla pani same nie jedzą. Nawet nie próbują.

Agnieszka wyglądała na rozczarowaną. Na pewno czytała, że w tym wieku kocięta powinny próbować nowych rzeczy. Także nowego pokarmu.

– Niech się pani nie martwi! Dwa próbują, a jeden już wsuwa aż miło. Właściwie nie wierzę, że to chłopak z tego samego miotu. Nawet się pani nie obejrzy, jak po domu będą brykać małe koty. Jeszcze będzie ich pani miała dość, tak jak ja teraz.

Wiedziałam, że Agnieszka nie będzie miała dość kociąt, a w każdym razie, że takie wyznanie nie przejdzie jej przez usta. Powiedziała jednak, że rozumie zmęczenie i dziękuje za opiekę nad jej przyszłymi domownikami. Poprosiła też o zdjęcia, a ja obiecałam dokumentować dorastanie kotków do samodzielności.

Przy Agnieszce czułam się jak nastolatka, która przez przypadek została mamą. Jedyne, co miałam, to czułość dla kociaków, a oprócz tego morze irytacji i pragnienie, by wreszcie zaczęły same wcinać i trafiły do dobrych ludzi. To ja patrzyłam na Agnieszkę z podziwem – była cierpliwa, spokojna i wbrew pozorom pewna tego, co robi.

Podzieliłam się swoimi wątpliwościami ze Stracciatellą. W

końcu też świeżo upieczoną mamą. Wystukałam na klawiaturze:

„Nie jestem dobrą matką”.

„Ja też nie – przyszła odpowiedź. – Z tym, że akurat ja naprawdę jestem matką. Wierz mi, porodowy wyrzut oksytocyny niczego nie gwarantuje”.

„Zdaje się, że gwarantuje miłość, a nie sprawność obsługi”.

„Otóż to. Kocham synka, ale mam dosyć takiego życia, wrzasków, podporządkowania. I hipokryzji, że niby wszystko jest takie słodkie i że przykrości się zapomina. A obsługuję już nawet sprawnie, po prostu się wyćwiczyłam”.

„Nie sądzisz, że to nie ma nic wspólnego z hipokryzją? Po prostu niektórzy lepiej sobie radzą z opieką nad bezbronnym stworzeniem?”

„Oczywiście, że są ludzie, którzy radzą sobie z czymś lepiej niż my. Tylko że przerabianie fizjologii na mistycyzm nie bardzo mi leży. To takie kłamstwo matek na użytek matek. Bardzo nie w porządku, bo chodzi o osoby, które znajdują się w podobnym położeniu. Niech mi nikt nie mówi o solidarności jajników. Widzę coś całkiem odwrotnego”.

Rząd emotikonek nie oddawał zapewne niezadowolonej miny Stracciatelli.

Stracciatellą poniekąd mnie rozumiała, lecz w przypadku obsługi kota nikt nie odwołuje się do mistycyzmu, już raczej sięga po lukier z czekoladową posypką. W sumie, jeden pies. Poczucie wła-

snej bylejakości nie minęło nawet wtedy, kiedy Stracciatella napisała: „Gdyby nie ty, zostałyby w piwnicy”.

Zarówno tembr, jak i emocjonalny przydech wskazywały, że głos w telefonie, a raczej głosik, należał do małej dziewczynki. Stałam ze słuchawką przy kociej klatce i patrzyłam na mamuszkę z dziećciakami: istna grupa Laokoona. Było mi już niemal wszystko jedno... A niech to będzie i pięciolatka, byle uratowała mamuszkę przed zamęceniem przez potwory. Czas mijał, a kocica mimo porządnego tuczenia niknęła w oczach.

– Ehm – odkaszlnęłam, żeby pozwoliła mi mówić. – Kiedy pani może przyjść?

Zaryzykowałam „panią”, w końcu nie wiedziałam, kto naprawdę znajduje się po drugiej stronie. To raz. A dwa – dziewczynki to też panie, tyle że bez makijażu.

Nie miałam racji. Nowo przybyła z pewnością była już panią, a przy tym nie nosiła makijażu. Nie musiała. Graficzka, przemknęło mi przez głowę, wyczyściła zaskórniki w photoshopie, a talię osy zawdzięczała słynnemu filtrowi „skraplanie”. Zaraz, co ja plotę? Przecież ona nie jest fotografią.

– Natalia – przedstawiła się, potwierdzając swoje imię krótkim i treściwym uściskiem ręki, a potem stała spokojnie w przedpokoju, czekając, aż ją zaproszę dalej, najwyraźniej przyzwyczajona do bycia oglądaną.

– Wspomniała pani, że pracuje w domu, by zajmować się dzieckiem. Graficzka? – zapytałam.

Potaknęła i pokazała mi zdjęcie uśmiechniętej okrągłej głowy odzianej w czapkę z kocimi uszami.

– Widzę, że lubi pani koty – zaśmiałam się.

– Może dajmy sobie spokój z paniami? Jesteśmy w tym samym wieku.

Byłam przynajmniej pięć lat starsza. I dwadzieścia lat brzydsza. Choć przynajmniej jedno mogłam stwierdzić na pewno w dużym lustrze: Natalia ani centymetr nie górowała nade mną wzrostem. Zdjąwszy botki na obcasach, była równiutka ze mną. Ciekawe, że człowiekowi podoba się zawsze coś, co odrobinę jego samego przypomina.

Przed klatką Natalia bezbłędnie wskazała Sutka.

– To moja koteńka, prawda?

– Pewnie chcesz ją przytulić?

Jeśli oczywiście można przytulić wijącą się ośmiornicę z dubeltową liczbą macek, pomyślałam. Sutek była bardzo wojownicza, jako jedyna rzucała wyzwania Szarej, na co zresztą spokojna aksamitka w ogóle nie reagowała. Jako jedyna warczała, gdy ktoś usiłował ją namówić do podzielenia się jedzeniem. Była wyjątkowa. Tak samo zresztą jak wyjątkowi byli Zuch, Pasiak i Dymka. Każde na swój sposób.

Natalia niezręcznie wyciągnęła kociaka z klatki, cała reszta od

razu skorzystała z okazji, by też się wymknąć. Złapała dwoje i przytuliła do policzków.

– Nie całuj ich. Jeszcze nie są odrobaczone – rzuciłam przez ramię, biegnąc za Pasiakiem, który jak zwykle najszybciej się oddalał. Złapałam obu uciekinierów i odstawiłam do klatki, na co zareagowali oburzonym miaukiem.

Natalia została z Dymką i Sutkiem. Dymka przywarł do niej, a Sutek wirowała w rytmie podrygujących palców jak marionetka. Szara usiadła na krześle i przyglądała się nam z uprzejmą rezerwą.

Natalia, bawiąc się z kotami, opowiadała o swojej zmarłej kotce, która chorowała nie wiadomo na co. Gasła, podczas gdy Natalia i jej jeszcze wówczas narzeczony odwiedzali kolejne kliniki weterynaryjne. Oczy Natalii lśniły jak latarki, a ja wiedziałam oczywiście, że oddam jej bez wahania Sutka, nawet jeśli nazwie ją Klarysą Klementyną Vincenzą Trzecią. Nie kierowałam się rozumem, tylko wyczuciem. Pomna jednak porad Stracciatelli, zadałam kilka rutynowych pytań:

– Co zrobisz, jeśli się okaże, że twoje dziecko ma alergię na koty? Jak zareagujesz, jeśli kot załatwi się poza kuwetą? Czy rozumiesz, że zwierzę jest zdane na ciebie niezależnie od twoich losów, finansów i kondycji?

Natalia rozumiała i choć nie była w stanie udzielić konkretnych odpowiedzi, moje pytania dały jej do myślenia. Okazało się, że mąż spanikował i nie przyszedł. („On i tak musiałby zostać z córką, więc

nie do końca jest tak, że nie chciał przyjść. Po prostu jest mu trudno...”). Ponoć obarczał się winą za śmierć poprzedniej kotki. Skąd ja to znam? – pomyślałam. Epidemia ludzi odpowiedzialnych za coś tak nieogarnialnego jak śmierć.

Natalia z przykrością opuszczała kocięta. Po jej odejściu w kuchni został obłok zapachu. Przez kilka chwil głąskałam bezmyślnie Dymkę. Z zamyślenia wyrwał mnie Zuch, robiąc coś strasznego. Włazł do miski z chrupkami, rozkraczył charakterystycznie tylne łapy i się wysiusiał. Osłupiała patrzyłam na własne ręce zaciskające się w drżące z wściekłości pięści. Dopiero widok spokojnie śpiącego na moim podółku Dymeczki trochę mnie odtrulił.

Wyciągnęłam miskę i całą zawartość wrzuciłam do ubikacji. Dwa razy spuściłam wodę. Wreszcie wszystko stało się jasne: kocica coraz gorzej wyglądała, bo nie jadła suchej karmy, a nie jadła, gdyż miała ją obsikiwaną. Na jedzenie z puszki rzucała się pierwsza i bezwzględnie odpychała kocięta. O nie, padalce, o nie! – wyklinałam w duchu poczwary. Jeśli jeszcze raz matka odepchnie was od puszkowego, nie będę was żałować, a już na pewno nie tego „spaśluna” i sikawki – Zucha.

Tyloma nowinami musiałam się z kimś podzielić.

Red zareagował praktycznie i spytał o dwie istotne w tym momencie sprawy: czy zrobiłam Natalii zdjęcie z kotem i czy nie zabraknie mi karmy.

Zastanawiając się, jak rozwiązać problem zanieczyszczenia chrupek, doszliśmy do wniosku, że należałoby zacząć podawać je w pojemniku, nad którym żadne z kociąt nie zdoła swobodnie przysiąść. Idealnie nadawało się do tego celu niewielkie poidelko wieszane na ścianie klatki.

Od tej pory Natalia dzwoniła codziennie. Prosiła o zdjęcia kociątka i opowiadała o swoich projektach. Nasze rozmowy przerywał zazwyczaj płacz jej małej córeczki. Powiedziałam Mai o swoich obawach i że kieruję się intuicją, w czym mnie wsparła. Zdałam się więc na nią, prosząc jednak, by się osobiście z Natalią spotkała.

Zuszkowi na adopcję długo chyba nie przyjdzie czekać, bo dzień po wizycie Natalii zapowiedziała się para zamierzająca przygarnąć czupurnego kotka. Im mogłam z czystym sumieniem zarekomendować adopcję. Oboje okazali się bardzo mili, przygotowani na szóstkę, odpowiadali na każde pytanie, oboje mieli koty „od zawsze”, a jednego wspólnie. Postanowili powiększyć stado, żeby uszczęśliwić swoją kotkę. Planowali zabudowę balkonu i wstawienie kilku pni. Wszystko przemyśleli, przepytali znajomych i na dodatek od pierwszego wejrzenia zakochali się w Zuszku, o co akurat nie trudno – modelowy wesoły kociak z brudnym pyszczkiem. Zgodnie z pomysłem Reda zrobiłam im na pamiątkę zdjęcia z kociątkiem. Okazało się też, że mieszkają niedaleko mnie, wystarczy spacer przez park, żeby znaleźć się i u nich i podziwiać dobrze zrobiony koci balkon.

Tym, co spodobało mi się w tej parze najbardziej, był luz. Nie ekscytowali się nadmiernie ani nie niecierpliwili. Nie spieszczeni słów, nie zdrabniali, nie płakali, a mimo wszystko bawili się z kociętami czule i z radością.

Jak na złość, kiedy już zdążyłam wysłać im zdjęcia i zapewnienie, że kociątko lepiej trafić nie mogło, dostałam list od Mai. Sprawa się komplikowała. Pewien zamożny architekt, który – jak sam napisał – „nie poskąpi swoim zwierzętom niczego, wliczając w to wolność”, od dłuższego czasu prowadził z Majką korespondencję mającą na celu przekonanie nas, byśmy oddały mu Zuszka, pomimo że zamierzał wypuszczać go do przydomowego ogrodu. Argumenty oboje wymieniali na zasadzie „ja ci o poezji, ty mi o prozie”. Ona przekonywała, że wypuszczanie kota bez nadzoru jest niebezpieczne, on zaś tłumaczył, że o tym wie, ale przedkłada radosną wolność nad wymuszone bezpieczeństwo. Po kilku takich listach do Mai zaczęło docierać, że ktoś, kto po raz enty zadaje sobie trud, by swoje myśli rozwijać tak, by zostać /rozumianym, walczy nie tylko o własne poglądy, ale i o kota, który ma do niego trafić.

Mnie to nie przekonywało, bo nie pierwszy raz widziałam już dyskusję, z której nic nie wynikało, gdyż uczestnicy za punkt honoru uważali bronienie za wszelką cenę swojego zdania kosztem dobrego smaku i... no właśnie – honoru. Głównie z tego powodu przestałam oglądać telewizję.

Poszłam po rozum do głowy i znalazłam idealne wyjście z sy-

tuacji: rozumiemy pana i choć nie podzielamy pańskich poglądów, jesteśmy otwarte na dyskusję, ale kotek po prostu idzie do całkiem innych ludzi, którzy już go widzieli i pokochali.

I tak oto Maja znalazła się w kropce, bo wprawdzie sympatyczna para zgłosiła się do mnie wcześniej, niż doszły listy od Mai, to jednak pierwszy mejl architekta datowany był kilka tygodni przed umówionym spotkaniem pary ze mną i ich telefonem do zarządzającej adopcjami Mai. Ja nie robiłabym z tego sprawy, bo jak od lat powtarza moja mama, idę po linii najmniejszego oporu.

Denerwowała mnie ta sytuacja. W końcu, kto powinien być zadowolony z adopcji? Oczywiście sam kot, ale też osoby, które nakładem czasu i pieniędzy odebrały go śmierci. W każdym razie nie uważałam, by usatysfakcjonowana miała być zupełnie abstrakcyjna Pani Chronologia. Przy czym architekt, który wydawał się odpowiedzialnym człowiekiem, miał na wyciągnięcie ręki co najmniej dwie setki kociąt przebywających w domach tymczasowych, azylach i miejskich schroniskach.

Sprawa wychodzenia kota na dwór to ciekawy temat do dyskusji. Zanim jednak polecą na moją głowę gromy, niech mi moje koty wybaczą. Jako osoba ceniąca sobie niezależność bardziej chyba niż gorącą herbatę, zamykam je w domu. I będę. I już. Jeśli zaś o was chodzi, drogi architekcie i inni panu podobni – róbcie, co chcecie. Nie ma nawet sensu wspominać o wszystkich zagrożeniach, jakie czyhają na kota na zewnątrz, bo jest ich nieskończenie wiele.

Moje koty nie miały szczęścia. Bardzo dawno temu (chodziłam wtedy do ósmej klasy) mama pozwoliła mi na upragnionego kota. Pierwszego w życiu. Nazywał się Semiramis i był rozkoszną młodą kotką, która nie odstępowała mnie na krok, przynajmniej dopóty, dopóki nie nastąpiła wiosna, a ona nie odkryła istnienia okna. Doskonale sobie radziła ze znajdowaniem drogi powrotnej, a jako że mieszkam na parterze kamienicy z ogrodem, otoczonej na dodatek parkanem, cóż, byłam zachwycona, że moja koteczka ma taki bezpieczny trawiasty plac zabaw. Parę tygodni później na zawsze skończyły się harce. Jakoś nie chce mi się wierzyć, by miesiąc spacerów na świeżym powietrzu rekompensował kotu wiele lat spokojnego życia.

Wśród gości, którzy ściągali do mnie przez cały okołoświąteczny czas na hasło „kocięta”, przewinęła się też Luiza. Tyle że ona w ogóle nie przyszła ze względu na koty. Była jedyną osobą, która nie przyniosła dla nich karmy, piszczących myszek i kocyków, lecz prezent dla mnie.

– Wiem, że nie chcesz tego słuchać – oznajmiła – ale czas pomyśleć o sobie. Właśnie teraz. – Weszła do kuchni, niosąc w ręce torbę i papierowy kubek z kawą, którym potrząsnęła znacząco, gdy spytałam, czy chce się czegoś napić. – Dlatego przyniosłam ci taki mały prezent. Tylko dla ciebie, dobrze?

W torbie znajdowały się słodycze. Luiza jak to Luiza: robiąc

mi prezent, zapomniała, że nie lubię czekolady. Nieważne. Byłam szczęśliwa. Po kolei wyciągałam na stół czekolady, ciasteczka i cukierki oraz konfiturę ze słodzikiem. Wkrótce kolorowa układanka zajęła całe wolne miejsce na blacie.

– Wiesz, że jesteś niewiarygodnie dziecinna? – uśmiechnęła się do mnie z sympatią.

– Ciekawią cię kocięta? – spytałam zaskoczona, widząc, że wyciąga telefon i robi im zdjęcia.

– Nie, to dla mojej mamy. Lubi zwierzęta i się ucieszy, że mam z nimi cokolwiek wspólnego.

– Chcesz ją oszukać, że jesteś wolontariuszką? – skrzywiłam się.

– Nigdy! Chcę jej tylko sprawić przyjemność. Pokazać ładne fotografie.

– Naprawdę, nie chcesz potrzymać kotka? – judziłam.

– Nie, nie chcę. Wybacz, ale one po prostu cuchną. Wolalabym już przytulić tę dużą.

Szara jak na zawołanie otarła się o jej nogę. Luiza syknęła i podrapawszy pospiesznie kocicę po łebku, zaczęła strzepywać sierść z łydki.

– Spokojnie, mam specjalny wałek do depilacji. Jest z lepkiej gumy. Jak będziesz wychodziła, to cię oczyszczę.

– Zaopatrzyłaś się w te wszystkie kociarskie zabaweczki, tak?

– Wałek zbiera też kurz i ludzkie włosy.

Czułam się dotknięta, nie wiedziałam jednak, czy reagowanie ma sens. Luiza najpierw robi mi zastrzyk z glukozy, a potem się wyzłośliwia. Przyznaję, że po wizytach tabunów ludzi piszczących na widok kotów ona stanowiła przyjemną odmianę, ale przeginała.

– No dobrze, już dobrze. Przecież nie jest tak, że nie lubię zwierząt. Po prostu nie podoba mi się czczenie ich. Ty też już o niczym innym nie mówisz. Kocięta i kocięta. To państwo powinno się zajmować problemem ich bezdomności, a nie wolontariusze. Zawsze się ktoś taki znajdzie, co wyjdzie przed szereg, a oni już nie muszą palcem kiwnąć.

– Oj, proszę cię, jest tysiąc spraw, którymi powinno zająć się państwo, używając do tego moich podatków, ale się nie zajmuje. Pozostaje mi więc albo zaszantażować polityków, że wstrzymam oddech i umrę, jeśli czegoś nie zrobią, albo zrobić to samej.

Luiza w odpowiedzi tylko pokręciła głową. Wiadomo, że to, co robię, nie jest rozwiązaniem idealnym, a ona nie umiała wymyślić niczego lepszego.

Dopiła kawę i zaczęła się zbierać. W mojej kuchni wyglądała jak przybysz z innej planety i pewnie też tak się czuła. Ja również czułam się jak dodatek do mieszkania, jak dodatek do kociąt. Choć Luiza na pewno by tak nie pomyślała. Ona przyszła do mnie, a nie do mojego mieszkania i moich „tymczasiał”. Na pożegnanie poradziła:

– Po tym miocie koniec, obiecaj! Widzę, że jesteś zmęczona.

Wysypiaj się.

Lubiłam Luizę mimo jej wszelkich niedoskonałości, podobnie jak ona akceptowała moją dziecinną radość z prezentów. Wydawało mi się jednak, że inni kociarze nie zrozumieliby, że ktoś, kto ma w nosie zwierzaki, nie jest faworytą Belzebuba.

Obawiam się, że nie w pełni doświadczyłam przygody z kociakami. Ich pocieszne przepychanki bawiły mnie, owszem, ale najwyżej kwadrans na dobę. Zamiast cieszyć się ich towarzystwem, pilnowałam, sprzątałam, sprawdzałam. Jak rodzice w wesołym miasteczku, którzy nie potrafią się bawić, tylko czuwają nad dzieckiem. Podobnie jak na wakacjach robiłam dużo zdjęć w nadziei, że kiedyś, gdy będę miała czas, zachłysnę się pięknem. Na wszystko jest jednak właściwa pora wtedy, kiedy to się dzieje. Potem przychodzą kolejne wydarzenia i czas ich przeżywania.

Prawdopodobnie byłam po prostu niezadowolona, że przypadła mi rola rodzica, a nie dziecka, choć to i tak Maja doglądała wszystkich spraw i podejmowała decyzje, co umożliwiała mi spokojny sen, ale też irytowało, jak w przypadku wątpliwości adopcyjnych.

Piwniczne doświadczenia kociąt dawały o sobie znać. Uważałam, że zwierzęta w ogóle się nie zmieniają, nie rozwijają, nie rosną. Potrzebowałam widocznego potwierdzenia zasadności moich wysiłków. Tymczasem było coraz gorzej. Pojawiła się biegunka, strzykawka i smecta. Przed samymi świętami doszliśmy do wniosku,

że trzy najmniejsze koty są po prostu za chude, a dwoje z nich żywi się wyłącznie mlekiem matki. W dodatku Dymeczce coś się działo z okiem. Ropiało. Powieki się sklejały. Musiałyśmy zabrać maluchy do weterynarza i to zaraz po dniach wolnych. Do tego czasu przemawiałam kotkowi oczko, czyściłam, zakrapiałam braunol, lek do oczu, który dostałam od Stracciatelli. Wydawało mi się, że następuje poprawa. Dymce nie podobały się te zabiegi okropnie i starał się na swój powolny sposób przeciwdziałać. Nauczyłam się być bezwzględna i choć cały czas przemawiałam uspokajająco, jednocześnie trzymałam stworzenie w żelaznym uścisku. Dzięki temu operacja trwała krótko, a Dymka mógł się cieszyć odpowiedniejszym dla drapieżnika polem widzenia. Nie chował urazy, co bardzo mnie cieszyło.

Lekarz oglądał koty po kolei i ważył. Dysproporcja między Zuchem i resztą była spora. Nie dlatego, że on był zbyt duży. Niestety, to pozostała trójka była zbyt mała. Weterynarz zapewnił nas, że nie ma powodów do paniki. Koty przecież nie rosną na gwizdek, lecz każdy we własnym tempie, i jeśli nie są odpychane od jedzenia, to mają wszelkie szanse, by przytyć. Wspomniał też, że matka kociąt (według naszego opisu chuda niemiłosiernie) mogła mieć niewiele pokarmu bądź pokarm niepełnowartościowy. Wyszłyśmy ze specjalną karmą i wysokokaloryczną odżywką do rozrabiania w wodzie, wyglądającą jak mleko w proszku. Należało przede wszystkim tu-

czyć matkę.

W domu okazało się, że ze specjalistyczną karmą jest tak samo jak z tą zwyczajną, czyli że Zuch i Sutek oraz mamuśka chętnie jedzą, a ciamajdy patrzą ze zdziwieniem, nie rozumiejąc, o co tyle hałasu. Trochę inaczej było z mlekopodobnym proszkiem, bo Sutek wyszarpnęła mi z ręki łyżeczkę, na której podetknęłam jej do spróbowania odżywkę, Pasiak zaś wdepnął w rozlaną papkę, na co matka zareagowała pospiesznym i ekstatycznym myciem synkowych łap. W tym czasie Sutek warczała na Zucha z mordką przysuniętą do łyżeczki, a Zuszek udawał, że się myje, aby przypuścić niespodziewany atak. Dymki to w ogóle nie interesowało – korzystając z zamieszania, uwiesił się matczynego sutka i zapadł w błogostan. Tymczasem Szara, która sama była niezłym magazynem niespalonych kalorii, dorwała się do talerzyka, z którego zaczerpnęłam łyżeczkę mieszanki. Najwyraźniej odżywka stanowiła dla kotów przysmak.

Wkrótce się okazało, że przysmak podany po raz enty traci na atrakcyjności i już wyłącznie najwytrwalsi pożeracze wszystkiego, czyli najgrubszy z całego towarzystwa – Szara i Zuch – mieli na niego chęć. Tylko że akurat oni odżywki nie potrzebowali. Wszystkożerna chuda kocica jadła mieszankę pośrednio, zlizując ją z futerek swoich dzieci nakłanianych przeze mnie do samodzielnego jedzenia, co kończyło się nieodmiennie rozsmarowywaniem papki na ciele kotka, który albo wskakiwał do miseczki, albo wylewał ją na siebie. W każdym razie nie umiał wpaść na pomysł, że lepka substancja służy do

użytku wewnętrznego.

Pewnej nocy, obserwując kocięta, doszłam do wniosku, że Sutek chyba jeszcze bardziej schudła. Wyjęłam ją więc z klatki, zaspianą owinęłam ciasno kocym i nakarmiłam odżywką za pomocą strzykawki. Nie była zachwycona, lecz się nie broniła. To, co trafiało do pyszczka, przełykała. Byłam bardzo zadowolona. Postanowiłam tak samo potraktować dwa pozostałe niejadki. Teraz poszło gorzej, bo kociątka przyzwyczajone do matczynego sutka i równomiernego spływania pokarmu wypluwały połowę na siebie. W końcu jednak coś zjadały.

Nie miałam pojęcia, czy postępuję właściwie. Moje działania mogły przecież odwlec chwilę upragnionej samodzielności, gdy kocięta przestaje nęcić ssanie. Z drugiej strony lepsze to niż patrzenie na nikonące w oczach zwierzątka. Weterynarz nie poradził nam takiego rozwiązania, być może mając nadzieję, że specjalna karma załatwi sprawę.

Tak więc podjęłam decyzję i dzięki temu przestałam się czuć bezradna wobec bezwzględnej matki natury i jej mechanizmów ewolucyjnych.

Następny tydzień uświadomił mi, co czuli moi rodzice, gdy byłam mała. Przede wszystkim – wcale nie byłam niejadkiem. Po prostu jadłam wyłącznie to, co mi smakowało, i wyłącznie wtedy, kiedy miałam ochotę. Rodzice, ciocie, wujkowie, brat i pani przedszkolanka zastanawiali się, jakim cudem jeszcze żyję. Nikomu nie przyszło

do głowy, że głodny kilkulatek znajdzie sobie spokojnie drogę do lodówki czy spiżarki, a problem niedosięgnięcia pokona dzięki skojarzeniu półek z drabiną. W każdym razie rodzice nie wiedzieli, że sama dozuję sobie kalorie, jak umiem najlepiej, i załamywali ręce, dając się nabierać na prośby: „Jak mi poczytasz, to będę jadła”. Ale jak tu przełykać, wstrzymując oddech, kiedy biednemu tacie Muminika wiatr akurat zwiął ka pelusz. No i co w tej sytuacji pomoże mu nasze przełykanie...

Zastanawiałam się, czy i w moich maluchach nie drzemie owo dziecięce wyrachowanie, które podpowiada, że nie zjem dobrego, to dostanę lepsze. W końcu dwoiłam się i troiłam, by dogodzić niecnotom, podsuwałam to i tamto, byle tylko jadły. Zgodnie z sugestiami znawców pasłam je mięsem drobiowym z gotowanych skrzydełek. Ubrana po łokcie w pozbawionym soli (a więc w moim rozumieniu wstrętnym) rosółku, oddzielałam części lepsze, nadające się dla maluchów, od gorszych, takich jak chrząstki, na które z obłędem w oczach rzucała się matka.

Towarzyszyły temu sceny baletowe z udziałem Szarej, która tańczyła jak primabalerina, wykonując skomplikowane układy i piruety między moimi nogami. Wiła się, pętyła, muskała i zerkała tak sugestywnie, że rozmrażała mi się lodówka, a ogrzewanie mogłam wyłączyć. Do tańca dołączała niekiedy obłądny akompaniament gróźb i próśb, przymileń, zaśpiewów tak rzewnych, że nieraz z wrażenia wypadał mi prosto w jej spragniony pyszczek niechudy kawa-

łeczek kurczaka. Kocięta szalały. Wprawdzie zarówno Pasiaczek, jak i Dymka rozmiaukiwały się wraz z pozostałymi i okazywały ogromną ekscytację, lecz nadal nie jadły.

Pierwszy złamał się Dymka. Jak to się stało, co go przekonało, co naprowadziło? – nie mam pojęcia. Na widok wścieklej Sutek i pałaszującego Dymki, który najwyraźniej właśnie wyrwał siostrze pyszny kąsek, poczułam się przeszczęśliwa.

Następny cud zdarzył się kilka dni później. Pasiak jak zwykle stał na stole przed maleńkim spodeczkiem z wyselekcjonowanym mięsem kurzym, podlanym letnim rosółkiem. Na brzeżku spodka leżała odrobina puszkowego musu, który wyglądał i pachniał znacznie lepiej niż pasztet dla pionowych. Tyle że Pasiak, oswajany w ten sposób od dłuższego czasu z delikatesami, reagował coraz obojętniej. A to znalazł sobie na stole rolkę papieru toaletowego, którą rozwinął do samego końca, a to zrobił konfetti z reklamy „nie dla idiotów”. Za każdym razem coś innego absorbowało (ego pasiastą mość. Okazał się chłopskim dzieckiem, które na delikatesy kręci nosem, i pewnego razu poczęstowany ciepłą, nieapetycznie rozgotowaną kurzą skórą – połknął ją niemal w całości. Ochłap wsuwał się do tej małej paszczęki jakby język był taśmociągami. Przy tym pręgowana kruszyna warczała na poły ostrzegawczo, na poły z rozkoszy.

W tych dniach intensywnego tuczu nastawiona byłam bojowo czy – jak by należało dziś powiedzieć – „zadaniowo”. Napędzała mnie złość i chęć utarcia nosa wyrodnej matce naturze. Miałam plan,

by utuczyć te przekłete koty i wydać je czekającym z utęsknieniem ludziom, pozbyć się poczwary, przestać spać w wannie i wygotować zapaskudzone kocyki. Nigdy bym nie pomyślała, że napędza mnie też miłość. Tymczasem, gdy już wykręcałam numer do Mai, żeby jej powiedzieć o sukcesie, pękłam. Płakałam, nie, ryczałam jak bóbr, wręcz zanosilałam się szlochem. Biedna Majka, zanim usłyszała wystękaną rewelację, omal nie dostała zawału, myśląc, że któreś z kocząt utopiło się w rosole.

Przezornie przestrzegła mnie przed przedwczesnym triumfowaniem. Ja jednak już strzelałam korkiem od szampana, bo raz, że Pasiak nauczył się jeść, a dwa, że przyszedł Nowy Rok. Myślałam sobie, że ostatecznie to nasze – moje i kota – zwycięstwo, więc co z tego, że kiedyś umrzemy. Do diabła! Cieszymy się, póki się da.

Radość nie przysłoniła mi rzeczywistości. Nadal pasłam kocięta (z wyłączeniem Zucha), nadal ich bródki zmieniały się w sopliste, białe brodziska, które skwapliwie czyściła kocia matka. Kiedy byłam w pracy, dyżur karmicielski przejmowała moja mama i naprawdę wszyscy działaliśmy jak dobrze wyszkolony zastęp... zuchów.

Z perspektywy czasu myślę, że miałam rację, poddając się żywiołowo fali uczuć, płaczu i radości. Z czasem okaże się bowiem że sukcesy nie zawsze są tak doniosłe i brzemiennie w skutki jak się nam zdawało, że za zaczarowanymi drzwiami zwycięstw znajdują się drzwi następne, prowadzące do zguby. I co z tego. Ostatecznie liczy się to, że opowiedziałam o swojej radości paru osobom, wypilałam za

Pasiaka szampana i zapamiętałam dobrze tamto uczucie. Na szczęście, bo niebawem kontrolowałyśmy z Mają wagę kociąt u tego samego weterynarza. Pasiak schudł Sutek utył, a weterynarz wzruszył ramionami.

Są rzeczy, na które nie ma się wpływu. Na przykład, że jeden kociak rodzi się słabszy niż jego bracia. Ale są też i takie, na które ma się wpływ. Na przykład gest wzruszenia ramionami. Ileż w tym zachowaniu arogancji! Zwłaszcza gdy ma wystarczyć za całą poradę lekarską, bo komuś nawet się nie chce otworzyć ust i sformułować opinii. Żeby chociaż miał dość odwagi i tym żalosnym, drżącym babom powiedział: „Nie ma wyjścia, usypiamy”. Ale nie. On sobie stoi, trzyma w dwóch palcach kociątko ważące 329 gramów i z pretensją mówi, że trzeba je karmić co trzy godziny, nie zaś spędzać ten czas w pracy i na doszkalaniu, jak się wybrało karierę... Słowem: wyrodna matka.

Nie byłabym aż tak strasznie wściekła, gdyby Maja nie zaczęła spoglądać na mnie jak na winowajczynię. No i te unoszące się i opadające ramiona, a kotek do transportera. Uczciwe postawienie sprawy, że Pasiak i Dymka mogą nie przeżyć odrobaczenia, bo tak nieraz z maluchami bywa. Jedyne pożytek z całej wizyty.

Wściekła jak diabli, pisałam do Stracciatelli:

„Jestem struta. W piersiach mam strach i w palcach chyba też, bo napisały to wszystko. Kotki miały dziś odrobaczenie. O szóstej

mam im podać parafinę, żeby nic złego się nie stało, czytaj – żeby się nie otruły. Maja chce, żebym przynajmniej do południa z nimi posiedziała i je obserwowала, a więc okej”.

Pouczona, że mam dać kociętom raniutko parafinę, nastawiłam budzik. W nocy nie zmrzyłam oka. Nie mogłam uwierzyć, że pomimo moich starań maluchy nie rosną. Co im dolegało? Nie usłyszałam diagnozy, tylko coś tam o pasożytach i że kocięta małe aż strach, więc nie powinno się ich odrobaczać, można ewentualnie podać coś łagodnie działającego... Czyżby dokuczały im tylko robale? A to całe gadanie, że wszystko przeze mnie? Czy rzeczywiście ktoś tak powiedział? Ale przecież machnęli ręką na moje dokarmianie strzykawką, więc cóż innego to znaczyło? Czy Pasiak i Dymka dotrważą do porannej aplikacji parafiny? Co zastanę rano? Co zrobię? Jak uniknąć ludzi, którzy mają się za lepszych, poczucia winy oraz przekonania, że każdy byłby lepszy na moim miejscu?

Idąc drżąc do kuchni, usłyszałam piski. Rozpoznałam głos Pasiaka. Tylko on tak się wydziera! Zobaczyłam jego pyszczek tuż przy kratce. Zawsze pierwszy, zawsze najgłośniejszy! Mój Pasiaczek przeżył! Otarłam twarz z łez wzbierających całą noc i napiłam dwójkę najmniejszych oleistym paskudztwem. Nie można powiedzieć, żeby były zadowolone, ale sporo połknęły – objętość parafiny, jaką każdemu z nich zaaplikowałam, zapewne równała się objętości krwi w ich maleńkich ciałkach. W każdym razie wysmarowane od czubka nosa po czubek ogona wtuliły się w mamę i poszły spać.

Przez następnych kilka dni rozpaczliwie starałam się być dobrą mamą. Nastawiałam budzik na trzecią w nocy i karmiłam maluchy, potem przed pracą, potem karmiła je moja mama i znowu ja po powrocie. Przez cały ten czas nic tylko strzykawki i strach, czy zwierzątka przeżyją.

Sutek i Zuch stały się zupełnie samodzielne. Widać było ogromną różnicę, nie tylko fizyczną, pomiędzy kotkami silnymi i słabymi. Duże miały dość siedzenia w klatce, chciały hasać na zewnątrz, zaczepiać Szarą i badać zakamarki. Małe tylko ssały, spały lub miauczały. Pasiak wciąż żądał przytulania. Pewnego dnia Red owinał go kocykiem i tulił tak długo, aż maluch zasnął. Red spokojnie gładził palcem mały łebek, podczas gdy ja widziałam zupełnie inną przyczynę cichości kota. Zaczynałam wariować. Marzyłam już tylko o tym, by dwójka większych przestała eksploatować matkę i oddała wszystkie jej zasoby niejadkom. Wciąż jednak było za wcześnie na adopcję.

Po niecałym tygodniu tej udręki Maja zdecydowała, że odwizimy Zucha do nowego domu, czyli w końcu do domu architekta, który po prostu wykreślił z umowy adopcyjnej niepasujący mu punkt. Czułam się bezradna i jednocześnie zawstydzona, że tak bardzo chcę się pozbyć Zuszka! Maja też nie wyglądała na zadowoloną, ale niewiele mnie to obeszło. Gdyby ode mnie zależało, kotek trafiłby do domu moich faworytów. Tak, strach i złość oraz poczucie niesprawiedliwości kumulowały się we mnie od tygodnia. Brakowało

tylko iskry, która by podpałiła tę mieszaninę.

Iskrą okazała się decyzja Mai, żeby kocięta, które wymagały sztucznego dokarmiania, oddać pod opiekę Agnieszce, ponieważ ona mogła się nimi zajmować w godzinach, kiedy ja pracowałam. Zwłaszcza że według planu i tak miała je adoptować. Nie wybuchłam jednak, tylko spokojnie pojechałam z Mają do Agnieszki. Uradowana pani domu nie okazała cienia strachu czy wątpliwości na widok zabiedzonych kociąt. Nie dość, że sama promieniała ciepłem, to jeszcze pod chude ciała podłożyła posłania dogrzewane termofoarami. Pokazała nam i kociętom nowo kupione zabawki, różnorodność karm i odżywek oraz otwarte dla malców ramiona. A ja zrozumiałam, że Maja, mówiąc: „Podoba mi się ta dziewczyna”, nie myliła się – Agnieszka miała to coś, czego mnie brakowało. Była matką, a ja wściekłą jędzą o krok od załamania nerwowego.

Przy osiemnastej myszce z kocimiętką pokazywanej nam przez zachwyconą Agnieszkę zmieniłam zdanie. Podziwiałam Agnieszkę, lecz jej nie zazdrościłam. Była inna, zapewne lepsza dla kotów, niekoniecznie lepsza ode mnie. Jestem sknerą i rzucam kotom korki od butelek, ale też je kocham. Znowu lubiłam siebie.

Jakkolwiek przestały mnie dręczyć wyrzuty sumienia, strach pozostał. Pasiak niedługo pogrzał się przy termoforku. Niebawem trafił do kociego szpitala pod kroplówkę. Był bardzo zarobaczony, odwodniony, słaby. Zmarł sobie cichutko w nocy. Piknięcie telefonu komórkowego powiedziało mi wszystko, ale w nadesłanym esemesie

Pasiaka określono jego nowym imieniem. Może więc mój Pasiasty przeżył? Po co się łudzić? Zasnąłam jak kamień.

Delikatnie wypytywana, jak się czuję i czy nie żałuję włożonego wysiłku, odpowiadałam fuknięciem:

– Bardzo żałuję. Dlatego przestałam o sobie dbać. Wydatek spory, a ja i tak umrę.

– Zapewne, ale nie dziś – przekonywał nierozumiejący rozmówca.

Nie tłumaczyłam, że Pasiak też nie umierał przez parę ładnych tygodni. Żył sobie wesoło, bawił się, jadł, tulił na moim ramieniu, nauczył się mruczeć i stawiał się nawet Sutkowi. Czy moja śmierć jutrzejsza czyni dzisiejsze kupienie nowego łóżka bezsensownym? Czy zabije radość, jaką sprawia mi posadzenie swojej niewąskiej na podłożu, z którego nie wystają sprężyny? Tłumaczenie ludziom takich rzeczy nie ma sensu. Koty o wiele lepiej to rozumieją. Żyją chwilą, w której są, a nie przyszłością.

Dymeczka rósł jak na drożdżach i Agnieszka wkładała całą swoją tkliwość w wychowanie szarego rozrabiaki, bo Dymka szybko pozbył się nieśmiałości i zaczął wesoło dokazywać. Oko miał już zdrowe, a humor wspaniały.

Najpóźniej klatkę opuściła Sutek. Kiedy już została sama z kocicą, wypuszczałam ją nawet na kilka godzin. Dogadywała się z Szarą, demontowała nisko wiszące ozdoby na choince i rosła. Natalia odebrała ją podekscytowana jak dziecko. Cieszyłam się razem z nią,

bo kocia matka, na którą wprost żal było patrzeć, wreszcie miała szansę przytyć. Jeszcze tego samego wieczoru Natalia przysłała mi zdjęcia malucha. Wkrótce niestety okazało się, że Sutek nie została porządnie odrobaczona, a u Natalii wystąpiła alergia. Pod górkę. W końcu jednak kotka wyszła na prostą i zaaklimatyzowała się w nowym domu, objawy zaś alergii, automatycznie przypisane kociej ślinie, wywołało coś innego.

Uzgodniłam z Mają, że kocica jeszcze jakiś czas posiedzi w klatce, zanim zostanie wysterylizowana i wypuszczona na wolność. Należało ją trochę podtuczyć.

Nie lubiłam tej kocicy, nie podobał mi się jej pyszczek, jej nerwowe zachowanie, nieprzestrzeganie granic kuwety i prychanie. Nie zwracałam na nią uwagi – była niezbędną dla kociąt, a nie dla mnie. Wszystko kręciło się wokół małych! Miałam tego dosyć i ona chyba też, bo bez nich nasze relacje stały się lepsze.

Właściwie obie stanowiłyśmy dodatek do kociąt. Niekiedy siedziałam przy klatce i opowiadałam kocicy o tym, że lubię kocięta, ale cieszę się, że ich już tu nie ma. Z czasem akceptowałam ją na tyle, żeby nadać jej imię: Dżungla. Ona chyba też mnie akceptowała. Czasem przyciskała chude ciało do prętów, a ja ją głaskałam. Nie powinnam była tego robić, nie powinnam była oswajać zwierzęcia, które miało wrócić na działki, lecz nie mogłam się powstrzymać. Bez kociaków Dżungla posmutniała, brakowało jej ciepła, wołała Szarą, by ta dotrzymała jej towarzystwa. Pozwalałam im na kontrolowa-

ne spotkania. Nie bały się siebie. Dżungla nic była agresywna, a tego się właśnie obawiałam. Oddawała Szarej pierwszeństwo przy misce. Sama chciała tylko ocierać się o grubą kotkę i czyścić jej futro.

Bałam się, że oswoiłam kocicę, tymczasem okazało się, że nie, że tylko mnie się daje głaskać. Tak bywa z karmicielami i ich dzikusami. Ja jednak nie zamierzałam być tym jedynym człowiekiem, któremu ona by ufała. Nie chciałam też zdradzać „ideologicznie” fundacji, która opowiada się za uwalnianiem dzikich kotów i za ich prawem do nieufności. Na wpół oswojony kot to problem. Wiele domów tymczasowych ma u siebie taki egzemplarz: niechętny, choć łagodny wobec tych, z którymi mieszka, całkowicie dziki wobec tych, których nie zna. Jednym słowem – kot nieadopcyjny. Trudno bowiem oczekiwać, że zapalasz sympatią do kota, który wchodzi pod wersalkę, gdy ty się zjawiasz, aby pomówić o jego adopcji, a ponieważ w domach tymczasowych bywa więcej futer niż gatunków jabłek w warzywniaku, wychodzisz stamtąd w towarzystwie rodzeństwa arcybrzydali, które okazały się gościnne nad wyraz. Dżungla wyróżniała się tylko niezmierną chudością. Poza tym była dzika, o pospolitej urodzie i dorosła. Ktoś, kto zamierzałby wziąć ją do domu, powodowałby się wyłącznie jej smutną historią. Chociaż ja akurat nie uważałam, że w historii Dżungli znalazło się coś naprawdę bardzo smutnego. Ot, los może niezbyt wesoły, lecz na pewno nie taki straszny. Gdyby Dżungla była zmęczoną kobietą w średnim wieku, opowiedziałyby historię zawierającą podobny ładunek smutku i rado-

ści.

Muszę przyznać, że polubiłam starą kotkę i choć między nami powstała jakaś delikatna więź, życzyłam sobie, żeby Dżungla o niej zapomniała, żeby żyła po swojemu, latem na działkach, zimą w piwnicy. Dla nas, ludzi, jest niepojęte, że można być szczęśliwym, koczując tu i tam, nie mając własnego kąta, nie będąc pewnym następnej chwili. Dla kotów zaś, o ile koty w ogóle pojmują, czym jest szczęście, wszystko oprócz rzeczy ewidentnie złych, takich jak ból, choroba, głód i zimno, może uchodzić za znośne, a przy odpowiednim nastawieniu wręcz za dobre.

Kot bezdomny, który urodził się w piwnicy, wcale nie tęskni za poduszką, bo nie ma pojęcia o jej istnieniu. Nie pragnie jedzenia na zawołanie, bo nauczono go czerpać satysfakcję z polowań. To inne zwierzę, choć wygląda tak samo jak domowy piecuch.

Kiedy Dżungla utyla i stała się mniej łąsa na jedzenie niż na pieśczoły, odwoziłam ją z Mają na zabieg. Pasiak i spółka były jej ostatnim, ale bardzo udanym miotem. Po dwóch dniach odwiedziłam dzikuskę w Ciachu. Już mnie nie poznała, nie ocierała się o kraty, zachowywała się tak samo jak inne dzikie koty. Ostatecznie rozwiła moje wątpliwości co do jej dalszych losów i po wypuszczeniu na wolność przystała do kudłatej gromady pana Stanisława.

Rozdział ósmy, w którym nauczyłam się myć zęby z kotem na kolanach

Siedziałam jak zawsze z tyłu autokaru. Tam, gdzie w drodze na kolonie skupiało się dziewięćdziesiąt procent dzieciaków. Wtedy zastanawiałam się, jakim cudem tył nie przeważał i nie unosił pustego przodu. Teraz, choć miałam lepsze rozeznanie w budowie autobusów, nadal parlałam do tyłu. Obok mnie podskakiwała Małgorzata i pięć książek ułożonych grzbietami do góry i otwartych na stronach, które chciała mi przeczytać. Przed nami znajdowało się kilka pustych miejsc, dalej zaś grzecznie dwójkami usadowili się inni moi współpracownicy. Jechaliśmy na szkolenie dotyczące prowadzenia archiwów. Nie byłam specjalnie zachwycona, bo niby co ma ten temat wspólnego z moją pracą? W dodatku nocleg w obcym miejscu. Kiedy zobaczyłam nazwisko Gosi na liście, odetchnęłam z ulgą. Zawsze świetnie nam się rozmawiało. Podejrzewam zresztą, że ona nawet z milczka wydusiłaby choćby mimiczny akompaniament do jej wspaniałej gadatliwości. Gośka „łapie dryfy”, przeskakuje z tematu na temat, brnie w dygresje jak papuga w zbiorze perskich opowieści. Ma w głowie piękny śmietnik, który sprawia, że rozmowa jest chaotyczna, ale ciekawa. Ponad połowę jej dwudniowego bagażu, podobnie jak bagażu życia, stanowiły książki. Resztę zajmowały zwierzęta. Zabrała ze sobą powieść szpiegowską, eseje, koreańskie opowiadania i coś jeszcze. Podsuwała mi rozłożone strony i pokazywała palcem

akapity.

Czasami wymieniała tak zmienną liczbę swoich zwierząt i ich gatunków, że posądzałam ją o radosną mitomanię. Miewała koty, psy, straszki, kawki, gołębie i jeża. Opowiadała o swoich rozlicznych ulubieńcach niestworzone historie: jak to kocur przegryzł puszkę albo jak lodówkę ze słabym magnesem trzeba było przez ładnych parę lat zamykać na łańcuch. Nie dbałam o to, czy opowieści Gosi, podobnie jak anegdoty zasłyszane przy piwie, są prawdziwe, grunt, że zostały opowiedziane kwieciście. Z Goską zawsze był ten sam problem: nie dało się brać jej w pełni poważnie. Ona zresztą też nie traktowała w ten sposób świata ani samej siebie. Dałam się zwieść wrażeniu, że kontroluje swoją ekscentryczność i panuje nad efektem, jaki wywiera na otoczeniu, jednak było w niej coś smutnego, jakieś zaniedbanie i zagubienie, ślad szaleństwa. Lubiłam ją, bo nie bała się być sobą, lubiłam ją również dlatego, że w jej szaleństwie dostrzegałam siebie, taką, jaką mogłabym się stać w przyszłości, gdybym się nie pilnowała. Nie sądzę, by dla innych ludzi Małgorzata była tak interesującą osobą jak dla mnie. Pewnie widzieli w niej niegroźną wariatkę, odpustową atrakcję.

Nie przeszkadza mi towarzystwo gaduł. Mój głód wiedzy zaspokajam w sposób mało subtelny, łykam jedzenie śmieciowe, potrawy szybkie, wolne, wyszukane i bliskie rozkładu. To właściwie nie głód, lecz poważne zaburzenia w odżywianiu się wiedzą. Nietrudno było się zorientować, że koty Goški nie są wybredne i wcinają

wszystko, co nie ucieka, zupełnie jak bezrogie kozy. Wniosek był jeden: Małgorzata miała za mało pieniędzy, by utrzymać siebie, córkę i stado kotów. Jak duże stado? Nie wiedziałam, bo moja koleżanka świadomie żonglowała ogólnikami. W miarę jednak jak rosło jej zaufanie do mnie, rosła też liczba ujawnianych przez nią zwierząt, przekraczając wszelkie dopuszczalne granice. Przypuszczałam, że stado liczyło około dwudziestu sztuk. Chciałam jej pomóc, ale nie wiedziałam, jak przyjmie taką propozycję, więc podczas szkolenia snułam plany, by pod szyldem Ciachu zacząć dostarczać jej karmę.

Moja tolerancja wobec liczby zwierząt trzymanyh w domach bardzo się zwiększyła w ostatnich miesiącach (wcześniej za normę uważałam posiadanie jednego zwierzęcia, dla ekscentryków – dwóch, a przygarnianie każdego następnego traktowałam jak niebezpieczną przypadłość), odkąd dostrzegłam, że wszystko, co jest w stanie żyć ze sobą w zgodzie, nie powoduje problemów. Gdyby na przykład w stadzie zamiast trzech samców, które walczą ze sobą i nie przestają oznaczać terenu, żyło nawet pięć innych, ale niesprawiających kłopotu, to mimo że stado liczyłoby dwadzieścia sztuk, ich obecność nie byłaby absorbująca, a opieka nad nimi najprawdopodobniej sprowadzałyby się do wydawania pokaźnych sum na karmę oraz doraźnych przeglądów lekarskich, podczas gdy z tamtymi trzema niezadowolonymi ze swego towarzystwa kotami będzie zawsze urwanie głowy: szmaty, papierowe ręczniki, neutralizatory zapachów i diabli wiedzą co jeszcze, byleby tylko pozbyć się ich koszarnej

woni, zapachu, którego nie sposób zapomnieć – nie tyle nawet odrażającego, co ostrego, wręcz bolesnego dla nosa i zatok.

Jeśli chodzi o węch, koty nie dorastają psom do pięt, my zaś w porównaniu z kotami mamy ten zmysł żałośnie upośledzony. Nie wyczuwamy nawet śladowego zapachu ich hormonów policzkowych, którymi tak hojnie nas obdarowują, gdy chcą ometkować „swojego” człowieka. Jeśli zatem koty odbierają tajemnicze zapachy pochodzące z okolic paszczy, w których istnienie my ludzie jesteśmy zmuszeni uwierzyć na słowo, to pytanie, jak reagują na zapach moczu konkurenta? Jak na wyjący autoalarm? Dźwięk syreny? Ryk silników odrzutowych lub odgłos ćwiczeń basisty zza ściany? A może nos koci odbiera na innych częstotliwościach, nie zaś na naszym ludzkim paśmie? Tak czy siak, koszmar posiadania kota związany jest w zasadzie wyłącznie z nieporozumieniami kuwetowymi. Fotel w strzępach czy zbita waza to betka.

Liczba zwierząt, którą można by uznać za maksymalną w określonej sytuacji, zależy nie tylko od ich wzajemnej sympatii. Decydują sprawy oczywiste, takie jak metraż i finanse, ale przede wszystkim umiejętność utrzymywania relacji. Przez dwanaście lat miałam w domu kota i królika. Kotu poświęcałam znacznie więcej czasu, przy czym nie mam na myśli sprzątanía czy kupowania jedzenia, lecz czynności wykonywane zazwyczaj w towarzystwie przyjaciół – rozmawianie, bawienie się, jedzenie, oglądanie filmów. Z królikiem szło mi znacznie gorzej, był jak dalszy kumpel, z którym, gdy zadzwoni,

to nie bardzo jest o czym pogadać. Kotka Aura nie bez przyczyny wolała jednak przebywać z moją mamą niż ze mną. Raczej nie było mnie w domu, a kiedy wracałam, to zbyt rzadko siadałam spokojnie. Nie przyglądałam się jej z taką uwagą jak Szarej, nie żyłam jej życiem i nie zabiegałam o jej względy. Porównując do ludzkich relacji – należałam zapewne do bardzo bliskich osób, takich jednak, co się trochę oddaliły, jak starsza siostra, która nie ma czasu na głupie zabawy. Z Szarą jesteśmy kumpele, wymieniamy bieżące ploteczki i jestem wprowadzona we wszystkie drobne, codzienne sprawy. Utrzymać pod względem finansowym mogłabym zapewne i dziesięć kotów, ale dać im to, co kociarskie środowisko nazywa uparcie „domem tymczasowym”, podważając zasadniczą definicję domu jako stałej przystani, nie, tego nie potrafiłabym dać dziesięciu, a pewnie i pięciu kotom, Jest mnie za dużo w innych dziedzinach, w innych sprawach, nie mam w telefonie zdjęć kotów, po chwili zapominam o ich wyczynach. Słaby ze mnie przyjaciel, zbyt egocentryczny.

Ponieważ moją koleżankę postrzegałam podobnie, z trudem przychodziło mi uwierzyć, że była w stanie stworzyć dom tylu kotom. Kiedy wracałyśmy ze szkolenia, ich liczba przekraczała już dwadzieścia. Gosia mieszkała z córką, więc przyjmijmy, że na każdą z nich przypadała tylko połowa tych zwierząt. Mimo to nadal nie widziałam możliwości utrzymania więzi. Z drugiej strony, tłumaczyłam sobie, chyba zbyt wiele wymagam i popełniam stały błąd, myśląc, że każdy ma tyle samo lat co ja i że jest niezwykle do mnie po-

dobny, skoro nadajemy i odbieramy na tych samych falach. Inna sprawa, że każdy kociarz usiłujący pomóc wie, iż lepiej kolejnego kota umieścić choćby w łazience czy szopie niż skazać na bezdomność.

Znowu czułam się inna, nigdy bowiem nie brałam „tymczasów” – ani na chwilę, ani na tydzień, ani na minutę – na zasadzie, że jakoś to będzie, że może ktoś przyniesie jakąś puszkę, a za dwa dni zjawi się kolejna osoba i ze względów czysto emocjonalnych przygarnie zwierzę na jakiś czas. Nie do końca neguję ten system, ale na pewno go nie pochwalam i nie zamierzam działać podobnie.

W pracy Gosia sama mnie zaczepiła, pytając o lektury (pożyczyłam od niej prawie wszystkie książki, które miała ze sobą na szkoleniu). W czasie rozmowy przemyciłam kilka słów o mojej kociarskiej działalności i że chciałabym jej pomóc, a na początek rozeznaczyć się na miejscu w prawdziwych potrzebach. Nie przyjęła oferty z otwartymi ramionami, ale się zgodziła na moją wizytę w domu.

Poprosiłam o pomoc panią Anię z Ciachu. Chodziło mi o bieżące sprawdzenie stanu zdrowia kotów, pożyczanie transporterów i klatek łapek oraz przetransportowanie dzikich podopiecznych Gosi do fundacji.

Gosia od godziny krążyła wokół bloku. Spóźniałyśmy się, bo najpierw wstąpiłyśmy do Ciachu po transportery. Był piekielny mróz. Ręce, na które nie zdążyłam wciągnąć rękawiczek, całkiem mi zdrętwiały w drodze między samochodem a bramą Gościnyego do-

mu. Gospodyni, równie jak my zmarznięta, wytłumaczyła, że akurat zepsuł się domofon, więc czekała na zewnątrz, żebyśmy nie odeszły z kwitkiem od drzwi. Poza tym chciała nam pokazać swoje stadko kotów miejskich, niemal równie liczne jak jej domowe. Wszystkie miały imiona i były z Goską w komitywie. Odlawianie przełożyliśmy na po wizycie u Małgosi. Musiałyśmy się choć trochę ogrzać.

Pierwszy wybiegł nam na spotkanie czarny kot – Jędrzek – i już nas nie odstępował, podczas gdy nadzwyczaj liczna reszta towarzystwa obserwowała nas raczej nieufnie. Mieszkanie Gośki zajmowały książki i koty. Mieszkanie, a właściwie typowa blokowa klatka, wewnątrz której wydzielono niewiarygodnie wielką liczbę niewiarygodnie małych pomieszczeń, żeby obok litery „M” umieścić stosowny numer z liczbą pokoi. Kotów było trzydzieści, czyli jeden kot na jeden metr kwadratowy. Panie na prawo, panowie na lewo w ramach antykoncepcji.

– Tak – mówiła Gosia, usuwając z łóżka stertę książek, żebyśmy miały gdzie usiąść – znajdzie się oczywiście kilka sztuk do kastracji, chociaż one, o dziwo, w ogóle nie zamierzają się rozmnażać.

– Nigdy nic nie wiadomo, lepiej zapobiegać.

– Niby tak, ale czy nie są za stare? Niektóre mają już swoje lata... No i ta narkoza przecież...

– Zawsze jest trochę ryzyka. Narkoza to paskudna rzecz, ale poza tym same plusy ze sterylizacji. Przecież jesteś starą kociarą i takie rzeczy wiesz – podpuszczałam, owszem, nie mogłam jednak

pozwolić na ryzyko rozmnożenia się stada. Nie teraz, gdy już siedzieliśmy u Gośki na łóżku, głaszcząc ciekawskie koty.

Kotów było multum, przyglądały się, podchodziły lub się chowały. Multum było też książek. Regały sięgały do sufitu, tomy leżały, stały i wystawały z ugiętych pod ich ciężarem półek. Był też zapach kociego moczu. Na pewno część zwierząt nie respektowała zwirkowego paktu z człowiekiem. Gosia zresztą z oszczędności używała trocin, które zazwyczaj podściela się w klatce gryzoniom. Takie wiórki spełniają swoją rolę w kuwecie z punktu widzenia kota, bo może w nich kopać, ale z punktu widzenia człowieka są zbyt mało chłonne, nie zbrylają się i z całą pewnością pozbawione są zdolności pochłaniania zapachu, mimo że same w sobie, czyste, pachną bardzo przyjemnie. Gospodyni przedstawiała nam poszczególne koty:

– Gilgamesz, Belzebub, Jędrula, Groszek Pierdzioszek, Devisia, Śrubka, Julcia, Krzysia. – O każdym miała do powiedzenia kilka słów: Pierdzioszek był czuły, Jędredek namolny, Krzysia urocza, a Belzebub oczywiście bardzo łagodny. Może nie byli to najlepsi przyjaciele Gośki, ale na pewno nie znajomi z pracy, których widuje się codziennie, ale tylko z musu.

– Widzę, że znaleźliśmy kogoś do nazywania kotów w ośrodku – panią Anię ucieszył niepospolity wybór imion.

Belzebub i cała reszta piekielników rzuciła się do miski z przyniesioną karmą. Talerzyki z chrupkami, które stały już wcześniej, towarzystwo radośnie ignorowało lub używało w charakterze trybun

służących do lepszej obserwacji i dających sposobność wybicia się.

Nakarmiwszy domowe stadko, przeniosłyśmy się na dwór, żeby wylapać tyle dzikusów, ile się uda. Poszło całkiem nieźle, bo koty nie były specjalnie wystraszone i w zasadzie same od razu weszły do klatek łapek.

Schwyciłyśmy na początek trójkę kocurów. Oczywiście nie sprawiały wrażenia zachwyconych, ale do Ciachu dojechały bez większych wrzasków. Na miejscu wypisałam im karty. Wprawdzie dzikie stadko Gosi było nieźle oswojone, ale zdecydowanie bezdomne. Gdyby zabrała także i te koty do swojego domu, tragedia byłaby murowana.

Jeżeli koty rozmnażają się w jakimś miejscu w sposób niekontrolowany, prędzej czy później stają się bezdomne. W sytuacji, gdy umiera opiekun, nawet jeśli wiedzą o tym organizacje prozwierzęce, nie da się szybko znaleźć domu wszystkim osobnikom. Prawdopodobnie część z nich jest poważnie chora, część zaś zdziczała.

Do Gośki zaglądałam przez cały miesiąc, odbierając i przywołując koty. Pożyczałam też książki. Czasem dostarczałam karmę, niekiedy jakieś rzeczy, które, jak mi się wydawało, mogły się u niej przydać. Pani Ania załatwiła też lekarstwo do uszu, bo stado miało nawracającego świerzbowca, gdyż prawdopodobnie część kotów była wyleczona, a część tylko podleczone, więc pasożyt zaczynał atakować od nowa.

Sprawy przebiegały dobrze do czasu, gdy jedna z kotek zmarła

po operacji w ośrodku. Właśnie chwaliłam się Gosi, że pojawił się w sieci film opisujący działalność fundacji, wywołując wiele dyskusji, kiedy przyszedł mejl. Wcześniej zapewniałam ją, że zabieg sterylizacji, choć u kotek poważniejszy niż u samców, to tylko niewielka operacja, z której niemal każda wychodzi cała i zdrowa. Kotka, która nie przeżyła, była bardzo drobna i słaba, po operacji długo nie dochodziła do siebie. Tak bywa, choć oczywiście nikt nie zakłada takiego obrotu spraw. Dodatkowo drażniło mnie, że nie pamiętałam imienia kotki.

– Małgosiu, muszę ci przekazać bardzo złą wiadomość. Ta małeńka z rudymi plamkami nie przeżyła – powiedziałam.

– Ziazia?

Kiwnęłam głową, Gośka na pewno dobrze zidentyfikowała zwierzątko.

– Jeśli Ziazia, to wiem dlaczego. Była bardzo słabiutka. – Małgorzata usiłowała mnie pocieszyć. Pogłaskała sweter na moim przedramieniu. – Nie jestem zła.

– Wiem, ale i tak mi przykro.

Przekazywanie takich informacji jest naprawdę trudne, poczynając od tego, że informowany wolałby w ogóle nie zostać poinformowany, a kończąc na tym, że nie znamy właściwie odpowiedzi na pytania, które mógłby chcieć zadać: Dlaczego? Co się właściwie stało? Czy za sprawą choroby, czy po prostu tak wyszło? Czy lekarz czegoś nie zawałił? A może ktoś jeszcze zawinił? A może nikt nie

zawinił? Może kot skądś spadł? A może... Nie umiałabym odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Na szczęście Małgorzata ich nie zadała. Pocięszała mnie i nie miała za złe. Czułam się jeszcze bardziej przybita. Gdybym została obrzucona wyzwiskami, byłoby mi lżej. Złość widziałam jako aktywność. Smutek jako obezwładniający bezruch.

Na bezruch nie było co liczyć. Pewnego razu, gdy znów odwoziłam koty Goški do Ciachu, co zazwyczaj odbywało się późnym wieczorem, kiedy już nie ma nikogo z obsługi, tylko ja i Maja lub ja i pani Ania, bo takimi parami jeździłyśmy, otóż takiego wieczoru, który w lutym staje się ciemną nocą, spotkałam wreszcie mojego kota.

Fundacja używa kilku pomieszczeń. Spośród nich wyróżnia się część biurowa, izolatka i gabinet. Resztę zajmują regały z klatkami. Tego dnia przy klatce czternastej zatrzymałam się na dłuższą chwilę, bo zamknięta w niej kotka całym ciałem napierała na pręty. Robią tak zwierzęta oswojone, które po prostu dopraszają się zainteresowania. Człowiekowi, który widzi coś takiego pierwszy raz, krwawi serce. Moje serce też tego doświadczyło. Kotka za kratkami całą swoją postawą, głosem i wzrokiem – prosiła. Otworzyłam drzwiczki i wsunęłam rękę. Nie zapamiętałam, jak ona wyglądała, nie zapomnę tylko, że wspięła mi się na rękę i przywarła, mruczając głośno. Czegoś takiego nie widziałam ani przedtem, ani potem. Maja, zerknąwszy na kartę, uspokoiła mnie, że kotka ma zapewnioną porządną opiekę i na pewno zostanie przeznaczona do adopcji. To częsta praktyka. Naj-

ważniejsze, by zwierzątko po rekonwalescencji w fundacji zamieszkało w domu tymczasowym, a nie wracało na ulicę.

Po takiej porcji wzruszeń byłam pewna, że już żaden kot nie poruszy mojego serca tego dnia. Stało się inaczej. Słyszałam, że czasem tak się zdarza, ale nie wierzyłam. Kociarze mówią o zakochaniu. Wszystko dzieje się nagle, bez udziału woli czy rozumu, w ciągu sekundy wiesz, że to właśnie ten kot i już. Snop światła padł na klatkę numer osiemnaście. Kot znajdujący się w środku nie napierał na kratki, tylko czekał, stanąwszy w pogotowiu. Zachowanie niezbyt charakterystyczne dla oswojonego kota, ale też niezdradzające dziłkusa, który starałby się raczej schować i uczynić niewidzialnym. A ten czekał. Piękny, niewiarygodnie piękny, przegowany.

Sprawdziłam w karcie: to kotka, oswojona, bura, znaleziona na ulicy Uroczej. Na palce wsunięte przez pręty zareagowała przyjaźnie, lecz bez hysterii. Myślałam, że to wcielenie spokoju, dama, arystokratyczna perełka. Tymczasem po otwarciu drzwiczek klatki położyła mi łapy na piersiach i bezceremonialnie wytarła nochal w moją twarz. Tłumacząc ów gest na język ludzki: kotka mnie oznaczyła. A ja uczyniłam to samo niedługo potem. W sposób pośredni, oczywiście. Miałam ze sobą aparat, co jest dobrym pomysłem, gdy odwiedza się Ciach, więc zrobiłam zdjęcie swojej wybrance i wysłałam szybko do pani Ani z listem, trochę kłamliwym, że nie tylko ja sobie kotkę wybrałam, ale i ona mnie.

Dwa dni później wzięłam urlop z pracy, odważnie wysmaro-

wałam usta szminką i ruszyłam do fundacji na nagranie. Telewizyjny Canal+ robił program dla dzieciaków. Miałam opowiedzieć o Ciachu i mojej pracy dla zwierząt. Na kolanach trzymałam moją puszystą wybrankę, która ocierała się nosem o mikrofon, zaczepiała prowadzącą, wędrowała po mnie jak po drabince. Program chyba wypadł niezłe. W końcu nikt z „ciachaczy” go nie obejrzał, bo – jak się okazało – ani jedna osoba nie dysponowała łącznie telewizorem, nagrywką i odkodowanym dostępem do tego kanału. Mam nadzieję, że dzieci oglądały moją Oskę i zapalały miłością do kotów, a szminka na wątpliwie pięknym licu zapobiegła umocnieniu się stereotypu zaniedbanej kociary.

Kotka już wtedy miała imię. Jak zwykle pojawiło się ono znikąd i pasowało doskonale. Szukanie rozwiązań to marnowanie czasu i nerwów. Tak, rozwiązania pojawiają się same! Jeśli się czegoś boicie, moi drodzy, to usiądźcie z filiżanką herbaty i poczekajcie, co się stanie. Rezultaty nie muszą być idealne, ale gdybyście biegali jak kot z pęcherzem i zagłądali pod każdy kamień, też by nie były. Od klatki numer osiemnaście nazywałam ją w myślach Osiemnastką, co zapewne z powodu dużej liczby sylab szybko przerobiłam na poręczną Ósemkę, a następnie na Oskę. Liczba wariantów imienia kocicy rośnie.

Osia nie zdradzała cienia nieśmiałości w fundacji, a przed kamerą zachowywała się jak prawdziwa gwiazda. W domu zaś, wypuszczona z transportera, poczuła się wyraźnie kiepsko. Jej łapki

stały się o połowę krótsze, a oczyska dwukrotnie większe. Szara przyjęła nową koleżankę z całą serdecznością, na jaką ją było stać, i polizła jej futro. Ośka odskoczyła zdumiona, prychnęła i na dobre schowała się za biurko.

Natychmiast przyjechał Red, żeby zobaczyć nową lokatorkę. Wprawdzie bardzo mu się podobała, ale z obawy, by grubiutka ulubienica nie poczuła się zazdrosna, stale zapewniał, że to ona jest najwspanialsza. U sąsiadów trwała głośna impreza, więc wzięliśmy koce i Oskę i zrobiliśmy jej i sobie legowisko w łazience. Ośka była zachwycona. W małym, cichym pomieszczeniu kotka zachowywała się rozkosznie. Przytulała się, ocierała, szturchała noskiem i mruzczała jak bardzo zadowolony kot. Red już dawno wrócił do domu, ja zaś przesiedziałam z nią niemal całą noc, zanim ostatecznie trzaśnięcie bramy nie oznajmiło, że można się kłaść spać. Przysypiałam, trzymając kotkę na kolanach, delikatnie okrytą kocem. Ósemka co jakiś czas podnosiła łebek, rzucała mi przeciągłe spojrzenie lub wyciągała szyję, by dotknąć nosem mojej brody.

Przez następne dwie doby Osia zaszyła się za biurkiem koło ciepłych rur, ale wychodziła na moje nawoływania. Zupełnie ignorowała mamę i Szarą. Nie mam pojęcia, czy bała się ich, czy raczej całej nowej, przytłaczającej rzeczywistości. Z czasem wychodziła coraz szybciej i coraz dalej. Zaniesiona na rękach do łazienki, zmieniała się natychmiast w czulego kota. Tak zostało zresztą do tej pory: zauważywszy, że jestem w łazience, przybiega i czeka, aż skończę

myć ręce, usiądę na brzegu wanny i wezmę ją na kolana. Czasem myję zęby, jednocześnie głaszcząc kotkę. Ostry zapach mięty zupełnie jej nie przeszkadza.

Osia oswajała się powoli, lecz systematycznie. Każdego dnia, gdy wracałam z pracy, pierwszy witał mnie wysoko uniesiony ogonek Szarej. Osia podchodziła kawałek dalej. Po pewnym czasie zaczęła wyprzedzać Szarą i witać mnie pierwsza. Okazało się, że oswoiła się bardzo szybko, tyle że „jednostkowo”. Nadal nie interesowała się Szarą, choć nie okazywała wrogości, ani mamą, choć nie uciekała na jej widok. Wyraźnie reagowała tylko na mnie. Zastanawiałam się, jak interpretować to zachowanie: czy Osia potrafiła przywiązać się wyłącznie do jednej osoby na całym świecie, czy też do jednej osoby w danym czasie? Czy nadawała się zatem na kota „tymczasowego”? Bardzo nie chciałam jej oddawać. Zwierzątko miało same zalety: niepospolitą urodę (półdługie futro, bardzo pożądane, w dodatku bez skłonności do kołtunienia się i wypadania), było sympatyczne, przyjacielskie, spokojnie odnoszące się do innych kotów. Obawiałam się, że każdy byłby gotów ją przygarnąć tylko ze względu na urodę, co od razu zniechęcało mnie do potencjalnych opiekunów.

Muszę przyznać, że w tym wszystkim nie zmieniał się mój stosunek do Szarej. Na pytanie, czy nadal jestem gotowa oddać ją do adopcji, odpowiadałam, że owszem. I wcale nie kłamałam. Jednak Red i mama, członkowie Frakcji Rezydentury Szarej, byli twardzi.

Prośbą i groźbą przekonali mnie, że Szara właściwie nie jest moja, tylko ich, bo to oni ją kochają, i dlatego nie ja powinnam decydować o jej pobycie – na stałe czy tymczasowym. Na tej pokrętnej zasadzie Szara została moją rezydentką, a członkowie Frakcji zobowiązali się do dostarczania jej przysmaków.

Zbliżał się marzec, miesiąc doskonale monochromatyczny, a przy tym ostatni termin wykorzystania zaległego urlopu. Postanowiłam nie ociągać się z wyjazdem, choć sterylizacja kotów Goški, osvajanie Osi, ulepszanie bazy i wszelkie inne sprawy fundacji pozostawały wciąż niedokończone. Pytanie tylko, czy jest szansa sprawy bieżące dopiąć kiedykolwiek i zakończyć definitywnie? Chyba z zatrzaśnięciem wieka trumny.

Zsynchronizowanie terminów urlopów trzech osób oraz decyzji o wyjeździe w to samo miejsce okazało się niemal równie nudne jak znalezienie pieniędzy na wyjazd. W końcu jednak przynajmniej tę jedną sprawę dopięłam. Następnie dopięłam torbę i czekałam na dzień wyjazdu na Wyspy Kanaryjskie.

Rozdział dziewiąty, w którym Zoidberg nosi abażur

Tak bardzo obawiałam się powrotu z wakacji, a on przebiegł tak spokojnie.

Koty się nie obraziły, przynajmniej nie na dobre. Wprawdzie

Osia nie raczyła do mnie podejść (spała na parapecie i miała w nosie okrzyki powitalne), ale Szara niewątpliwie mnie poznała – zbliżyła się z zadowoloną minką, obwąchała torbę, otarła się pyszczkiem kilka razy i jak nakazuje koci kodeks, zaprowadziła mnie do kuchni, by ze zboląłą miną wskazać na miskę. Jedzenia miała pod dostatkiem, ale reguły to reguły – Szara odegrała na oskarowym poziomie rolę głodzonego kota.

Mama też była bardzo zadowolona, że wróciłam. Nieustannie powtarzała, że to całe szczęście, bo przecież sytuacja w Afryce Północnej i Japonii przedstawia się tragicznie. Nie znaczy to, że mama nie zna geografii, tylko że jej niepokój związany z problemami światowymi nałożył się na moją nieobecność.

Bałam się, że Osia będzie musiała od nowa się do mnie przyzwyczajać. Kiedy podeszłam do okna, nawet nie podniosła głowy. Dopiero gdy ją pogłaskałam, spojrzała i uniosła się, żeby dosięgnąć mojego nosa. Wyglądało na to, że wszyscy domownicy wybaczyli mi nieobecność.

Ze mnie kanaryjskość też wkrótce opadła, chociaż jeszcze przez kilka dni, zaglądając do lodówki, dziwiłam się, że jest pusta i – okropność – że nie podają tu jedzenia. Byłam ciągle głodna, zupełnie jak Szara. Do ogromnych plusów domowych zaliczyłam możliwość picia herbaty z naczyń większych niż filiżanka. Wydawałoby się, że będzie mi zimno, tymczasem natychmiast przystosowałam się do polskiej wczesnowiosennej pogody. Cieszyłam się, że mogę swoją

wyprawę odbyć jeszcze raz, czytając od nowa o miejscach, które widziałam, i oglądając zdjęcia autorstwa innych ludzi.

Koty przeniosły się na mój parapet, co nie uszło maminej uwagi. Podczas gdy ona się boczyła, ja zastanawiałam się, jak na jednym parapecie zmieścić kolekcję kotów i kaktusów. Najwyraźniej obie nie potrafiły ze sobą współistnieć. Wprawdzie kotkom kolczaste rośliny nie przeszkadzały, przeciwnie – służyły do ocierania się, oszczędzając mi manewrów szczotką wyglądającą jak graca – ale co i raz spychane spadały, przewracały się lub łamały. Na szczęście obywało się bez kopania w doniczce. Pewnego dnia wyciągnęłam z boku Osi długi cierń. Wtedy doszłam do wniosku, że kaktusy muszą się jeszcze bardziej przesunąć. Po przemeblowaniu parapetu pół okna należało do kotów, a pół do kaktusów. Gdyby to widziały gigantyczne kaktusiska z Gran Canarii, wyśmiałyby swoich skarłałych pobratymców! Dzikie koty zresztą też miałyby ubaw, patrząc na moje kotki ściśnięte na jednym pośłaniu.

Wisiałam właśnie na drzwiczkach lodówki zapatrzona w niewielki kawałek żółtego sera, który w hotelowym wikcie byłby potraktowany jako okruch, kiedy rozległ się dzwonek. Nie można nawet spokojnie zjeść, pomyślałam i odebrałam telefon od Kamila, z którym dopiero co wróciłam z wakacji:

– Cześć! Przywitały się ze sobą? – zapytałam.

– Tak, ale... – odpowiedział mi głosem napuchniętym od łez jak burzowa chmura.

– Oj, co się stało? Łóżko zmienione w kuwetę?

– Ten czarny diabeł pokaleczył mojego Zoidberga – wysyczał Kamil, ostatkiem sił broniąc się przed wzbierającą falą wściekłości.

Tu wypada dodać, kim jest „czarny diabeł” i kim jest Zoidberg, bo na razie wiadomo tylko, że Kamil ma dwa koty.

Przed rokiem leżałam sobie, a raczej na różne sposoby przemieszczałam się po domu na jednej nodze, bo drugą miałam w gipsie. Byłam jednak nie w swoim domu, lecz w tymczasowym. Przygarnął mnie dobry człowiek, mój przyjaciel Kamil, słusznie sądząc, że nie poradzę sobie z zakupami i innymi czynnościami wymagającymi użycia obu kończyn dolnych. W domu u Kamila, jak to w domu tymczasowym, mieszkał sobie kot Zoidberg. Okaz kota niezależnego, nieustraszonego, takiego, co to wszystko widział i wie, i nie obchodzi go to, a jeśli nawet czasem zwróci na coś uwagę, to cóż, wszyscy mamy swoje grzeszki. Zoidberg, już kocięciem będąc, nie wykazywał tendencji do spania na kolanach, udawania traktora, maszyny do szycia czy innego mechanicznego urządzenia. Jego pomruk dawało się wyczuć jedynie dotykiem. Myślę, że Zoidberg mruczy wyłącznie sam do siebie i w języku, który osobiście wynalazł. W ogóle nie boi się ludzi, jednak poza powitaniem przy drzwiach niemal nie zauważa dwunożnych.

Zoidberg pozwala się pogłaskać każdemu i doprawdy nie wiadomo, czy to lubi, czy też jest zbyt uprzejmy, by dać nogę. Wygląda to tak, jakby patrzył na świat i na siebie samego zupełnie z boku lub

nawet z innego wymiaru, dokąd nie dociera nic oprócz zapachu strawy, bynajmniej nie duchowej.

Zoidberg ma też słabostki. Należy do nich „brzuszek pańcia”. Wizyta na brzuchu Kamila lub jej brak decyduje o tym, czy kot wpiśże do swego dzienniczka zdanie: „Dzień był udany” czy tylko „Dzień był”.

Dzień, kiedy pojawił się Nibblerek, z pewnością został opatrzony notatką: „Dzień był”. Zanim jednak dojdziemy do tego wspańskiego zdarzenia, wróćmy do rzeczywistości, w której ja jestem z gipsem, a Zoidberg ze mną.

Pod koniec miesiąca zdjęto mi gips z lewej nogi, by na początku kolejnego miesiąca włożyć mi go na prawą. Zapytacie, czy cierpię na osteoporozę? Otóż nie, cierpię na zbiegi okoliczności. Tak czy owak, dom tymczasowy, który z westchnieniem ulgi (ale być może też z nutką żalu) oddał mnie do domu stałego, był zmuszony jeszcze raz pospieszyć na ratunek.

Zoidberg znowu zaczął spędzać ze mną całe dni. Przegadałiśmy chyba wszystkie tematy świata i, że tak powiem, beczkę soli podzieliliśmy między siebie. Nasza znajomość osiągnęła taki stopień zażyłości, że Zoidberg raz dobrowolnie spędził trochę czasu na moich kolanach i być może mruczał, w środku.

Zauważywszy, jak się sprawy mają, Kamil doszedł do wniosku, że po moim powrocie do domu stałego kot zapewne nie zwariuje z tęsknoty, bo byłoby to absolutnie nie w jego stylu, lecz na pewno

będzie się nudził i dokona czynów haniebnych, jak ostateczna dewastacja fotela lub zamach na lodówkę. Po doczytaniu paru informacji byliśmy zdecydowani: bierzemy kota! Było nam wszystko jedno, jaki będzie: bury, szary, ładny, brzydki, pan czy pani. Miał być kot dla Zoidberga i już. Proces decyzyjny trwał nanosekundę. Owszem, spytałam Zoidberga, czy taki pomysł jest mu w smak, ale kontemlował akurat gołębia na balkonie, przez co całkowicie mnie zignorował.

Nibbler, młokos z domu tymczasowego, gdzie przebywał w towarzystwie psów i kotów, Zoidberg – jedyny kociak w miocie. Wydawało się, że o spotkaniu tych dwojga, uwiecznionym na płótnie dwa na sześć, jeszcze wnukom będzie się opowiadać. A wcale nie! Nibbler nieśmiało wyszedł z transportera, miauknął kilka razy i bardzo się ucieszył, widząc innego kota. Próbował podejść, ale się nie dało, bo nie było do kogo – Zoidberg schował się w niedostępnym zakamarku i wydawał z siebie jednostajne niskie buczenie, tak przeciągle i długotrwałe, że aż dziw, iż jeszcze przy tym oddychał. Nibbler, wcześniej przypominający naprężoną gumkę, zmienił się nagle w przekłuty balonik. Wszedł pod stół i przez wiele godzin nie poruszył nawet łapką. Tak samo zachowywał się stary domownik.

Rano koty zaczęły pomału wyłazić. Nibbler dalej wyglądał jak przekłuty (była to chyba jedyna krzywda, jakiej kiedykolwiek doznał od Zoidberga: odrzucenie). Wystarczyło jednak wyciągnąć do niego rękę, żeby od razu zaczął mruścić i się ocierać. Prezentacja brzucha

też nie przychodziła mu z trudem. Wiedziałam, że da sobie radę z Zoidbergiem. I rzeczywiście zdobył jego przychyłność, ale nie dlatego że Zoidberg przestał czuć się zagrożony i obrażony, tylko dlatego że mały kot wzbudził jego zainteresowanie i okazał się wspaniałym obiektem obserwacji oraz badań.

Podczas gdy badany obiekt nadal bezskutecznie próbował traktować badacza jak dawno niewidzianego kolegę, ten starał się raczej odsuwać, okrążyć, robić podchody i wyciągać wnioski. Zoidberg, będąc mądrym kotem, mógł dojść tylko do jednego wniosku: nowy jest w porządku, niech sobie żyje. Potem do „niech sobie żyje” dokładał następne wnioski: niech sobie zjada moje żarcie, niech sobie śpi przy moim boku, niech mi zabiera zabawki i niech mój język czyści mu uszy. Zupełnie jak z młodszym bratem, który nagle się pojawia i doprowadza nieszczęsnego już-nie-jedynaka do rozpacz.

I ten słodki, mały Nibblerek miałby pogryźć Zoidberga? Niemożliwe!

– To na pewno nie on! Nie Nibbler – powiedziałam z przekonaniem.

– Taak? To czemu Zoid ma wielką ranę na łebku? – Kamil mówił tak, jakbym przez telefon widziała głowę kota.

– Jak wielką? – spytałam, bo przypomniało mi się, że kocur już wcześniej miewał rany w okolicach głowy niemające nic wspólnego ze świerzbem czy chorobami uszu.

Stwierdziliśmy zgodnie, że lepiej wstrzymać się z pochopnymi

sądami i szybko zabrać zwierzaka do lekarza.

Kiedy po jakimś czasie odwiedziłam Kamila, zastałam wystraszonego Nibblera, uspokojonego przyjaciela i walczącego z abażurem Zoidberga. Ażur okalał mu szyję.

– O, masz nową lampkę. Kamil się roześmiał.

– To nie Nibblerek! To alergia!

– No pewnie, że nie Nibblerek, ale w alergię też mi trudno uwierzyć. – Rozmaite ranki na ciele kocura nie brały się z niczego, ale alergia?

– Prawda? A jednak coś go tam swędziało, coś się działo, więc zaczął to drapać. Zobacz efekt, tylko się nie przestrasz.

Faktycznie, na lewej skroni (że tak nazwę miejsce między żuchwą, uchem i okiem) znajdowała się otwarta rana. Zoidberg nie dał sobie dokładnie obejrzeć głowy, bo cofał się w celu zdjęcia kołnierza.

– Biedny kot, nie dość, że chory, to jeszcze męczy się z tym abażurem.

– Bez przesady. Ty też, jak złamałaś nogę, byłaś z gipsem. – Współczucie Kamila malało wraz ze wzrostem śmieszności sytuacji. Ale czy nieszkodliwości?

– A na co Zoidberg ma alergię? Nie uznasz chyba, że na Nibblera...

Wymieniony przemknął spod okna pod łóżko, rzucając mi szybkie, wymowne spojrzenie. Po chwili wylazł, usiadł na oparciu

fotela i zaczął obserwować zmagania kolegi. Fotel Kamila jest najbardziej kocim fotelem na świecie. To kwintesencja lat dziewięćdziesiątych. Nietłukące się talerze, czarne meble i disco polo to pikus przy tym straszliwie kiczowatym meblu. Poprzedni właściciele mieszkania cichcem zostawili tę ohydę, koty zaś przyłożyły się do zmiany jej wyglądu. Najpierw mebel cerowano, potem wielokrotnie łatano różnorodnymi kawałkami tkanin, jakie znajdowały się pod ręką, ale koty dalej dbały o to, by gąbka i inne fotelowe wnętrzości stały się zewnętrznosciami. Przy całej swojej brzydocie fotel jest całkiem wygodny, a Kamil nie chce go wymieniać w przekonaniu, że każdy następny podzieli los poprzednika.

– Nie jest uczulony na Nibblera. Chyba że tamten mu to wylizał...

– Być twoim kotem to kiepska sprawa. Jednemu zakładasz kołnierz, a drugiego nie lubisz.

– Musisz tak żartować? Przecież wiesz, że lubię obydwu.

– Po prostu nie rozumiem, jak mogłeś tak od razu założyć, że zrobił to Nibbler.

– Właściwie przez cały czas mojej nieobecności one były same, więc z nudów czy z tęsknoty coś mogło się między nimi popsuć.

Kocury miały dochodzącą opiekunkę w osobie siostry Kamila. Dbała o kuwetę i miski, ale nie dotrzymywała im towarzystwa całymi godzinami.

– Może Zoidberg zaczął się tak obsesyjnie drapać z nudów?

– Taka ewentualność też jest brana pod uwagę, lecz przede wszystkim alergią pokarmową dającą takie właśnie objawy.

Tymczasem Nibbler zaczął się i podskoczył do Zoidberga wstrząsającego głową.

– Patrz, chce mu pomóc – zaśmiałam się, obserwując, jak czarny manewruje przy kołnierzu pręgusa.

– A może zamierza kopnąć leżącego?

Obejrzałam koty. W pyszczku Nibblera tkwiła końcówka bandaża przytrzymującego Zaidbergowy kołnierz na miejscu.

– Trzyma go jak na smyczy. Trzeba coś zrobić z tym bandażem, żeby go w końcu nie zadusił.

Niebezpieczeństwo zostało zażegnane, zmęczony próbami zdjęcia kołnierza Zoidberg zasnął, a Nibbler zniknął w swoim azylu na antresoli. Antresola to odwet Nibblera za niemożność wskoczenia na kuchenne szafki, na które Zoidberg dostaje się bez kłopotu i przeziaduje tam, ilekroć ma ochotę побыć sam. Nibbler siada wówczas na podłodze i tęsknie patrzy na niedostępne wyżyny, ale już nawet nie próbuje wskakiwać.

Podczas gdy szukaliśmy w sieci informacji o alergiach pokarmowych u kotów, Zoidberg obudził się i, jak gdyby nie było abażura, oblizywał sobie łopatki. A przynajmniej tak mu się zdawało, bo różowy jęzor pozostawiał ślady śliny wewnątrz kołnierza.

Podczas mojego urlopu Małgosia straciła kolejne koty. Z opisu wynikało, że chorowały na kalciwirozę. Sprawa ujawniła się po za-

kończeniu sterylizacji w Ciachu. Łącznie ubyło dziesięć kotów.

Nie zabrakło także dobrych, pocieszających wieści. Zbliżała się wiosna i u mnie wszystko układało się dobrze. Ósemka i Szara się polubiły, mama była zadowolona, a pracy wolontariackiej i tej zarobkowej miałam aż nadto. Nie było powodu do załamывania rąk, zwłaszcza że Zoidberg w końcu oswobodził się sam z kołnierza, słusznie uznawszy, że rana się zagoiła. Gosia w zastępstwie dziesięciu utraconych kotów postarała się o psa – Szelmę.

– Czym tu się w ogóle martwić? Przecież człowiek to też pasożyt – powiedziała spokojnie, z zastanowieniem pani weterynarz w kontekście rozmowy o ekologii, ale też w związku z występowaniem pasożytów u kotów i ich właścicieli. Jako fachowiec wiele na powyższy temat wiedziała. Przyniosłam jej słoik po majonezie zawierający egzemplarz domniemanej glisty. Przybiegłam do kliniki od razu, gdy zauważyłam w kuwecie coś niepokojącego. Mama, która nie brzydzi się niczego na świecie, własnoręcznie zawekowała robala.

– Glista, na pewno – zawyrokowała lekarka.

– Prawda? Bo tu przezroczysta, a tu w środku takie ciemniejsze jelito.

Nie wiem jak ona, ale ja bym chętnie wzięła potwora pod mikroskop i go pokroiła. W innym życiu musiałam być naukowcem.

– No właśnie. – Panią weterynarz najwyraźniej ucieszył mój logiczny tok rozumowania. – Czego to ja nie widziałam. Przynoszo-

no mi, obawiając się, że to robak: gumkę recepturkę, sznurek czy rzemyk, a przecież prawdziwego robaka wcale nie lak trudno rozpoznać.

– Dopiero jak się zobaczy taki egzemplarz, można uwierzyć, że to takie duże.

Potwór miał około pięciu centymetrów.

– A niech pani sobie wyobrazi, że w jelitach kota niejeden laki robak mieszka.

– Okropne! – Wzdragałam się przed wizją mojego kota jako nosiciela robali.

– Oczywiście trzeba odrobaczyć obie kotki. Ile ważą?

Wysłałam z gabinetu z pastylkami, których odpowiednio więcej miałam zaaplikować Szarej. Osia wprawdzie wygląda kuliście, ale nadrabia futrem i waży niewiele.

Zawodzę na całej linii jako kocia pielęgniarzka, bo mimo że nauczyłam się robić zastrzyki, zakrapiać oczy, podawać pigułki, nie mogę wyzbyć się wrażenia, że aplikując leki, sprawiam zwierzęciu niezrozumiały ból, w dodatku wielokrotniony, bo zadawany przez kogoś, komu ono jakoś tam ufa.

Maja miewa taki sam problem, stara się myśleć jednak o chorobie, którą ma wyleczyć, Kamil radzi, żebym łąpała za skórę na karku, Stracciatella pociesza, że zyski przewyższają koszta. Każde ma rację, ale kiedy męczona poczuciem winy budzę się z koszmaru, w którym występuję w roli kata i ofiary jednocześnie, nie jestem

podatna na żadne logiczne argumenty. Przytulam wtedy kota, który łaskawie pozwala wcisnąć mój zasmarkany nos w swoje futerko, bo w przeciwieństwie do mnie dał sobie spokój z rozpamiętywaniem przeszłości.

Koty różnie reagują na aplikowanie leków. O takim, który wpada w panikę, kiedy bierze się do ręki listek z pigułkami lub zdejmuje z szafy transporter, mówi się „nieobsługiwalny”. Na drugim końcu skali znajduje się kot, który poproszony o połknięcie tabletki łyka ją i nie stara się po kryjomu wypluć, czeka, aż mu się zrobi zastrzyk, i nie mruga, kiedy wpuszcza mu się krople do oczu. Przeważnie jednak zwierzaki nie są zachwycone, gdy do zjedzenia dostają kredową pigułę, która w dodatku nie smakuje dobrze.

Mnogość sposobów na podanie lekarstwa świadczy o tym, że wielu ludzi przeżywa podobne katusze jak ja, kiedy ulubieniec krztusi się i robi wszystko, żeby piguły nie połknąć. Przydatną i sprawdzoną metodą jest zamaskowanie leku masłem, polukrowanie go, by zabić gorzki smak, lub wetknięcie w dwuczęściową kapsułkę po innym leku.

Metody te zostały sprawdzone także przeze mnie. Mam szczęście opiekować się kotem, który łyka niepolukrowaną rzeczywistość z taką miną, jakby pałaszował surowy stek z tuńczyka. Szara, bo o niej mowa, znosi zmienne nastroje Ósemki, niestałą pogodę i moje późne powroty z pracy. Znosi wszystko. Potrafi nawet nie zauważać, że przechyliłam laptop pod kątem czterdziestu pięciu stopni, by wresz-

cie sobie poszła. Oto szczęśliwy i bezproblemowy konsument...
wszystkiego.

Najpierw więc łapię Szarą. No to zobaczymy, co z tego będzie. Wpycham jej proszek do pyszczka, ona go łyka („jak dają, to brać”) i jest po sprawie.

Nie miałam pojęcia, jak zachowa się Osia, nigdy jednak bym nie przypuszczała, że aż tak źle. Zaprotestowała już przy próbie unieruchomienia. Wywijiała się, miauczała, nie dawała za wygraną. Utrzymanie jej delikatnego, chudego ciała okazało się bardzo trudne, bo ona używała całej swojej siły, podczas gdy ja musiałam uważać, postępować delikatnie i jednocześnie skutecznie. Brzmi to jak oksymoron, jak „rozpieszczać, ale wychowywać” czy „zdrowy egoizm”. Trudno ćwiczyć jogę z wrywającym się kotem w rękach, choć zarazem jest to doskonały moment na egzamin.

Następny krok polegał na aplikowaniu pigułki oszalałemu ze strachu stworzeniu. Osia zaciskała szczęki, żałośnie przy okazji piszcząc. Raz za razem wypluwała zamaskowane według jednej z wyżej wymienionych metod lekarstwo. Z pigułki zrobiło się pół pigułki, a reszta – zmieszana z masłem i cukrem – oblepiała szyję Osi oraz, miałam nadzieję, wnętrze jej pyszczka. W końcu jakimś cudem, ryzykując urwanie zwierzątku głowy, wrzuciłam proszek gdzie trzeba, przytrzymałam pyszczek i stwierdziłam, że lek nie został zachomikowany, lecz połknięty.

Tak została najgorzej na świecie, żałośnie po amatorsku prze-

prowadzona aplikacja lekarstwa. Pytanie tylko, dlaczego pomimo wielu doświadczeń z niezadowolonymi kotami tym razem postępowałam tak fatalnie? Cała tajemnica tkwiła w emocjach, które obie – ja i kotka – z wielokrotniałyśmy niczym lustra w laserze, powodowane strachem, jej i moim. Osia, walcząc, nie atakowała, nie wysunęła pazurów, nie usiłowała gryźć, próbowała tylko uciec. Gdyby mnie zadrasnęła, być może całe poczucie winy uszłoby przez to zadrapanie i kto wie, czy od tego momentu nie szłoby mi łatwiej.

Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Zaraz po wszystkim Osia, wylizując posklejane futerko, siedziała na moim biurku i czekała, aż do niej podejść. Pozwoliła do siebie gadać, dała się pogłaskać, stanęła na tylnych łapkach, przednie oparła o mnie i trąciła noskiem mój nos. Przeprosiny zostały przyjęte.

Wtedy uświadomiłam sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, na pewno nie będę już samodzielnie podawać Osi lekarstw, bo nie tylko nie pozbędzie się ona starego problemu, ale jeszcze nabawi nowej choroby, a ja zapewne wyląduję na kozetce psychoterapeuty, opowiadając, „co też wtedy czułam”. Po drugie, na pewno nikomu nie oddam mojej zwariowanej, pierzastej Ósemki. I że ona za nic i nikomu nie odda mnie.

Wciąż słyszę, że zwierzęta nie potrafią kochać, choć założę się, że mniej jest na świecie nieudanych związków człowieka z jaminikiem niż człowieka z drugim człowiekiem. Właściwie nie ma znaczenia, czy to, co od zwierząt otrzymuję, nazwę miłością, czy in-

instynktownym odruchem. Wobec wyznania „kocham cię” zdarzyło mi się czuć przytłoczoną, zaniepokojoną, potężną, bardzo zaś rzadko naprawdę kochaną. Za to dzięki kocim powitaniom, prostym gestom właściwym ich gatunkowi, a także niewiarygodnej zdolności wybaczenia (choćby przez Oskę przykrego sposobu podawania leku), czuję się wspaniale, bez względu na to, jakim faktycznym uczuciem darzy mnie zwierzątko. Znajdą się tacy, którzy objaśnią, że zwierzę chętnie rzuciłoby mi się do gardła przy pierwszych oznakach jego głodu lub mojej słabości. Muszę przyznać, że takie zachowania obserwowałam wyłącznie u ludzi, nie u zwierząt. To ludzie mistrzowsko wykorzystują słabość swoich pobratymców nawet nie w celu zaspokojenia głodu, lecz dla poprawienia sobie humoru. Ciekawe, że sprowadzając zachowania kota do impulsów i instynktów, człowiek nie dopuszcza myśli, że i jego uczucia da się opisać terminami czysto biologicznymi. Broni się zajadle, twierdząc, że jest kimś więcej niż organizmem biologicznym, bo ma nieśmiertelną duszę, która składa się z materii nieznaną ziemskiej nauce. A przecież wiara w tę niezemską materię nakazuje nam uwzględnienie istnienia istot wyższych. Lepszych, doskonalszych i mądrzejszych od nas, według których to nasze reakcje dałoby się sprowadzić do instynktów i impulsów.

Tak więc, współzawodnicząc w kwestii samoświadomości i zdolności do uczuć wyższych, moglibyśmy uplasować się gdzieś pomiędzy psami i serafinami, choć w ogóle lepiej dać sobie spokój z

wartościowaniem gatunków.

Powitanie jest moją ulubioną nagrodą za opiekę nad kotami. Złotym pucharem wśród reszty nagród. Kiedy wracam z pracy, jeszcze zanim zamknę drzwi wejściowe, wołam:

– Dzień dobry, mamó! Dzień dobry, koty!

Najpierw wymieniam mamę, czasem kolejność mi się myli. Tego dnia zachowałam się podobnie. Zawołałam, a z dużego pokoju odezwało się mamine: „Cześć, to ty?“, z małego przybiegła Osia, a z kuchni Szara. Wyglądało na to, że wszystkie trzy mieszkanki potrzebowały chwili wytchnienia od siebie nawzajem. Szara podbiegła truchcikiem zwiastującym nadwagę i lekko kołysząc się na boki. Aksamitnym futerkiem delikatnie otarła się o moje nogi. Nigdy nie zdążam zdjąć butów i kurtki przed powitaniem. Nic inaczej było i tym razem, zwłaszcza że w dodatku starałam się pospiesznie zdjąć i odłożyć torbę, kiedy przednie łapy Osi oparły się o moje kolana. Ośka przybiegła, zatrzymała się przy lustrze i rzuciła spojrzenie z gatunku: „Czy aby na pewno to ty?“, a potem, wspinając się na mnie, pokazała, że moja pionowa postawa nie odpowiada jej wyobrażeniu o powitanii. Kucnęłam, ona zaś ulokowała łapy na moich piersiach i usiłowała trącić mnie nosem w twarz. Ponieważ wciąż jeszcze znajdowała się za nisko, miauknęła boleśnie, łypnęła oczami i wskoczywszy tylnymi łapami na moje uda, przednie położyła mi na ramionach i rozanielona zaczęła ocierać się nosem, pyszczkiem i czół-

kiem o moją twarz, ze szczególnym upodobaniem atakując nos. Kiedy uznała, że obsypała mnie wystarczającą porcją kocich pocałunków, zeszła na podłogę i zaczęła tańczyć wkoło mnie, rzucając mi tęskne spojrzenia i pomiaukując. Zmieniła zdanie i znów usiłowała sięgnąć noskiem mojego nosa.

Tak właśnie wita mnie Osia i nie sposób się od niej opędzić. Zresztą rezygnacja z pełnego rytuału powitania ze strony Ósemki to marnotrawstwo gorsze niż chleb w śmietniku, a zarazem afront uczyniony kotce. Mama często wzrusza się, widząc tę scenę. Wzrusza się i gniewa, że nie ją upatrzyła sobie Osia.

W tym czasie Szara zazwyczaj zmierza powoli w stronę kuchni, coraz przeraźliwiej dając do zrozumienia miaukiem, że jest w tym domu głodzona na śmierć. Jej tłuściutkie ciało zadaje kłam złorzeczeniom. Jednak od kociego wzroku śledzącego ruchy człowieka otwierającego lodówkę trudno uciec.

Sprawdziłam więc miski. Ta z wodą prosiła się o dolewkę, w chrupkowych nawet nie prześwitywało dno. Zaraz, zaraz. Podniosłam naczynie do nosa i aż mnie odrzuciło. Co to niby jest? Wydobyłam palcami szary, cuchnący kawałek w kształcie walca, oblepiony chrupkami.

– Wrzucałeś coś do miski? – zawołałam w stronę pokoju mamy. Już wypowiadając te słowa, uświadomiłam sobie, gdzie widziałam ten ochłap: to zawartość mikroskopijnego pojemniczka, w jakich sprzedawane są pasztety z drobiu, a raczej ze zmielonej kury wraz z

klatką, który zbyt długo gościł w naszej lodówce. Dzień wcześniej złocisty kubeczek przyciągnął moją uwagę, a w głowie skryształizowała się myśl, że nadpsuta ohyda może skończyć na kocim talerzu. Niestety, okazałam się zbyt leniwa, a może myśl /a słabo wykrystalizowała, dość, że kubeczek w lodówce już nie było, leżał za to umyty na suszarce, zgodnie z mamy ekologiczną nadgorliwością.

– Eee, nie – skłamała mało przekonująco mama.

– To w misce... Co to jest? – zawołałam już trochę histerycznie, bo pragnęłam tylko tego, żeby mama przyznała się do winy. Jednak ona ani myślała. Postanowiła zamilknąć i tak sobie milczała, podczas gdy ja szłam do niej z miską w ręce. – Co to może być? To coś, co tam samo wpadło – wyzłośliwiałam się już na całego.

Mama nie po raz pierwszy i prawdopodobnie nie po raz setny, lecz tysięczny wysłuchiwała moich pytań, więc milczała. Wiem, że nie chciała źle, wiem też, że pamiętała moje połajanki. Przypuszczam, że pokusa okazała się zbyt wielka.

– Bo ona miauczała... – W końcu mama się przyznała.

No właśnie, tego się spodziewałam! Szara została nakarmiona czymś dla niej szkodliwym, bo sama tego chciała. Przed oczami stały mi spalone ciała nieletnich wielbicieli fast foodów, którym rodzice z różnych, jak sądzę, powodów nie potrafią niczego odmówić.

– Ale ona i tak tego nie je. – Mama broniła się dzielnie. – A poza tym to nie było zepsute, tylko strasznie słone.

– Nie je, ale mogłaby się skusić, zresztą słonego też się kotom nie daje. Sól szkodzi także ludzkim, względnie mocnym nerkom, a dla kotów, które mają nerki wyjątkowo słabe, jest jak trucizna. – Sięgnęłam po argument koronny: – Sól w pożywieniu na pewno przyczyniła się do przedwczesnej śmierci Aury.

Argument był poniżej pasa, a w dodatku nie do końca sensowny, bo Aura umarła w szesnastym roku życia, czyli nie przedwcześnie. Jednak mnie samą zżera poczucie winy związane z jej śmiercią, podświadomie więc spycham z siebie odpowiedzialność i wylewam żółć w pierwszej lepszej sprzeczce.

Kontynuowałam swoją przemowę, przekonując mamę, że kocie miauczenie nad miską jest rodzajem kokieterii. Jednocześnie zastanawiałam się, ile już razy powtarzałam te słowa i co naprawdę powinnam zrobić. Ja gadałam, a mama milczała jak zaklęta. W końcu – naprawdę już wściekła i w poczuciu przegranej – jeszcze raz otworzyłam lodówkę, żeby coś zjeść. Żując coś tylko trochę lepszego od wspomnianego przysmaku, pomyślałam, że mama chętniej bierze pod uwagę opinie innych ludzi. Mogłabym więc poprosić kogoś z moich przyjaciół o pogadankę.

Najpierw jednak postanowiłam zrobić użytek z tego, co sama umiem. Miałam plan: zmontować notatkę, niby-autentyczną relację znalezioną w internecie, o niewiarygodnych mękach kota uraczonego niedozwoloną substancją – mlekiem, kośćmi lub czymś nadpsutym – a także o zawrotnych sumach pozostawionych u weterynarza, wyrzu-

tach sumienia i bezsenności lekkomyślnej właścicielki. Wydrukowałabym ją dla mamy w formacie A4, jako że wszystko, co wydrukowane, liczy się bardziej – zwłaszcza dla starszego pokolenia, które nie rozumie, że pierwszy lepszy gimnazjalista drukuje własne dyslektyczne wypociny tylko dlatego, że nie za bardzo potrafi trzymać długopis, a jego używanie uważa za objaw przedwczesnego starzenia się. Relacja potwierdzona drukiem oraz potokiem moich łez przekonałaby mamę raz na zawsze, że zdarzają się gorsze rzeczy niż pełen wyrzutu wzrok tłusciutkiej Szarej.

Zabierając się do pisania, pomyślałam, że takie opowieści na pewno znalazłabym na dowolnym forum dla kociarzy, ponieważ jednak nie byłam biegłą w poszukiwaniu przegadanych wątków, tekst postanowiłam napisać sama.

Muszę przyznać, że po napisaniu listu nie czułam się dobrze, mimo to wmontowywanie go w rzekomą stronę internetową i wydrukowanie w takiej formie traktowałam trochę jak przekorną zabawę. Kiedy ze smutną miną wręczałam mamie kartkę i obserwowałam jej reakcję, nie było mi już do śmiechu.

Mama na początku nie mogła uwierzyć.

– Koty podwórkowe jedzą o wiele gorsze rzeczy wygrzebane w śmietnikach – powiedziała.

– Ależ mammo, kot miejski a domowy to ogromna różnica. Poza tym, czy uważasz, że dachowce nie chorują? Oczywiście, że chorują, tylko nikt nie ma o tym pojęcia. Jakby nawet ktoś chciał leczyć takie

zwierzę, to nie wie, jak się do tego zabrać.

– Przecież ta twoja fundacja leczy takich kocich kloszardów i nie daje im umrzeć. – Mama najwyraźniej usiłowała zmienić temat.

– Niby tak, ale trafiają tam koty złapane do kastracji, leczenie zaś odbywa się przy okazji. Fundacja Ciach jest jedna, a kocich mieszkańców naszego miasta tysiące. – Westchnęłam, pomyślawszy o typowych kłopotach fundacji, nie chciałam jednak zbaczać z tematu. – Wracając do kota domowego... Myślę, że sytuacja opisana tu, na tej kartce, jest prawdziwa i powinna być dla nas przestrożą. Zresztą sama mówisz: sto razy się uda, a za sto pierwszym już nie.

W ciszy, jaka zapadła po ostatnim zdaniu, mama wpatrywała się w kartkę. W końcu powiedziała:

– Przecież ona chciała dobrze. Gdyby kot był jej obojętny, nie wydałaby fortuny na lekarzy. – Mama odruchowo broniła nieistniejącej autorki listu.

– Mogło w ogóle do tego nie dojść. Jak już chciała dać kotu jakiś przysmak, to przynajmniej świeży. – Oskarżałam niby to anonimową dziewczynę. Tak rzeczywiście łatwiej się rozmawiało.

– Wiesz, Kingusiu, to są przyzwyczajenia z przeszłości. Nic się nie może zmarnować. Przecież ty pamiętasz czasy, kiedy był tylko ocet. Prawda?

Następne dni i posiłki Szarej świadczyły o tym, że mama wzięła sobie zdarzenie do serca. Kotka, owszem, nadal otrzymywała skórki z kielbasy, ale przynajmniej świeże. A potem sfingowany list

poszedł w zapomnienie, bo w starszym pokoleniu jest głęboko zakorzenione nieracjonalne przeświadczenie, jakoby zwierzę samo wiedziało, czy coś mu zaszkodzi, czy nie. I nie ma w tym cienia złej woli. Mama świadomie nigdy nie skrzywdziła swojej ulubienicy.

Rozdział dziesiąty, w którym mój dom tymczasowy się zapchał

W wolontariacie jest tak, że pracując na rzecz określonej fundacji, wciąż poznaje się osoby zajmujące się mniej więcej tym samym, tyle że pod innym szyldem. Łatwiej wśród nich o pomoc i współpracę, gdyż cel mają zbliżony i bynajmniej nie zarobkowy. Stykają się też z trudnościami, bo w świecie schronisk i azylów istnieje ogromne pole do popisu dla ludzi skłonnych do robienia szwindli. Środowisko jest jednak zwarte i właściwie wszyscy znają wszystkich, choćby pośrednio. To tygielek, w którym każdy słyszał o każdym i nawet jeśli nie wszyscy się lubią, działają w jednym, dość jasno określonym celu. Rzecz w tym, że są to niestety działania lokalne. Miała to zmienić inicjatywa fundacji Osa z Krakowa, polegająca na założeniu sieci znaczących prozwierzęcych organizacji w Polsce o nazwie Ogólnopolskie Forum Futrzane. Dzięki konferencjom, szkoleniom i wspólnym działaniom miało ono przyczynić się do rozhermetyzowania wspomnianego tygielka. Propozycja bardzo

mi się spodobała i zapisałam się natychmiast. Ponieważ pierwsze spotkanie zaplanowano dopiero latem, należało jeszcze poczekać i zadowolić się kontaktami lokalnymi,

W tym czasie pojawił się u mnie trzeci kot, Artur. Oczywiście był pręgowany i przejął chwilowo funkcję Potwora spod Łóżka. Zrobił to niemal natychmiast po tym, jak wzięłam go do domu z Felińca, czyli od nieformalnej grupy pomagającej zwierzętom, a właściwie od dwóch zdeterminowanych dziewczyn, których zaangażowanie oraz zdolność do wplątywania się w ryzykowne sytuacje nie pozostały niedostrzeżone. To one pewnego razu zabrały ze schroniska miejskiego ponad czterdzieścioro zarażonych panleukopenią kociąt, z zamiarem uratowania ich od śmierci. Sama wzmianka o tej chorobie, tak zaraźliwej, że przenieść ją można na ubraniu, wywołuje u kociarzy strach. Dla kociąt oznacza wyrok, dla dorosłych osobników w dobrej kondycji – ciężką, chociaż najczęściej uleczalną chorobę. Na tyfus, bo taka jest inna nazwa tej zarazy, uodpornia kota kilkuskładnikowa szczepionka.

Można dyskutować nad zasadnością karkołomnej próby ratowania zarażonych kociąt, które właściwie nie mają szansy przeżycia. Kwestią sporną są przede wszystkim pieniądze, które rozsądniej byłoby przeznaczyć na inny cel. Stanowiska tego z pewnością nie podzieliłyby dwa cudem wydarte śmierci ozdrowieńce.

Kiedy się zastanawiałam, co zrobiłabym w podobnej sytuacji, powróciło niechlubne wspomnienie o czworgu kociąt. Otóż jadąc

kiedyś samochodem, zauważyłam je na jezdni. Poszłam z towarzyszącą mi koleżanką na ich podwórko, gdzie zgarnęłyśmy wszystkie do starego wiadra po cemencie i wrzeszczące wniebogłosy, niewidzące z powodu sklejonych wydzieliną oczek, zawiozłyśmy do kliniki. Dyżurna lekarka, stwierdziwszy zaawansowany koci katar, uznała, że nie ma sensu ich leczyć. Patrzyłam, jak zasypiają po zastrzyku uspokajająco-nasennym, kładzione na boku, jedno za drugim, wyglądające niemal identycznie. Przed decydującym zastrzykiem zostałyśmy wyproszone z gabinetu. Wyszłyśmy, przekonując siebie nawzajem, że postąpiłyśmy, jak należało.

Dziś wiem, że koci katar jest uleczalny nawet u młodych osobników. Z tą wiedzą nie czuję się jednak ani lepiej, ani gorzej niż wówczas, gdy wyszłam z gabinetu. Noszę w sobie odrobinę dumy z osoby, która okazała się na tyle twarda, by działać i decydować, znacznie więcej wstydu z powodu własnej ignorancji, najwięcej zaś przekonania, że każdą decyzję poprzedza czyjaś opinia i w rezultacie niewiele od nas zależy, niewiele da się zrobić i wciąż trzeba zdawać się na kogoś, ufać komuś, mylić się, rozczarowywać i podejmować decyzję na podstawie niepewnych przesłanek.

Artur, nieświadom moich rozważań, sprawdził, jak łóżko wygląda z wierzchu, dokładnie obwąchał ulubiony fotel Ósemki, a potem przeszedł między moimi nogami dyndającymi pod biurkiem, wprawiając mnie w osłupienie. Siebie chyba też zadziwił brawurą, bo patrząc mi w oczy, włączył wsteczny, okręcił się na tylnej łapce i

dał drapak pod łożko.

O przekazaniu Artura z domu tymczasowego do domu tymczasowego nie zdecydowały przepisy nieistniejącej zresztą ustawy o obowiązku przenoszenia z miejsca na miejsce zwierząt domowych, tylko utrata dotychczasowego lokum. Wynajęcie następnego w sytuacji, gdy potencjalne lokatorki deklarowały zamiar wprowadzenia się wraz z kilkunastoma kotami, graniczyło z cudem. Wynajmujący nie bez racji obawiają się, że zwierzęta mogą uszkodzić tapicerkę, urwać karnisz, wieszając się na zasłonie, lub zniszczyć parkiet. Gdyby chodziło jednak o dziecko lub o alkoholika w równie niestandardowy sposób korzystających z wyposażenia mieszkania, właściciele mieliby mniejsze obawy. Być może dlatego, że rodzice postrzegani są przez społeczeństwo jako grupa osób odpowiedzialnych, alkoholicy z kolei nieźle ukrywają swój nałóg, a jeśli już nie dają rady się ukrywać, zwykle brakuje im pieniędzy na wynajem. Nie bez znaczenia jest też fakt, że posiadacze zwierząt często przestają zauważać powyciągane nitki z obicia sofy czy pogryzione dywaniki. Swoją drogą, cwany właściciel mieszkania mógłby podstępnie wymienić starocie, którymi zappełnił wcześniej swoje lokum, na nowe meble, gdyby zażądał rekompensaty za szkody wyrządzone przez stadko kotów.

Tak czy owak, transporter z kocurem wylądował u mnie w domu i został otwarty. Pierwsza podbiegła Szara i kiedy zaczęła się niemal wpychać do środka, Artur prychnięciem okazał niezadowolenie. Następną w kolejce do powitań czekała Osia, lecz choć podcho-

działa znacznie ostrożniej, też nie została przyjęta z otwartymi ramionami. Zdezorientowany przybysz ani myślał wyjść z pojemnika, a tym bardziej witać się z obcymi kotkami, więc choć był sporym konkurkiem, skulił się ze strachu tak, że zajmował zaledwie piątą część transportera. W końcu trzeba było rozmontować kontener, żeby wyjąć osłupiałego kota, który przeniósł się wraz ze swoim pomarańczowym kocykiem pod kanapę. Odtąd musiałam nader ostrożnie ją rozkładać. Na kotki (na mnie zresztą też) reagował buczeniem przypominającym dźwięk wirującego śmigła.

Pierwszej nocy obudziłam się kilka minut po czwartej z wrażeniem, że znajduję się gdzieś indziej. Sprawił to nieznamy w moim domu zapach. Coś koszmarnie śmierdziało. Ponieważ wieczorem z nadmiaru emocji długo nie zasypiałam, to teraz, nad ranem, wcale nie kwapiłam się do wychodzenia spod kołdry i tropienia źródła odoru. Wyobrażenia i nasilenie zapachu podpowiadały mi, że znajduje się ono naprawdę blisko: w kapciu? na poduszce? pod kanapą? Na pewno nie sprawdziłam się w oczach Artura jako opiekunka lub w oczach kotek stałam się zdrajczynią. I oto kara, na jaką w pełni zasługuję, pomyślałam. Zamiast jednak gubić się w półsennych domysłach, wstałam, bo zaczynałam poważnie bać się o swoje zatoki. Włożyłam okulary, zapaliłam światło, rozejrzałam się uważnie i nie znalazłam niczego, czego by tu nie było, gdy kładłam się spać. Niezłeszne źródło smrodu znajdowało się tam, gdzie być powinno, czyli w kuwecie, tyle że nieprzysypane żwirkiem. Może Artur działał

w wielkim pośpiechu i uznał, że przysypanie lepiej sobie darować niż dać się przyłapać w tak krępującej sytuacji? Jak się potem okazało, moje przypuszczenia były słuszne. Artur wpadał do WC i załatwiał swoje sprawy błyskawicznie, przeciwnie niż Szara – ta w toalecie zdecydowanie preferowała towarzystwo, a z kopania w drewnianym żwirku robiła całą ceremonię, której efektem było roznoszenie wiórków po chodniku w przedpokoju. Co z kolei dawało pewność, że znajdują się one w całym domu, a dzięki niedomykającym się drzwiom szafy – także na płaszczu świeżo odebranych z pralni. Nie licząc wizyt w kuwecie, Artur przez kolejne dwa dni dawał znać o swoim istnieniu, jedynie wymiatając do czysta miski i pomiaukując nad ranem. Resztę czasu spędzał za moim biurkiem, siedząc w tym samym miejscu, gdzie wcześniej chowała się Osia. Najwyraźniej jest to najlepsza przestrzeń w domu na kocią kwarantannę przystosowaną. Kilka razy musnęłam jego futro, wpychając dłoń pod deskę stanowiącą plecy biurka, ale kocur się odsuwał. Potrafił się wręcz zmniejszyć, zlać ze ścianą. Nie życzył sobie żadnych kontaktów. Był też bardzo czujny, nie udało mi się przyłapać go na spaniu. Za każdym razem, kiedy cichutko podchodziłam i zaglądałam za biurko, napotykałam jego uważne spojrzenie. Nie zaobserwowałam żadnej zmiany przez kilka dni. Dlatego też bardzo się zdziwiłam pewnego razu podczas rannego rytuału powitania. Koty, podniecone już pierwszym dzwonkiem budzika i wyrwane ze snu, przybiegają na dźwięk mojego głosu i przepychają się na moich kolanach. Przeważ-

nie Ośka zdobywa kolana i wyciera nochal w moją brodę, a Szara, mrużąc, obchodzi mnie wkoło i ociera się o wystające części ciała. Tego dnia wszystko przebiegało tak samo, z tą jednak różnicą, że pojawił się dodatkowy kot. Przestraszyłam się, gdy moja ręka trafiła na jakieś nieznanome futro. Ośka zareagowała na gwałtowne cofnięcie ręki i ofuknęła Artura za zakłócanie porządku, on zaś wydal z siebie serię bolesnych okrzyków (bo tak właśnie brzmią jego miauknięcia – są to nieodmiennie całe ciągi wrzasków niczym szczek rozedrganego ratlera) i uciekł za biurko. Musiał jednak to i owo w odosobnieniu przemyśleć, bo zaraz wrócił i podstawił pod nos mrużącej Ośki swój gigantyczny łeb. Osia niemal czule ugryzła go w ucho i wróciła do ocierania się o mnie nochalkiem. Kocur wytrzeszczył więc oczy i nie mrugając ani przez chwilę, i nie zmieniając położenia łebka, przysunął grzbiet w pobliże mojej ręki. Wyglądał żałośnie na dość cienkich łapach, z dużym tułowiem i gigantyczną głową zwieńczoną monstualnymi radarami. Poza tym miał niedomkniętą paszczę, co – jak się potem okazało – jest jego znakiem firmowym. Ogólnie rzecz biorąc, wyglądał niczym zaskoczony kangur. Jeszcze nigdy nie głaskałam kangura, więc się skusiłam. Futro było gładkie, ale niespecjalnie aksamitne, zanim jednak zastanowiłam się nad tym, płochliwy kangurek uświadomił sobie, w jak strasznym znalazł się zagrożeniu, wrzasnął i schronił się, tym razem na dłużej, w swojej kryjówce.

Od tamtej pory Artur-kangur regularnie pojawiał się przy każ-

dym rytuale związanym czy to z otwieraniem lodówki, czy z moim powrotem z krainy snu lub krainy zarabiania pieniędzy. Powód jego zjawiania się w stolówce był nietrudny do odgadnięcia, żeby jednak uświadomić sobie, czego on naprawdę oczekuje, przychodząc się witać, potrzebowałam znacznie więcej czasu. Obserwowałam, że wprawdzie podbiega prosto do mnie, ale głowę do głaskania podkłada swoim koleżankom, nie mnie. Wprawdzie nigdy już nie protestował, kiedy go dotykałam, ale też nie mruczał. Kiedy natomiast szorstki język Ósemki przeczesywał jego futerko, terkot stawał się tak głośny, że słyszalny w innych pomieszczeniach. Raz, w absolutnym upojeniu, przeszedł sam siebie.

– On chyba chce, żeby go było słycać – zauważyła mama.

Zaskoczyła mnie tą uwagą. Jeszcze nie spotkałam kota, który by nie mruczał. Słyszałam, że powody mruczenia są różne. Do najczęstszych należy potrzeba rozluźnienia. Może rzeczywiście Artur chciał dać dobitny wyraz rozpierającemu go zadowoleniu? Podziękować i okazać wdzięczność, a także zachęcić do kontynuacji? O ile oczywiście takie strategiczne posunięcia można przypisywać kotu...

Zastanawiałam się też, czy pod wpływem Artura kocice zaczną mruzczyć głośniej. Znam przykład odwrotny. Wspomniany już Zoidberg, kot mrużący niemal bezgłośnie, „przeniósł” swój sposób na młodszego Nibblerka, który najpierw mruczał jak zacięta kataryna, a z czasem wyciszył się do granicy słyszalności. Pozostał przy tym ogromnym pieszczochem, który przy każdej okazji rozlewa się na

ludzkich kolanach niczym smolista plama, a każdą przerwę w pieszcotach kwituje przeciągłym spojrzeniem wyrażającym niedowierzanie.

– Myślę, że tak, że słyszalne mruczenie leży jakoś w jego interesie – odpowiedziałam mamie.

– Chce się przypodobać dziewczynom, wiadomo, czaruś taki, facecik w paski.

Mama nie potrafi powstrzymać się od myślenia o kotach w kategoriach ludzkich. Facet kot powinien być szarmancki i Artur najwyraźniej jest szarmancki w sposób słyszalny. Właściwie wszystko można wytłumaczyć takim widzeniem świata: Artur jest powściągliwy, bo to chłopak, Szara jest zrównoważona, bo to dziewczyna, a Osia, no cóż, Osia jest postrzelona jak każda trzpiotka. Oczami wyobraźni widzę koty narysowane przez Beatrix Potter, w schludnych sukienkach i fraczkach, rozumiejące każde nasze słowo, ale niemówiące do nas z powodu nieprzystosowanych krtani. Być może tak widzą zwierzęta ci z nas, którzy się boją, że brak podobieństw między człowiekiem i kotem uniemożliwiłyby komunikację oraz tworzenie relacji. A ja, myśląc jak biolog, widzę, że kota od człowieka nie dzieli znowu tak wiele, jeśli weźmie się pod uwagę zróżnicowanie całego królestwa zwierząt.

Wracając do potrzeb i zamiarów Artura... Otóż drań witał mnie, jak się okazało, z jednego, jedyne go powodu: chciał być bliżej kocic, by uzyskiwać od nich tyle pieszcot i uwagi, ile tylko się da-

ło. Wypatrywał więc sposobnej chwili, gdy były zachwycone i rozczulone, gdy przestępowały z łapy na łapę i tańczyły, mrucząc, wokół mnie. Podsuwał im wówczas pyszczek lub wielkie uszyska do lizania, ocierał się o nie, zmieniając tor ich drogi, czasem niemal je przewracając. Potrzeba kociej czułości była u Artura większa nawet niż potrzeba jedzenia, bo często korzystał z chwili, gdy Szara zajęła się miską, i przywierał do niej swym cielskiem.

Zaczęło mnie to zastanawiać, ale wiedząc, że Artur wychowywał się w sporym stadzie, specjalnie się nie dziwiłam – do czasu, gdy przyłapałam go na ryciu noskiem w futrze na brzuszku Szarej i jednocześnie ugniataniu go łapami. Artur szukał sutka, żeby się do niego przyssać! Ewidentnie! Widok był pyszny, bo Szara – wprawdzie otyła, lecz niezbyt wielka – leżała rozciągnięta na całą długość, z głową zwisającą z parapetu, podczas gdy potężny Artur – w swoim mniemaniu mikroskopijne kociątko – z przymkniętymi powiekami, mrucząc na cały regulator, węszył wtulony pyszczkiem w jej futro. Nie było widać, ale rękę, że się uśmiechał.

Szara jest spokojna, więc takie zagrania w ogóle jej nie irytują, nie niepokoją i nie robią żadnego wrażenia. Niekiedy liźnie od niechcienia futerko Artura, podczas gdy Ośka wylizuje jego łeb tak, jakby był pokryty czymś bardzo smacznym, ale szybko znikającym. Osia nudzi się z takim samym zaangażowaniem, z jakim wcześniej myśla koleżkę, a znudzona gryzie go lub tłucze łapami, wybijając jakiś szalony rytm swoich uczuć. Nigdy przy tym nie wystawia pazurów.

Artur odplaca się, obrzydliwie ją ośliniając, tak że Ośka wygląda czasem jakby zamoczyła pół łebka w misce z wodą. Tak czy owak, po wzajemnych ablucjach koty myją się samodzielnie, bo przecież wiadomo, że jeśli coś ma być wykonane porządnie, trzeba to zrobić osobiście.

Zaintrygowana nieprzystającym do poważnego wieku zachowaniem Artura, zasięgnęłam rady u byłych właścicielki. Okazało się, że Artur nigdy nie wyrósł z maminsynkostwa i miał w stadzie przybraną mamę, przy której – mimo rozmiarów młodej kozy – stawał się kocim noworodkiem. Jego zachowanie spowodowane zostało najprawdopodobniej wczesnym oddzieleniem od prawdziwej matki i pełną akceptacją ze strony przybranej. Jednym słowem, miałam w domu gigantycznego, infantylnego kastrata traktującego z naiwną miłością wszystkie inne koty. Na dobrą sprawę nie mogłam trafić lepiej. Kot, który jest łagodny, niekłopotliwy i pokorny wobec pobratymców, powinien łatwo znaleźć dom.

Kiedy Luiza była u mnie pierwszy raz, zwróciła uwagę na brak równowagi kolorów:

– Ależ tu wszystko jest niebieskie, wszystko! – wykrzyknęła zdumiona. – To dziwne, że nie masz depresji.

Nie zrozumiałam, ba, nie zauważyłam. Depresja od niebieskiego? Też mi coś!

– Co ty opowiadasz? Przecież podłogę, tę okropną, niedającą się domyc podłogę w kuchni, mam pomarańczową.

– Właśnie – Luiza uśmiechnęła się półgębkiem. – Tak to widzisz, a widzisz tak dlatego, że ten niebieski współgra z tobą, a pomarańczowa podłoga stanowi dysonans.

Luiza oczywiście miała rację. Po jej wyjściu przyjrzałam się wszystkim przedmiotom. Czajniczek do herbaty – błękitny, na ścianie plakat z bratkiem, również w odcieniu niebieskim, garnek, lejek, szczoteczka do zębów, kubek trzymany aktualnie w ręce, szalik, torba, łazienkowa glazura, drzwi i lampka nocna. Nie dostrzegałam tych rzeczy. Gryzła mnie żółć cedzaka, ceglastość podłogi i pstrokaczna obrusa. Reszta była jak dobrze dopasowane buty, których wcale nie trzeba zrzucić z ulgą po długim spacerze.

Zastanawiałam się, czy upodobanie do błękitu nie jest kwestią świadomego wyboru. Od dziecka słyszałam peany na temat koloru moich oczu i wielokrotnie powtarzaną opinię, że ich urodę podkreślą turkusowe bluzki. Może więc uznałam, że należy trzymać się takiej gamy, bo ułatwi mi to wszelkie wybory. Mimo zdefiniowania tego praktycznego aspektu sympatii do błękitu, skłonna jestem przypuszczać, że gdybym była barwą, to na pewno jakimś odcieniem niebieskiego. Kiedy usiłuję sobie wmówić, jak bardzo kojący i ciepły jest róż, a radosny żółty czy energetyzujący zielony, zaraz przychodzi mi do głowy, że każdy bibelot w kolorze pomarańczowym byłby „pomarańczowym bibelotem”, podczas gdy niebieski bibelot byłby po prostu mój.

Ktoś, o kim lubiałam myśleć, że jest tak samo niebieski jak ja,

okazał się nieciekawego burego koloru, bo zrobił mi wielką przykrość. Bzy zaczęły rdzewieć, deszcze nie pozwalały na rowerowanie, koty częściej się biły, sprzeczałam się z mamą o byle co, a w pracy posłano mnie na nieciekawą kurs. Nie znajdowałam w sobie chęci do pisania. Wszystko leciało mi z rąk, a przed oczu nie zniknęła szara mgła zawodu. Zanim pozbierałam się na tyle, by dostrzec, że nic się takiego nie stało, chodziłam jak struta.

Koty częściowo denerwował, a częściowo martwił mój nastrój. Przynajmniej na tyle, na ile zmartwione bywają leniwe drapieżniki. Ośka jak czuły sejsmograf dotrzymywała mi kroku w popłakiwaniu i aktach autodestrukcji polegających na sesji z pudełkiem lodów jedzonych na stojąco w otwartych drzwiach lodówki. Szara zapadała się pod ziemię natychmiast, gdy zaczynałam się mazać, a Artur rzucał mi spojrzenia pełne strachu i miauczał przeraźliwie w przedpokoju. Cała trójka dzieliła mój niepokój w sposób niespotykany wśród ludzi. Podczas gdy osoby z mojego otoczenia przeważnie nie dostrzegały w ogóle załamania nastroju, koty natychmiast reagowały.

Przypomniała mi się moja wieloletnia kocia koleżanka – Aura. Miała ona zwyczaj lekko gryźć nadgarstek osoby zdenerwowanej lub płaczącej, niekiedy przy tym mrucząc. Nie mam pojęcia, czemu to robiła. Może irytowały ją dźwięki i usiłowała zmusić człowieka, żeby zaczął się zachowywać, jak na poważnego dwunoga przystało? Mruczeniem kot uspokaja siebie, a może też i otoczenie. W każdym razie po takiej interwencji nie sposób było się nie uśmiechnąć, bo

uwagę przykuwało coś innego, dość osobliwego wprawdzie, ale dającego namacalny dowód, że nie jesteśmy tacy znowu bardzo samotni, przegrani, ignorowani, sfrustrowani i niezrozumiani.

Zwierzę jest przyjacielem na dobre i na złe, nigdy nie dojdzie do wniosku, że jesteś nie taki jak trzeba i że nie można już cię lubić.

Zwierzak to także lekarstwo na depresję. Wprawdzie sporo czasu spędza na spaniu, gapieniu się w okno lub myciu futra, ale nie pozostawia nas obojętnymi ani samo wobec nas obojętne nie jest. Wita w progu, domaga się, niekiedy bezwzględnie, napełnienia miski, żąda spaceru, pieszczot, uwagi. Przy tym wszystkim ma wymagania klarowne, takie, którym każdy sprosta. Nie da się przecenić uczucia spokoju, jakie budzi we mnie dotyk kociego futerka, podłożonego do głaskania łba czy otarcie się o łydkę. Przykrość natomiast sprawia mi widok pyszczka Osi, która co rano staje między mną i drzwiami wyjściowymi, jakby chciała powiedzieć: „Proszę, naprawdę nie musisz iść, zwiń się ze mną w kłębek i pooglądajmy ptaki. Tak jest lepiej”. W ogromnej większości wypadków tak jest lepiej.

Moja melancholia kończyła się wraz z kończącym się majem i choć przekwitający bez majaczył za oknem jasnymi jeszcze kiśćmi brązowiejących kwiatów, nie dało się ignorować wybuchających tu i ówdzie główek peonii.

Czerwiec przywitałam z kotami na parapecie – wpatrzona w ogród.

Rozdział jedenasty, w którym nic nie jest czarne albo białe

Środowisko obrońców zwierząt ma się nieźle. Dawno już przestało być kojarzone wyłącznie z bezbronnymi staruszkami karmiącymi koty. Zwierzolubni rosną w siłę i są widoczni, jak choćby w związku z kampanią wokół ustawy o ochronie zwierząt, gdy uświadamiali społeczeństwu, jak ważne było jej znowelizowanie. Chodziło przy tym nie tylko o uchwalenie zmienionego prawa: walka toczy się dalej o rzetelne egzekwowanie nowych przepisów, gdyż sprawców olbrzymich zaniedbań oraz nadużyć popełnianych wobec ogromnej liczby zwierząt (sięgającej dziesiątek tysięcy) sądy przeważnie chronią, umarzając procesy.

Działalność jednostek i instytucji mających zapewnić bezdomnym zwierzętom ochronę monitoruje specjalne Biuro Kontroli Schronisk. Akcje ratunkowe to nic niezwykłego w środowisku obrońców zwierząt. Niczym szczególnym nie jest też przekonywanie innych, dlaczego zwierzęta trzeba ratować i jak to robić. Niezwykłe jest natomiast to, przed czym się je nieraz ratuje. Wiele interwencji przeprowadza się u tak zwanych zbieraczy i pseudo-hodowców. Równie często podejmowane są działania ratunkowe w schroniskach. Tak, powtórzę to: ratuje się zwierzęta, zabierając je ze schronisk! Zaraz, zaraz, pomyślałby ktoś, że biorąc je do swojego domu, gdzie w przyjaznym otoczeniu dożywają sędziwego wieku, zamiast wege-

tować w nieprzytulnym metalowym kojcu, poprawiamy tylko ich los, a nie, że ratujemy od śmierci, chorób czy głodu. Nic bardziej błędnego. Schroniska wbrew nazwie, nie są miejscami, gdzie porzucone, bezdomne czworonogi znajdują przed czymś schronienie. A przynajmniej nie wszystkie, bo i tu zdarzają się chwalebne wyjątki. Schroniska, w oczach obrońcy zwierząt, to wyrok dla psa czy kota, to nazywane „schronem” siedlisko epidemii, głodu i zaniedbania. Zwierzolubny drży na sam dźwięk słowa „schronisko” i wie, czemu drży, bo doświadczywszy choćby jednej interwencji, na zawsze zapamiętał koszmar, jaki człowiek dla zysku bądź też skutek nieudolności lub choroby psychicznej zafundował braciom mniejszym.

Nigdy nie uczestniczyłam w żadnej interwencji osobiście, przeglądałam tylko zdjęcia i słuchałam relacji. Może dlatego, że sama nie byłam świadkiem bezpośrednim, zachowałam trzeźwiejszy i mniej emocjonalny osąd sytuacji. Otóż uważam, że ratując zwierzę ze schroniska, dajemy mu wielką życiową szansę, zostaje bowiem ocalone nie tylko jego życie, ale też psychika, a dzięki wzmożonej trosce i poświęceniu nowych opiekunów, dobranych spośród najlepszych, stworzenie raz wyrwane śmierci ma zapewnione w nowym domu możliwie najlepsze warunki egzystencji.

Nie sposób tego faktu negować i nie docenić jego znaczenia dla zmiany losu konkretnego Mruczka czy Azora. Z drugiej jednak strony musimy być świadomi, że ratując pojedyncze zwierzęta przegrywamy bitwę. Nieudolnie funkcjonujące przytulisko nadal będzie

bowiem działało, gdyż prawda o nim nie została wystarczająco nagłośniona. Ludzie, którym najbardziej zależy na ujawnieniu nadużyć, w rzeczywistości przyczyniają się do ich kamuflowania, bo dzięki temu, że anonimowe dobre dusze wzięły na siebie ciężar opieki, „nadmiarowi” lokatorzy schroniska zostali rozdani i problem chwilowo zniknął. Co gorsza, przytulisko zyskało opinię wprawdzie podupadającego finansowo, lecz nie z własnej winy, i zaczęło znów zbierać datki i działać równie źle, jak działało wcześniej. Samonapędzający się proceder.

Obrońcy zwierząt, właściwie zasłużenie uważający się za dobrych ludzi, lubią po skończonej akcji chełpić się, kto zrobił dużo, a kto więcej. Nie byłoby nic złego w takim poprawianiu sobie samopoczucia, gdyby nie prowadziło to do kłótni i wzajemnego oczerniania. Wizerunek środowiska traci na tym ogromnie. Po pierwsze – widać jak na dłoni, z jaką łatwością daje się manipulować emocjami dobrych ludzi. Po drugie – jak bardzo ich wrażliwość i poczucie niesprawiedliwości wpływają na brak spójności grupy, przez co powstaje jeszcze dogodniejsze pole manewru dla wykorzystujących ludzką naiwność i państwowe pieniądze schronisk.

Rozdział dwunasty, który nie odpowiada na pytanie, jaki jest kociarz

O pani Czesi najpierw usłyszałam od Leny. Panie poznały się w okolicznościach niezbyt sprzyjających zawarciu znajomości. Lena parkowała, a pani Czesia obrzucała ją potokiem bardzo obraźliwych, choć nie wulgarnych przekleństw. Żeby się uspokoić, Lena nie opuszczała samochodu, tylko siedząc w środku, bębniła palcami w kierownicę i podkręcała radio, żeby nie słyszeć krzyków Czesławy. Kiedy jednak starsza pani szturchnęła błotnik laską, Lena nie wytrzymała i wysiadła. Okazało się, że powodem gorączkowania się pani Czesi był przemieszczający się między samochodami kot.

Lena spokojnie wyjaśniła starszej pani, że ona, owszem, bardzo uważa przy parkowaniu, ale jest gotowa przeprosić i zrekompenzować szkody emocjonalne, na jakie panią Czesię ewentualnie naraziła swoim manewrowaniem. W oku pani Czesławy pojawił się błysk: dzięki swojej długiej karierze karmicielki bezbłędnie rozpoznała drugą kociarę. Odtąd znajomość tych dwóch zupełnie niepasujących do siebie kobiet polega na wymianie drobnych plotek w zamian za kocią karmę, pochodzącą, trzeba to uczciwie przyznać, z zasobów, którymi wzgardzić raczyły koty Leny.

Pewnego czerwcowego popołudnia umówiłam się z Leną pod domem karmicielki. Musiałyśmy nawiązać z nią kontakt, żeby zorientować się, czy wśród karmionych przez nią kotów nie ma jakichś

nowych i niewysterylizowanych. Karmiciele zazwyczaj bez trudu rozpoznają „swoje”, czyli dożywiane przez siebie koty, i są w stanie szybko się zorientować, gdy nowy przybysz jest ciężarną kotką.

Na ławce przystanku, odwrócona tyłem do ulicy, a przodem do straganiku z truskawkami, siedziała starsza kobieta z laską i wskazywała coś niczym nauczycielka geografii. To była pani Czesia.

– Ależ upał – zagaiła.

– Małe po dziesięć, duże po dwanaście – poinformowała sprzedawczyni owoców, bo niedosłyszała, gdyż odległość między przystankiem a kramem wynosiła ładnych parę metrów.

Chodnikiem pomiędzy rozmawiającymi kobietami przesuwali się przechodnie.

– Dzień dobry – powiedziała Lena z szerokim uśmiechem, siadając koło pani Czesi.

– Lenka! – Pani Czesława się rozpromieniła. Uśmiech odjął jej piętnaście lat i trzy kilogramy goryczy. – Jak twoje kicie, niunia? Nie w porę przyszedłeś, bo teraz ci nie pokażę tego huncwota, co się wprowadził. Wczoraj tylko mi śmignął, ale i tak spostrzegłam, że tego łachudry nie znam, bo jest bury z białym, ale to białe u niego ułożone inaczej... – W tym momencie pani Czesia dostrzegła mnie i odsuwając nieco wzorzystą spódnicę z ławki, robiła mi obok siebie miejsce.

– A wie pani, jak myśmy się z Lenką poznały? – pani Czesia nabrała powietrza. – Ona jechała, taka zmęczona, że nie zauważyła

tego burego, co tu przywędrował z bloków. Mogłoby być z tego jakieś nieszczęście, ale ja pokazałam laskę, o tak, i ona się zatrzymała. Aż wyszła z samochodu i ze łzami mi dziękowała za refleks. I jeszcze powiedziała, że jak ja jestem taka wielbicielka kotów, to ona mi przyniesie karmę. – Opowieść pani Czesi zabawnie odbiegała od wersji opowiadanej mi przez Lenę. – Młodzi są ciągle zmęczeni, bo praca i praca, a ja tu karmię i uważam. Jak ktoś nie w złości coś zrobi, krzywdy u mnie nie ma. Bo ja zawsze mówię: wdzięczność. Człowiekowi czasem pomożesz, to tylko wzruszy ramionami, a kot wróci. Młodzi w ogóle tego nie rozumieją, ale Lenka rozumie. Dlatego jej pomagam.

Nabierałam sympatii do pani Czesławy, choć muszę przyznać, że zrobiło mi się smutno. Samotność i wielka płyta wyгнаły ją z mieszkania. Do parku było ze dwa kilometry, laskę miała, ale nogi już nie te, więc siadała przy domu i oglądała codzienność z przystanku jak telewizję, a potem komentowała. Też jak telewizję. Nie tak wyobrażam sobie starość. Rozumiem nutkę goryczy, rozumiem słabość fizyczną, zawodność pamięci, ale liczę na umiejętność przełożenia swoich doświadczeń i przemyśleń na jakiś, choćby błąd, odcień mądrości. Na wyciąganie sensowych wniosków, do których dojść można tylko dzięki dojrzałości. Tymczasem pani Czesia stała się wyraźnie niechętna ludziom, choć ich potrzebująca, zagubiona i nieprzyjemna, a zarazem niemogąca powstrzymać się od rozmowy i niezaskądzenie wielkiej sympatii dla Leny. Może zresztą zasłużenie,

bo Lena pamięta, by wraz z karmą dać pani Czesławie trochę swojego czasu, kiwania głową i parę ciepłych słów. Gdybyż kociarze zajmowali się nie tylko kotami, ale i sobą nawzajem... Grupa urodzonych opiekunów.

Stadko pani Czesi rzeczywiście powiększyło się o nowego „huncwota”, którego złapaniem zajęła się Maja. Zwierzak dał się łatwo schwytać, zabieg i rekonwalescencja przebiegły bez problemu i nic nie wskazywało na to, że najprostszy etap, czyli dostarczenie go z powrotem i wypuszczenie w miejscu bytowania, okaże się najtrudniejsze. Pomagałam Mai w transporcie kocurka. Było późno, więc chciałyśmy go po prostu zostawić i szybko odjechać. Maja skręciła w osiedlową uliczkę i jęknęła. Razem z jękiem przebrzmiał dźwięk silnika.

– Nie przejmuj się, silnik czasem gaśnie – pocieszałam.

Ale Maja mnie nie słuchała i najwyraźniej nie kłopotami z samochodem się martwiła. Pokazywała mi drobną, szybko zbliżającą się postać.

– Karmicielka Terenia! Gorzej nie mogłyśmy trafić!

– Nie mogłyśmy? – zapytałam zdziwiona, bo po obserwowaniu pani Czesi w jej środowisku naturalnym myślałam, że widziałam już wszystko, co w świecie karmicieli można zobaczyć.

– O tak, bo pani Terenia nienawidzi pani Czesi i zaraz nam o tym opowie. A mówić potrafi godzinami.

Falę narzekań słyszałyśmy przez zamknięte drzwi. Na mój widok jednak kobieta zamilkła i skurczyła się w sobie, choć i bez tego była malutka. Stanowiła całkowite przeciwieństwo pani Czesi, której nie sposób było nie zauważyć. Ubrana była w miarę schludnie i całym minimalistycznie. Tam, gdzie u pani Czesi na głowie wznosiła się fryzura przypominająca kalafiora, u pani Tereski panował ład gładko zaczesanego koczka. Lewą dłońią usiłowała zakryć rozprucie na swetrze, w drugiej trzymała styropianowe tacki.

Maja podniesionym głosem oznajmiła, że jestem jej koleżanką i też łapię.

– A karmi? – wrzasnęła, przynajmniej w moim odczuciu, pani Teresa.

– Ła-pie! – wyskandowała Maja.

– To nie wystarczy – oznajmiła urażonym tonem pani Teresa i jeszcze mocniej zwinęła sweter. Rozchmurzyła się jednak szybko, gdy zobaczyła kocura.

– O, tego kota to ja znam. Wiecie, że tamta omal go nie otrula?

– Kto? – wyrwało mi się, zanim zauważyłam, że Maja daje rozpaczliwe znaki, jakby podrzynała sobie gardło.

– A tamta, tamta.

Już wiedziałam: Czesia. Czyli teraz się zacznie. W przeciwieństwie do Mai, chciałam poznać wszystkie straszliwe szczegóły, więc podjudziłam karmicielkę:

– To straszne! – prawie krzyknęłam w obawie, że mnie starsza pani nie usłyszy.

– A straszne, straszne, ale to jeszcze nic! Widzi pani, co ona tu położyła tym kotom? To jest makaron z mięsem. O, parę kawalczków, żeby zwabić. A kot musi mieć mięso z makaronem.

– Może nie miała na mięso – bąknęłam, jak mi się wydawało, cichutko.

– Jak nie miała?! Co za bzdury! Dwadzieścia puszek dostała z gminy. A taka jedna to jej jeszcze mięso przynosi, jakieś resztki, tfu! Ona to zjada, a puszki sprzedaje. Potem wszystkim opowiada, że karmi koty, a sama nie ma z czego żyć, że jej ciężko. A co ja mam powiedzieć?! Przecież ja dostałam dziesięć puszek, tylko dziesięć, a jestem starsza i mam zaćmę!

– Skoro panie dzielicie się karmieniem na tym samym terenie, to chyba wszystko jedno, która ma dziesięć, a która dwadzieścia puszek, bo i tak wszystko idzie dla tych samych kotów – stwierdziłam nieśmiało, zgodnie z własną logiką.

– Ale ja tu nie mieszkam – oznajmiła z nutą zdziwienia starszuszka. – Przyjeżdżam tylko, żeby sprawdzić.

– Co sprawdzić?

– Takie tam... – machnęła ręką pani Tereska. – Ludzie są różni, czasem tacki wyrzucają, czasem mają pretensje.

– I jak sobie pani radzi z pretensjami? – dopytywałam.

– U mnie na osiedlu to już wiedzą, że dla kotów miejsce jest

wśród ludzi, i się nie awanturują.

– To podziwiam, że tak ładnie to pani sąsiadom wytłumaczyła – pochwaliłam karmicielkę, ale jej mina pozostała raczej kwaśna.

– Tylko że teraz to już nie ma nawet o czym pogadać, nikt nie zaczepia, nie można się trochę pokłócić. – Twarz staruszki nieco się rozpogodziła, widocznie na wspomnienie skutecznie przeprowadzonej agitacji na rzecz kotów miejskich.

– Chodź! – Majka pociągnęła mnie za rękaw, bo w trakcie mojej rozmowy z panią Tereską zdążyła wyciągnąć transporter i wypuścić kota, który długim susem czmychnął w mrok.

– Męczące, co? – zapytała już w samochodzie.

– Raczej ciekawe – stwierdziłam, trochę rozbawiona rywalizacją o liczbę puszek.

– Może za pierwszym razem. Poza tym, jak się pewnie domyślasz, to samo mówi o pani Tereni pani Czesia, a o pani Czesi pan Wiesio. I tak bez końca. Lepiej nie słuchać i mieć nadzieję, że przynajmniej nikt nikogo nie otruje.

Słyszałam, że można się zapisać na kursy niezależności i wiary w siebie. Proponuję w ramach ćwiczeń włożyć dres, wytarzać się w kociej sierści, nie malować się i trochę ubrudzić. Jeśli czujesz się świetnie w garniturze jak spod igły lub w szpilkach, nie jesteś nawet w połowie drogi. Moja porada jest wstępem. Na pełne szkolenie trzeba się udać do Kasi – szeryfa w Kocim Domu.

Obywatelstwo w Kocim Domu uzyskuje się łatwo, jeśli ma się cztery łapy – nieważne, czy zakończone miękką kocią gumeczką czy kopytem.

Miałam wrażenie, że koza opiera się o mnie całym ciężarem. Kasia złapała ją za róg i odciągnęła.

– Milutka, prawda?

– Nie wiem, ja tam się bałam.

Było czego. Zwierzak, którego imię powinno brzmieć Avesatan, starał się ze mną zaprzyjaźnić. Ewakuowałam się za ogrodzenie, skąd patrzyłam, jak Kasia sprawnie radzi sobie z czułościami kóz. Podeszłam do ścieżki. Tam dopadł mnie wypchany po brzegi sobą samym mops. Pomacałam pękate boczki, chciałam sprawdzić, czy ta tłustota jest prawdziwa.

– Hej, on jest naprawdę kłocuş.

– No. – Kasia była zadowolona, mops też, bo liznął kilkakrotnie powietrze przed moim nosem (sam nos znajdował się za daleko). Sapnął, przewrócił się na plecy i czekał, łypiąc okrągłymi ślepiami. Pogłaskałam zamszowy brzuszek. Pies machnął bezwiednie tylną łapką. Coś mokrego dotknęło mojej kostki. Pekinczyk oferował mi ośliniony szczątek gumowej kości. Sięgnęłam ręką, on zaś sięgnął pyskiem i warknął.

– No wiesz, przynosisz, żeby się droczyć.

– A niby po co innego – śmiała się Kasia. – Wiedzą, że trzeba

wykorzystać zainteresowanie.

Mops odwrócił się i położył mi łeb na kolanie, momentalnie je zaśliniając.

– Brakuje mi rąk – powiedziałam rozpaczliwie.

– A to dopiero wstęp!

Rzeczywiście, to był początek, przedsmak odwiedzin w azylu pod Tarczynem. Jechałyśmy tam z panią Anią na wycucie. Azyl został tak zlokalizowany, żeby nikomu nie przeszkadzał. Blisko lasu, ale i blisko torów. Chcąc trafić, należało znać drogę. Jest ogród, są kozy, kilka psów. Żadnego kota w Kocim Domu? Okazało się jednak, że było ich blisko dwie setki. Przemieszczały się pomiędzy wybiegiem a posłaniem, zaglądały do kuchni, spały wtulone w „plaskate” psy. „Plaskacizna” to cecha, której Kasia nie może się oprzeć bez względu na to, czy dotyczy kota, psa czy kozy (gdyby oczywiście takie kozy istniały). Przyjechałam tu z myślą o odwiedzeniu Angeliny i Marusi – kotek, od których zaczęła się moja przygoda z wolontariatem. Obie zoperowane i w niezłej kondycji czekały na mnie na tarasie. Obawiałam się, że doznane krzywdy zmieniły je w samotne wylęknione stworzenia. Tymczasem okazały zainteresowanie i zadowolone z pojawienia się nowych ludzi. Długo je głaskałam i tuliłam, chowając twarz w ich futra. To ja potrzebowałam spotkania z nimi, a nie one ze mną. To ja musiałam się upewnić, że wszystko, co robiłam – sama bądź z fundacją Ciach – w celu poprawienia bytu tych stworzeń, miało sens i wartość.

Angelina i Marusia wcale nie należały do najnędniejszych azylantek w Kocim Domu. Ich problemy to pestka w porównaniu z sytuacją kotów sparaliżowanych, które swoje bezwładne nogi ciągną siłą przednich łap.

– Trzeba je wyciskać – objaśniała Kasia.

– To znaczy? – dopytywałam zdziwiona.

– To znaczy, że mają problemy z samodzielnym wypróżnieniem się.

Kot wyglądający jak ciągnięta na sznurku maskotka szmyrgnął pod łóżko.

– Za to z przemieszczaniem się nie mają, jak widzę, większych problemów.

Mogłoby się zdawać, że wszyscy mieszkańcy azylu żyją w stresie i napięciu, tyle tu nieszczęść, a jeszcze przybył nowy pies, którego Kasia znalazła przywiązanego w lesie, i nowy kot w stanie skrajnego wycieńczenia. A przecież nie widziało się łez, tylko wesoły uśmiech Kasi, jej dumę z uratowanych zwierząt, z wyhodowanego we własnym ogródku kalafiora i ogólne zadowolenie ze spotkania. Napomknęłam coś o bohaterstwie.

– Żadne tam bohaterstwo – stwierdziła Kasia. – Kiedyś zapytała mnie znajoma, która też prowadziła azyl: „Ile ty masz już kotów?”. No to ja, że koło półtorej setki. A ona: „A ja dwieście. To ja jestem bohaterka”. A ja nie jestem bohaterką, na szczęście.

Zrobiłam kotom parę setek zdjęć. Idąc do każdego domu tym-

czasowego, azylu czy schroniska, koniecznie trzeba mieć przy sobie aparat. Nie po to, by dokumentować krzywdę. Chodzi o dobre zdjęcia zwane adopcyjnymi. Dzięki nim koty zyskują większą szansę na znalezienie domu, bo ludzie są wzrokowcami.

Później, już podczas obrabiania zdjęć w domu, zauważyłam, że z pyska Ósemki, która zwykle przesiaduje przy mnie, gdy pracuję, wystaje czarny kabelek. Znowu słuchawki! Osia najbardziej lubi obgryzać moje słuchawki i końcówkę pióra. Są to, dziwnym trafem, rzeczy szczególnie dla mnie ważne. Wręcz zależy mi nie tylko na ich dobrym funkcjonowaniu, ale i estetyce. Tych przedmiotów używam najczęściej, niemal tak często jak łóżka, biurka i komputera. Ponieważ jednak obgryzanie łóżka, biurka i komputera jest pracochłonne oraz mało efektywne, przypuszczam, że Osia gryzie małe i ważne przedmioty, leżąc na klawiaturze, żeby nie zapomniała przykazania: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”.

Rzuciłam za siebie kocią piłeczkę. Natychmiast popędził za nią Artur, Szara nawet nie podniosła głowy, kontynuując bez przeszkód całodniową drzemkę, Osia zaś popatrzyła na mnie z miną: „Myślałaś, że się na to nabiorę?”. Wypluła jednak słuchawkę i ułożyła się z łebkiem na mojej ręce.

Po drobnym retuszu posłałam Kasi kilka zdjęć jej kotów. Program pocztowy zaanonsował nowego mejla – rozgadana Stracciatella przysłała coś z dużym załącznikiem. Czyżby nowe zdjęcia

synka? Okazało się, że nie. Że skan gazety. Napisała tylko: „Zajrzyj na forum – gorąco”.

Krystyna Sienkiewicz, jak doniósł pewien tabloid, narysowała projekt pomnika kociary, który to szkic chciałyby widzieć odlany w spiżu. Zerknęłam na ziarnisty skan strzępu gazety drukowanej na czymś, co z grubsza przypominało uprasowany papier toaletowy. Pomimo kiepskiej jakości udało mi się bez trudu odczytać zarówno szkic, jak i przesłanie aktorki. Projekt przedstawiał starszą panią w płaszczu, z kotami u stóp. Koty wdzięczne, babcia dobroduszna, choć nieco rozmemłana. Całość – urocza i kleiście słodka. Przesłanie oczywiste: zauważcie te osoby, które ze starego portfela wysuplują grosik na koty. Dostrzeżcie dwie grupy, które nie będąc adresatami reklam i klientami banków, właściwie nie istnieją z uwagi na swą nieistotność. Koty i dbające o nie emerytki. Grupy żyte, związane ekonomicznie i terytorialnie, oddające sobie wzajemnie drobne przysługi. Zresztą nie takie drobne, bo celowość egzystencji, ciepło, jedzenie i przywiązanie to, przynajmniej dla mnie, istotne sprawy.

Tak sobie podsumowałam w myślach ów projekt i już miałam odpisać Stracciatelli, kiedy przypomniało mi się, że powinnam zajrzeć na forum. Letnio było, a nie gorąco. Zamiast się zdziwić, zaśmiałam się w duchu, bo uczestnicy dawali wyraz poczuciu frustrującej niesprawiedliwości, jaką wzbudził projekt Sienkiewicz. „Przecież ja jestem młoda, do jasnej Anielci, no!” – napisała Zoja-Izoja, „A ja wcale nie mam płaszcza! Płaszcze w tym sezonie nie-

modne” – dodała Greciusza. „A ja jestem facetem” – skomentował FillippoNeko. W końcu wspólnie ustalono, że babcia może zostać, ale trzeba dodać dziewczynę w modnej kurtce, z transporterem, oraz stojącego obok mężczyznę z podbierakiem – scena powinna ukazywać całą trójkę w trakcie wyłapywania dzikich kotów do kastracji. Kotów z rozanielonymi minami na pomniku by nie było.

No cóż, trzeba pokazywać stan rzeczy sprawiedliwie, a zarazem pedagogicznie. Edukacyjną wymowę miałyby też odejście od fałszywego i krzywdzącego wizerunku kociary, której prototyp kiedyś istniał, a dziś funkcjonuje jako utrwalony stereotyp. I nie ma sensu temu zaprzeczać. Często kochamy ikony za to, że są, z całym bagażem ich niedoskonałości, a czasem właśnie ze względu na wady.

Rozdział trzynasty, w którym „prozwierzęcość” znaczy więcej niż doraźna pomoc

Lipiec zaczął się deszczowo i tego trzymał się uparcie przez dwa tygodnie. Urlopowicze wpadali w depresję, koty sypiały nie po szesnaście, lecz po dwadzieścia godzin na dobę, w książkach skręcały się brzegi kartek, ubrania po praniu nie schły, a z pudeł opisanych „wiosna/jesień” wydobyte zostały kalosze. W zasadzie nikt już nie wiedział, jaka jest pora roku i dnia, więc naukowcy badający zegar biologiczny otrzymali serię wykluczających się wyników.

W jeden z takich dni, ciągnących się błotnistą strużką i mylących ze sobą, odbyło się pierwsze spotkanie uczestników Ogólnopolskiego Forum Futrzanego. OFF to sieć organizująca spotkania i szkolenia członków organizacji prozwierzęcych. Skupia nie tylko przedstawicieli schronisk i azylów, ale różnych organizacji dążących do poprawy jakości życia zwierząt. Szłam na Forum z chęcią, choć deszcz wymywał ze mnie skutecznie dobry humor. Cieszyłam się na spotkanie z podobnymi sobie i ciekawiło mnie, co z tego wyniknie. Przede wszystkim byłam zadowolona, że my, zwierzolubni, potrafimy się zorganizować, że wyewoluowaliśmy z ukradkowych karmicieli w waciakach w osoby uczestniczące w szkoleniach, poważne, kompetentne, kreatywne i takie, z którymi trzeba się liczyć.

Spotkanie podnosiło na duchu, bo nie zmieniło się we wspólne biadolenie. Wiadomo: pomagający zwierzętom wszędzie napotykJają podobne problemy. Nieustannie stają przed koniecznością obalania mitów, na przykład takich, że suczka musi przynajmniej raz w życiu urodzić szczeniaki albo że obrońca zwierząt to ekstremista, z którym trudno prowadzić dialog, lub też ktoś nic nieznaczący, niepotrafiący bronić swoich racji, frajer. Tymczasem obrońca zwierząt na etacie czy wolontariusz jest zwyczajnym, mniej lub bardziej kompetentnym pracownikiem organizacji, dla której działa.

Na Forum zetknęłam się też z kwestią weganizmu, czyli skrajnego wegetarianizmu. Jedna z warsztatowych grup omawiała również problem tak zwanego szowinizmu gatunkowego. Tych, którym

szowinizm kojarzy się automatycznie z panami w typie maczo, od razu upomnę, że jest to zaledwie jedna spośród bogatego wachlarza postaw szowinistycznych. Z szowinizmem zwierzęcy mamy do czynienia wówczas, gdy ktoś z wielkim oddaniem rano ratuje psy, a wieczorem raczy się szynką. Szowinista gatunkowy nie dostrzega w tym niekonsekwencji, że psa traktuje jak niemal równego sobie przyjaciela, a świnie jak źródło białka.

O weganizmie wiedziałam tyle, co nic. Sądziłam, że jest to odżywianie się pokarmem wyłącznie pochodzenia roślinnego. Nie wiedziałam natomiast, że chodzi o całą ideologię, bo przecież rzecz nie w samym odżywianiu, lecz w podejściu do zwierząt w ogóle. Weganin jest niczym abolicjonista. Opowiada się za zaprzestaniem wykorzystywania zwierząt przez człowieka. Przy okazji podkreśla, że człowiek też jest zwierzęciem, więc wyzwalamie braci mniejszych nie powinno odbywać się jego kosztem.

Odkryłam, że nietrudno mi sympatyzować z abolicjonizmem. Tak jak smakuja mi wegańskie przystawki serwowane na Forum, tak też przemawiają do mnie abolicjonistyczne idee. Łatwo przychodzi mi również spojrzeć na wegan z sympatią i zrozumieniem. Mogę sobie obejrzeć pod lupą ich światopogląd, który wydaje się dojrzały i spójny, choć bardzo trudny do urzeczywistnienia, mogę nawet uznać go za słuszny, lecz nigdy nie stosować we własnym życiu. Weganinowi z kolei zapewne nie jest już tak łatwo akceptować mój – jego zdaniem szkodliwy – światopogląd. Weganin z pewnością przykla-

śnie udzielaniu czworonożnym pupilom doraźnej pomocy, ale nie temu, że cierpienia zwierząt wystarczy minimalizować, zamiast je zupełnie znieść.

W kontaktach z wegetarianami i weganami spoza środowiska OFF-u nie dostrzegam problemów. Owszem, Stracciatella częściej mnie ciągle wegańskimi potrawami, Rafał podsuwa książki kucharskie, ale ich propaganda jest dyskretna, pokazująca przed wszystkim pozytywne strony ich życia, a nie negatywne moje.

Rozdział czternasty, w którym Ośka położyła uszy po sobie

Aura chorowała kiedyś na zapalenie uszu. Choroba parokrotnie wracała. Pomimo że kotka została w końcu definitywnie wyleczona, już do końca życia nie lubiła, by dotykano jej uszu. Dlatego czasami, gdy przymocowywała się do moich kolan akurat wtedy, kiedy kończyłam śniadanie i zaraz miałam wychodzić do pracy, głaskałam jej łebek, lekko zahaczając o ucho. Wiem, nie było to szlachetne... Przypuszczam jednak, że kocica nie cierpiała, tylko odczuwała irytację, więc czym prędzej ewakuowała się z moich kolan.

Po takich doświadczeniach wiedziałam od razu, co się święci, gdy sylwetka Ośki rezydującej jak zwykle na moim biurku przestała być symetryczna. Symetrię burzyło ucho, które przywarło do łebka i

przypominało złożony dach kabrioletu, a lewe oko było przymrużone. Spróbowałam dotknąć uszka, ale zanim moje palce trafiły na włochaty płatek, Ośka pisnęła i odsunęła głowę. Potem dla potwierdzenia moich domniemań podrapała ucho tylną łapką, wydając przy tym serię bolesnych miauknięć brzmiących jak szloch. Seria jęków Osi przewierciła boleśnie również moje uszy, więc szybko napisałam do Kamila, że potrzebuję podwózki. Popołudnie było wprawdzie lipcowe, ale deszczowe. Prośba mogła wydawać się trochę niestosowna, bo mieszkam raptem czterysta pięćdziesiąt metrów od kliniki, jednakże transportowanie wrzeszczącego i zbolałego kota w strugach wody przekraczało moje siły.

Kliniki weterynaryjnej, do której chodzę z kotami, nie wybrałam spośród wielu innych po przejrzaniu setek opinii na forach i po przeczytaniu dziesiątków artykułów. Za jej niepodważalne atuty uznałam: kotkę rezydentkę, lekarzkę, którą bardzo lubi Kamil, i stosunkowo małą odległość od domu. Rezydentka nazywa się Szprotka, a pani weterynarz wygląda jak Lisa Cuddy z serialu *Doktor House*. Szprotka przypomina mi Szarą, ale nie z wyglądu, lecz ze sposobu bycia – spokojnego. Przez klinikę przetaczają się tłumy zwierzaków, a Szprotka wie swoje, nie boi się, zachowuje dystans, chociaż czasem też pręży grzbiet pod dotykiem obcych wprawdzie, ale zwierzoлюбых rąk. Od niedawna urzęduje tam kotek Melon, bynajmniej nie jasny i krągły, lecz czarny i smukły. Meluś, w przeciwieństwie do swojej rozsądnej koleżanki, lubi od czasu do czasu zabawić personel

i pacjentów ucieczką na ulicę. Zastanowiło mnie, czemu rezydenci, stykając się z tyloma chorymi zwierzętami, sami nie chorują. Pani weterynarz wyjaśniła mi, że – po pierwsze – szczepionki faktycznie działają, a po drugie – że koty się uodporniły przez kontakt z zarazkami.

W poczekalni stoją doniczki z kwiatami. Jedna miała założony ochronny kołnierz.

– Widocznie kwiatek wyjada sobie ziemię – żartowaliśmy – albo pojawiły się krety.

Koty obgryzają kwiatki, lubią też kopać w ziemi, więc dla bezpieczeństwa roślinki „abażur” tym razem wyłądował na innej szyi niż kocia.

W poczekalni znajduje się wmontowana w podłogę waga, sprytnie zamaskowana kafelkami, żeby zwierzęta nie miały wrażenia, że na coś wchodzi.

– Tylko trzy i pół? – przeraziłam się. – I to razem z pudełkiem? Przecież samo zapalenie waży z pół kilograma! – denerwowałam się.

– To jest po prostu mała kotka. Przynajmniej nie musisz trzymać jej na diecie i kombinować z karmą.

Byłam bardzo zdenerwowana, tak bardzo, że stawiając transporter z Osią na stole w gabinecie, siłą woli i mięśni twarzy starałam się przerobić wyraz rozpaczony na ładny uśmiech. Chyba mi się nie udało, bo pani weterynarz też zrobiła smutną minę.

Przynajmy szczerze, zapalenie ucha nie należy do strasznych

chorób. W miarę łatwo daje się leczyć, a dobre lekarstwa likwidują od razu ból, świerzbowca, bakterie i grzyby. Iluż wariatów, którzy płaczą na samą myśl o niewielkim bodaj dyskomforcie swojego zwierzaka, musi znosić weterynarz! Ileż tłumaczeń, że owszem, kontek jest teraz zdenerwowany, że to normalne, że minie, że lek zadziała, że wszyscy przeżyjemy i jeszcze się czegoś nauczymy.

Kamil trzymał Osię, lekarka czyściła jej uszy, a ja się trzęsłam. Waciki wyglądały jak ubłocone. Wszystko wskazywało na to, że kotka długo ukrywała chorobę i że Szara oraz Artur prawdopodobnie też są zainfekowani. Miałam zrobić w domu test za pomocą zwykłych patyczków z watką. Pani weterynarz tłumaczyła mi każdy swój ruch i każdą reakcję Ósemki. Między innymi jej nerwowe sapanie, które będąc wprawdzie tylko objawem stresu, może okazać się bardzo niebezpieczne dla zwierzęcia chorego na serce.

Moja pupilka przeżyła jednak wszystkie zabiegi, sapki i transportowanie, a po powrocie do domu tylko na chwilę zaszyła się w kącie. W Ósemce wspaniałe jest ekspresowe tempo wybaczenia, choć podobno koty skłonne są do chowania urazy i pamiętania o ludzkich przewinieniach. Można by pomyśleć, że ponieważ zapuszczony lek przyniósł jej ulgę, wybaczyła. Nie sądzę jednak, by kot kojarzył ze sobą tak odległe fakty.

Podczas gdy wspaniałomyślna Ośka odsypiała stres na parapetcie, ja z patyczkiem w dłoni szykowałam się do przeprawy z Szarą. Tymczasem ku mojemu zaskoczeniu Szarcia z niezmiennym wyra-

zem pyszczka i pozycją ciała gapiała się na mnie, siedząc przy misce, podczas gdy ja dłubałam jej w uchu pałeczką. Najpierw w jednym, potem w drugim. Żadne z nich nie było czyste. Może nie wydłubałam tak żyznego czarnoziem jak z uszu Osi, ale efekt przeraziłby każdego laryngologa.

Z badaniem Artura nie poszło już tak gładko, bo wprawdzie wrywał się umiarkowanie, ale ponieważ jest bardzo silny, udało mi się zbadać tylko jedno ucho. Bardzo brudne ucho, niestety.

Czyli lekarstwo dla wszystkich. Zapowiadał się ciężki tydzień.

Każdy z kotów reagował zupełnie inaczej na tubkę z lekiem, w dodatku inaczej za każdym razem. W skrajnych sytuacjach musiałam radzić sobie z wijącą się Oską, uparcie trzęsącą głową Szarą i wrywającym się z nadspodziewanie wielką siłą Arturem. Na drugim biegunie były przypadki, kiedy udawało mi się podać lek podczas rytuału wylizywania futerek i choć żaden z kotów nie był szczególnie zadowolony z wepchniętej w ucho gumowej tutki, to czasem nawet nie przerywały mruczenia i wzajemnej toalety. Skontrolować postępy miała lekarka pod koniec tygodnia.

Szara spokojnie dała się spakować, ale spakowana nie przestawała miauczeć. Artur wpadł w panikę: miauczał, drapał i gryzł, aż w końcu zagoniony w kozi róg sam postanowił schronić się w transporterze. Po zatrzaśnięciu drzwiczek zamilkł i zachowywał się spokojnie.

Czasem w zabawie koty gryzą. Przekonałam się o tym, będąc

dzieckiem. Ze zdziwieniem patrzyłam na wklęsłe ślady na przedramieniu. Wtedy byłam przekonana, że ugryzienie oznacza odgryzienie, więc nieskuteczność kota mnie zdumiewała. Dlatego zaraz obok śladu kocich zębów odcisnęłam ślad własnych: równie nietrwały i fascynujący. Chciałam pochwalić się białymi szlaczkami na skórze, zanim jednak dobiegłam do mamy, wszystkie zniknęły.

Koci pyszczek wygląda niemal groteskowo. Jak można być tak dziwnie wyposażonym? Drobne siekacze zasnęły na starcie, potworne kły i trzonowce przypominają górski pejzaż. Całość to istna Czarna Brama Mordoru. Do czego przydatna? Do rozszarpywania.

– Plaster, daj mi plaster! – wściekał się Kamil, wykrwawiając się do zlewu, podczas gdy ja zamykałam transporter. Nie dość, że został ranny, ale jeszcze nie on dopadł stwora. Plastikowa kratka w kontenerku wygięła się kilka razy znacząco.

– Mamo! – potrzebowałam drugiej pary niepociętych rąk. – Potrzymaj kratkę, zaraz wrócę.

Podając Kamilowi opatrunek, nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

– To przecież draśnięcie... Skąd tyle krwi? Szponkiem?

– Żeby to! Kiełkiem. Dosłownie przedziurkował mi palec. Kamil trzymał kierownicę, pozostawiając palec wskazujący wyprostowany. Oczywiście znów padało, koty walczyły, lepiej więc było się przejechać. Pół kilometra.

W poczekalni siedziała kobieta ze starym, sympatycznym

psem. Był spokojny, a pani uprzejma.

– On by nigdy kota nie ruszył. – Przyglądała się spod czarnej grzywki wrzeszczącemu pakunkowi z Szarą. – A już na pewno nie przy mnie. Może by ją wypuścić?

– Lepiej nie. Nie mam pojęcia, co zrobi. Znaczący mój kot.

– Koty, proszę pani, to miłe zwierzęta. U mnie w bloku jest specjalne pomieszczenie w piwnicy. Tak postanowiła wspólnota. Widzi pani, wspólnota! – kobieta nie kryła triumfu.

Ja też bym nie kryła.

– Gratuluję. Tak powinno być wszędzie. Jak się pani udało ludzi przekonać?

– Nawet nie mnie. Ludzie to sami rozumieją. A w mrówkowcach bywają gryzonie, bo są zsypy... – dodała, wprowadzając psiego staruszka do gabinetu. – U nas jest miejsce dla ludzi i dla zwierząt.

Kobieta lała miód na moje uszy.

– Słyszałeś? – powiedziała podekscytowana do Kamila. – No, słyszałeś? Przecież to wzorowy dom. Ciach powinien przykleić obok listy lokatorów plakat, że tu mieszkają dobrzy ludzie.

– Już nie ma list lokatorów.

– To może coś w rodzaju Orderu Uśmiechu – zastanowiłam się. – Order Pomruku?

Z badania Szarej i Artura wynikało, że wcale nie mieli lub pozbyli się całkowicie choroby uszu. Bardzo chciałam zerknąć przez świecącą lupkę. Obraz rozmywał się na brzegach, trochę jak pod

mikroskopem. Dostrzegłam jednak czystą różową skórę i rzadkie brązowe plamki.

– To normalne – uspokoiła lekarka. – Zawsze pojawia się jakaś wydzielina, a ta nie jest chorobowa.

Waciki wracały z uszu całej trójki czyścusienniekie. Pozostało tylko poprosić o ocenę figury Szarej. Mamy do czynienia z niebezpiecznie dużą czy też małą nadwagą?

– Faktycznie jest tłuściutka. Byłoby dobrze, żeby przeszła na dietę, ale ze względu na Osię to chyba niemożliwe i nie polecałabym – uspokoiła pani weterynarz. – Taka waga nie stanowi zagrożenia, byleby kotka już więcej nie tyła.

Osiowe trzy kilogramy (tak, trzy, bo podczas kontroli okazało się, że pół kilograma gdzieś zniknęło, pewnie w stresie i chorobie) kontra pięć kilo aksamitnej Szarej. Co gorsze? Gdyby nie wilczy apetyt Artura, wystarczyłoby paść Oskę mokrą karmą, którą zazwyczaj lubiła, a wobec której Szara pozostawała doskonale obojętna. Trzeba będzie karmić Osię tak, żeby Artur się nie dowiedział. Intryga na dworze! Błazen spiskuje z katem!

– Panie Kamilu, niech pan wpadnie z Zoidbergiem – poprosiła lekarka na pożegnanie.

Zoidberg od kilku miesięcy miał na ciele ranki niewiadomego pochodzenia. Nie były rozognione, po prostu się nie goiły. Zaczęło się od poważnej rany na głowie i chodzenia w kołnierzu. Rana szybko się zagoiła, ale nie wszystko wróciło do normy. Przepisane lekar-

stwa, którymi należało przemywać zmienione miejsca, zalecały, lecz nie leczyły. Pani weterynarz uznała, że to nic poważnego, może jednak świadczyć o jakimś innym problemie kota, na przykład psychologicznym. Zwierzę z nieznanых powodów liże bądź drapie zmienione miejsca, nie dopuszczając do ich całkowitego zagojenia. Oprócz przyczyny psychicznej problem mogła wywoływać alergja.

Postanowiliśmy zrobić eksperyment ze specjalistyczną karmą antyalergiczną. Taka karma zawiera hydrolizowane białko, czyli długie łańcuchy aminokwasów porozbijane na krótsze odcinki. Gdyby jej podawanie nie pomogło, toby znaczyło, że choroba kota miała podłoże psychiczne albo też spowodowana została innym niż pokarmowy rodzajem alergii.

Eksperymentem należało objąć również Nibblera, który akurat żadnych odczynów alergicznych nie miał, ale na pewno nie udałoby się rozdzielić dwóch kolegów, tak żeby sobie nie podjadali karmy.

Cieszyłam się po cichu, że moje koty nie mają takich kłopotów ze zdrowiem, a ja z ich leczeniem. Nadal aktualny pozostawał jednak problem z adopcją Artura. Zamieściłam ogłoszenia we wszystkich większych serwisach, podałam mój numer telefonu i adres poczty elektronicznej, ale doczekałam się tylko dwóch listów. W jednym pytano o treść umowy adopcyjnej, w drugim o stosunek Artura do psów. Wysłana umowa adopcyjna skutecznie zniechęciła pierwszego zainteresowanego. Odpisał, że jestem zbyt wymagająca, oczekując zaświadczenia, że zwierzę nie zostanie przekazane dalej. Zdziwiło

mnie takie podejście, bo przecież nie po to się adoptuje kota, żeby za chwilę go oddać. Drugiemu korespondentowi odpisałam, że nie znam stosunku kocura do psów, mogę jednak przypuszczać, że potraktowałyby takiego zwierzaka z wielką nieufnością, bo nigdy się z podobnym stworzeniem nie spotkał. Odpowiedź nie nadeszła.

Rozdział piętnasty, w którym każdy chciałby mieć coś, czego mieć nie może

Kociarze starej daty, kiedy okoliczności ich przerastają, a sprawy robią się nie do wytrzymania, stają przy śmietnikowej wiacie lub rozprawiają z sąsiadami na klatce schodowej. Gadają, dopóki się nie wygadają i nie wyleją wszystkich żalów. I choć realna sytuacja od tego się nie poprawi, humory na pewno.

Nowocześni kociarze też bywają zirytowani, ale idąc z duchem czasu dają upust emocjom, na blogach i innych „porozumiewatorach”. Jednego dnia kilka osób prowadzących domy tymczasowe skarży się z tego samego powodu: „To taki miły kot, czemu nikt nie jest zainteresowany wzięciem go do siebie?”.

Chodzi o koty, na które trudno znaleźć chętnych. Każdy dom tymczasowy takie ma. Ale po kolei. Co takiego utrudniającego adopcję może być w kocie? Otóż nic, bo nie chodzi o problemy z zachowaniem, załatwianiem się czy gubieniem sierści. Rzecz nie w tym,

jaki kot jest, ale jaki nie jest. Jeśli nie jest kociątkiem albo rudzielcem, albo kotem rasowym lub podobnym do rasowego – ma problem. Decyduje tylko moda, bo choć kot pasiasty ma zachwycający pyszczek przez to, że oczy są obrysowane permanentnym makijażem wykonanym z subtelnych – jasnych i ciemnych – kresek, a czarny kot przypomina zwinną pumę, łaciaty zaś ma właściwy tylko sobie układ plam, każdy z nich przegra zawsze z długowłosym rudzielcem.

Właśnie gdy rozmawiałam o tym z mamą, na ekranie telewizora ukazało się wielkie oko, które ktoś poddawał skomplikowanej procedurze upiększania. W wyniku użycia kleju do powiek oraz patyczka do upychania tychże, właścicielka naturalnie skośnego azjatyckiego oka zyskała duże okrągłe oko Europejki.

– Zyskała coś czy może raczej coś straciła? – spytałam mamę, nawiązując do wcześniejszej rozmowy. – Niedoszli właściciele pręgowanego kota niewątpliwie tracą, nie dopuszczając do siebie myśli o zaopiekowaniu się nim.

– To prawda – potwierdziła mama. – Każdy kot jest wystarczająco ładny taki, jaki jest.

Wystarczająco ładny, owszem, ale czy wystarczająco modny? Koty długowłose, białe i rude są po prostu rzadziej spotykane, przez co automatycznie zyskują na wartości. Właścicielka skośnego oka pewnie też nie chciała wyglądać inaczej dlatego, że uważała się za szpetną, raczej starała się nadażyć za modą i stać się przez chwilę kimś innym. Producenci kleju do powiek zarabiają na tym, że czło-

wiek chce tego właśnie, czego mieć nie może. Podobnie postępują hodowcy, udoskonalając dziedziczne kocie cechy lub wytwarzając nowe, mające skłonić klienta do sięgnięcia po portfel. Nie potępiam hodowców z prawdziwego zdarzenia. Cieszyłaby mnie sytuacja, w której wszystkie koty domowe miałyby rodowody, były rejestrowane, a rozmnażanie ich kontrolowano. Wcale bym się nie zmartwiła, gdyby za kocura takiego jak Artur trzeba było słono zapłacić. To jednak utopia.

Rzeczywistość nie pozostawia złudzeń. Artur, krótkowłosy buras z białym podwoziem, czyli kwintesencją dachowca, ma niewielkie szanse na adopcję. Chyba że moda na posiadanie prząsnego kocura, podobnie jak moda na mieszkanie na warszawskiej Pradze, stanie się wyznacznikiem właściwego poziomu życia i przejawem osobliwie pojmowanego „być” zamiast „mieć”. Na razie jednak przebywa u mnie kocur, który nie ma żadnych wad, że tak powiem, gatunkowych. Jego geny to wspaniała mozaika szaro-buro-rudych mariaży wielu kocich par żyjących w najróżniejszych warunkach. Artur został wyposażony w odwagę, wspaniały słuch, słuszną sylwetkę, a nade wszystko w układ immunologiczny, na którym można polegać. Pożyje spokojnie piętnaście lat, chyba że jakiś nieodpowiedzialny cep pozwoli mu polować na balkonie. Ponieważ Artur nie będzie poważnie chorował, na koszty jego utrzymania złożą się wydatki: na okresowe szczepienia, leki odrobaczające, żwirek, karmę i czyszczenie posłania. To, co przyszły właściciel otrzyma w zamian,

nie da się przeliczyć na żadną walutę, ale mimo wszystko spróbujmy wymienić: poduszkę elektryczną z wibracjami, masażystę, sprzęt do odstresowywania dźwiękowego, deratyzator, dezynsektor (idealny dla arachnofobów), błazna, akrobatę i zapaśnika – że o umiejętności witania i okazywania pozytywnych uczuć nie wspomnę. Tylko ten pospolity „dizajn”...

Wielu spośród moich „tymczasujących” znajomych spotyka się z tym samym problemem: ludzie szukają kota idealnego, kota z gwarancją na lubienie psów, innych kotów i dzieci, na mruczenie, nie drapanie kanapy, niewypadanie futra, a w dodatku ślicznego i dostosowującego się do właściciela. Nie chcą dać zwierzęciu szansy, zaryzykować. Przeważnie jednak ci, którzy ostatecznie zdecydują się na wzięcie dalekiego od ideału osobnika, nie wyobrażają sobie później bez niego życia. I są szczęśliwi.

Rozdział szesnasty, w którym miałam wszystkie weekendy zajęte

– No wiesz! Naprawdę nie chcesz jechać? Naprawdę? – jęczała Stracciatella do słuchawki, proponując mi wspólny wyjazd na OFF Festival w Katowicach. Miałam swój OFF w Warszawie, ale nie dlatego teraz nie jechałam z nią.

– A kto się zajmie kotami? – żartowałam. – No dobrze, już do-

brze. Rzecz w tym, że akurat wtedy wyjeżdża mój kolega z pracy, a my nie możemy brać urlopu w tym samym terminie.

– Też coś! – oburzyła się Stracciatella. – Ale za rok się zabierzesz?

– Za rok koniecznie. Brak mi serca do muzyki, ale Katowice chętnie obejrzę. A teraz się umówmy na uroczyste wręczenie kluczy.

Kiedy wyjeżdżałam w marcu na urlop, w ogóle nie przejmowałam się moimi kotami, bo zostawały z mamą, miały więc towarzystwo, a nie tylko wikt i opierunek, jakkolwiek mogło to oznaczać, że od czasu do czasu dostaną do picia mleko lub jakąś inną substancję, tradycyjnie uważaną za odpowiednią dla kotów, w rzeczywistości zaś dla nich szkodliwą. Kiedy wyjeżdża Stracciatella razem z całą trzyosobową rodziną, zostawia w pustym domu dwójkę rezydentów i dwie tymczasowe lokatorki. Trudna sprawa. Musi powierzyć komuś klucze i mieć nadzieję, że żadne ze zwierząt nie wpadnie na pomysł, by zachorować.

Zawsze byłam odwiedzaczką kotów, najczęściej po sąsiedzku, u Kamila, gdy wyjeżdżał do rodziców. Nie sprawiało mi to trudności, zwłaszcza że koty przeważnie bardzo cieszyły się z wizyty, prężyły grzbiety, z zainteresowaniem przyglądały się zabiegom okołokuwetowym i odprowadzały mnie do drzwi jak porządni gospodarze. Koty Stracciatelli zachowywały się identycznie, choć oczywiście Dyziek wykorzystywał czas otwarcia drzwi na wyprawę badawczą. Za pierwszym razem weszłam i powiedziałam ostrożnie: „Cześć”. Od-

powiedziało mi przeciągle „miau” nowej tymczasowej lokatorki Matyldy, która, gadatliwa i bardzo uczuciowa, oczekiwała pieszczot. Czułam się dziwnie, przebywając sama z kotami w mieszkaniu bez ludzi. I choć z wizyty na wizytę coraz bardziej się zadomawiałam, bo najpierw zaczęłam puszczać sobie muzykę do sprzątanania, a w końcu zasypiać z kotem na kolanach, to bardzo chciałam, żeby gospodarze już wrócili. Pod koniec zbiłam flakon perfum i przemknęło mi nawet przez myśl, by zwalić winę na kota, lecz w końcu uznałam, że byłoby to bardzo niesprawiedliwe, bo nie dość, że urządzam kotom aromadestrukcję, ale jeszcze je za nią obwiniam.

Sierpień spędziłam nadzwyczaj pracowicie nie tylko ze względu na koty Stracciatelli, czyli, jak to się fachowo nazywa, z powodu petsittingu. Poza wycieczkami na Nową Pragę bywałam na Grochowie w związku z remontem nowej siedziby Ciachu. Stary lokal miał być przejęty przez miasto na początku września, a nowy należało dopiero wyremontować. Nowa siedziba fundacji wydawała się ogromna, przynajmniej do czasu, gdy pojawili się chętni do pomocy przy remoncie. Było ich wielu. Oto dowód, że jeśli jest podana konkretna data i dokładny zakres prac, zawsze łatwiej znaleźć ochotników.

Zdziwiła mnie liczba pomieszczeń i szczerze pozaklejane wszystkie okna. Sufit znajdował się na wysokości co najmniej czterech metrów. Słyszałam ludzi w innych pokojach, ale idąc za ich głosami, nie znajdowałam nikogo. Sprawiał to amfiladowy układ

wnętrz. Można było bawić się w podchody. Panowała niepokojąca, jakże jednak pociągająca, postapokaliptyczna atmosfera opuszczonych lokali.

Udało mi się w tym labiryncie odnaleźć kierującego pracami i otrzymać zlecenie wysokościowe. Weszłam na drabinę, w prawe ucho wetknęłam słuchankę *Wakacje Mikołajka*, a lewe postawiłam na warcie. Wystarczyło jedno uderzenie młotkiem w łom i wywietrznik dawał się wyszarpnąć ręką. Tak było niemal z każdym kolejnym wywietrznikiem, ale przy ostatnim miałam wrażenie, że łom i młotek ważą już dwa razy tyle co wcześniej. Usunięcie wszystkich wywietrzników zajęło mi kilka godzin, bo za każdym razem przestawiałam drabinę, zgarniałam gruz, który wylatywał z przewodów kominowych, i rozmawiałam z wolontariuszami.

Chuda jak patyk, nerwowa dziewczyna w zielonej chustce na głowie zaskoczyła mnie tym, że kiedy się przedstawiłam, zidentyfikowała mnie jako autorkę błoga.

– To ty piszesz o Szarej? – oznajmiła, kończąc zdanie domyślnym znakiem zapytania.

Zamarłam. Oto po raz pierwszy spotkałam kogoś, kto mnie znał, gorzej, nie znał mnie jeszcze, ale już miał jakieś oczekiwania. Jak na randce w ciemno. Na pewno się zaczerwieniłam.

– Szara zostanie, prawda? Wiem, że zostanie.

No właśnie, ona wiedziała, a ja nie.

– Miałam taką samą sytuację – kontynuowała.

Sytuacja okazała się niedokładnie taka sama, ale za to bardzo ciekawa. Dziewczyna opowiedziała mi o swoim niełatwym doświadczeniu z użyczeniem schronienia nie całkiem oswojonej kotce, która w dodatku buntowała się przeciw kuwecie. Tymczasem jej opiekunka zaczęła chorować. Najpierw myślała, że to katar, ale zaczerwienienie i obrzęk nie mijały po tygodniu. Piekły ją oczy i twarz. Do pracy chodziła w kapturze. Lekarz od razu powiedział, że to wina kota. Kotkę wzięła na tydzień, bo już, już znajdowali jej dom. Potem coś nie wyszło, więc zatrzymała ją jeszcze przez tydzień i przez następny, aż w końcu nie miała pojęcia, co dalej zrobić. Po miesiącu pierwszy raz kicię dotknęła.

– Musnęłam jej bok i ona wiedziała o tym, i nie uciekła. Pomyslałam, że u mnie zostanie, a ja będę brała antyalergiczne leki. Tylko że zaraz potem po prostu uczulenie mi przeszło.

– Tak całkiem? Czyżbyś podświadomie sterowała chorobą?

– A kto to wie? Tak bywa. Też się zdziwiłam, lecz to żaden cud. Powoli mi mijało i teraz wcale nie mam alergii.

– Niesamowite! – Teraz ja wyglądałam jak jedno wielkie „O!”, jakim zresztą, dzięki dobremu apetytowi, nieodmiennie pozostaję. – A co z kuwetą? Jak pokonałaś ten problem?

– To było chyba gorsze od kichania. Przysięgam, że przestawiałam ją z kąta w kąt w całym mieszkaniu. Nie było niezasikanego miejsca. Ani jednego. W końcu się okazało, że naczynie ma stać tuż obok drzwi wejściowych i nigdzie indziej.

– I stoi? – zapytałam, ładując akryl między ścianę a listwę, bo w końcu ile można tylko gadać.

– Pewnie, że stoi! Czy ja wyglądam na masochistkę? – Dziewczyna usadowiła się obok i zaczęła robić to samo co ja. Po chwili skończył nam się akryl, a budowniczemu przydzielającemu robotę pomysły, czym zająć niedoświadczonych remontowców

Lokal bardzo się zmienił, choć głównie na niekorzyść. Wszędzie, pomimo zamiatania, walał się gruz, jakieś szpachelki, gazety, placki zdrapanej farby, kubki z niedopitym sokiem. Zbierały się grupy ludzi pokazujących sobie nawzajem, co ich boli i jak bardzo. Należało zacząć się zwijać albo sprzątać po imprezie.

Z remontowania wracałam rowerem, ledwie pedałując z powodu obciążenia się pizzą po skończonej robocie. Koty w domu z niepokojem obwąchiwały ciuchy przesiąknięte zapachem farby. Już się nie martwiłam, że nie zdążymy na czas, bo remont ruszył jak burza. Najwięcej problemów, jak się zdawało, będzie nastręczać przewiezienie kotów, ale tę przyjemność zostawiliśmy sobie na sam koniec.

Wszystkie weekendy sierpnia miałam już zajęte. Po pierwsze – remont, po drugie – ślub koleżanki. Młodzi, wraz z zaproszeniem, przysłali prośbę, żeby nie kupować im kwiatów, bo te, choć piękne, zalegają potem w umywalce, wannie i zlewie, by po tygodniu trafić do kosza. Pobudki moich przyjaciół były czysto praktyczne i świetnie ich rozumiałam.

– Wierzysz w to, że nikt nie przyniesie wiechcia? Głupio przyjść z pustymi rękami... – podzieliłam się wątpliwością z przyszłą panną młodą.

–Wiem... Myślałam, żeby zaproponować przytulanki dla biednych dzieciaków, ale uznałam, że wcale im się tak bardzo nie przydadzą.

– To może karmę dla zwierzaków? Na pewno się nie zmarnuje.

– Aha, wchodzisz na swój ulubiony temat.

– Dziwisz się? Odkąd działałam w środowisku, dociera do mnie, że bieda jest straszna, a pomoc kończy się na deklaracjach.

– Ech – westchnęła w słuchawkę. – Wyobrażasz sobie te dziewczyny w sukniach balowych ze zgrzewkami puszek w rękach?

– No i widzisz, jak niepraktyczne są suknie balowe... A nie mówiłam, żeby robić wesele w dzinsach? Ale serio, przecież niczego nie oczekiwałaś: ani kwiatów, ani puszek, więc wystarczy symboliczna torba karmy, równie poręczna jak pluszowa maskotka.

Koleżanka dała się przekonać. Po zebraną karmę miał się stać wolontariusz fundacji z niespodzianką dla młodych w postaci fundacyjnych kubków z limitowanej serii, czyli przedstawiających, jak powiedział potem obdarowany nowożeniec, niezwykle wartość kolekcjonerską.

Zabawnie było obserwować gości weselnych. Niektórzy wyraźnie czuli się niezręcznie. Inni po wyczałowaniu młodych wręczali im kocie chrupki, życząc smacznego. Mimo niecodziennej sytuacji

usłyszałam niejedno dobre słowo na temat inicjatywy młodej pary.

Na weselu stłukło się kilka kieliszków. Bezcenne kolekcjonerskie kubki na szczęście ocalały.

Zwariowane lato. Najpierw padało, potem był remont, ślub i znowu remont. Raz w kaloszach, raz w sukience, a raz w roboczych łachach upływały mi wakacje. Nie samymi weekendami człowiek żyje, codzienność upomniła się o swoje.

– Kupiłaś łóżko, głupia kobieto? Przecież ja mam w piwnicy całkiem nową kanapę! Serio, wygodną i ładną. Następnym razem, jak będziesz chciała coś kupić, cokolwiek, zapytaj najpierw mnie. Najprawdopodobniej mam to już w piwnicy – pouczyła mnie Stracciatella.

Rzeczywiście. Będąc nad wyraz hojna, Stracciatella chomikowała wszystko. Znalazł się u niej nawet kaloryfer i czółenka o Marca Jacobsa numer czterdziesty drugi, bo na pewno jakaś duża kobieta o nich marzy, i kanapa w świetnym stanie.

Nowa kanapa to dla kota lunapark. Najpierw wcale nie chce się tam iść, a potem atrakcja goni atrakcję. No i jeszcze dreszczyk niepokoju, bo wszystko nowe, niebezpieczne.

Stara kanapa była używana przeze mnie i przez koty tylko z prawej strony. Na prawo leciały kieliszki z winem, kubki z herbatą, poranne owsianki i imprezowe drinki, a nawet benzyna do zapalniczki. Prawe oparcie drapały wszystkie moje koty. Może nie cał-

kiem nieskazitelna, ale dziwnie mało zużyta lewa strona nie była jednak wolna od wyłazających sprężyn. Nie było rady, odkładanie zakupu wzbudzało tylko irytację. Myślałam sobie, że przecież nowe posłanie będzie nowe przez kilka miesięcy, potem koty powyciągają nitki z obicia i z gładkiego zrobią frotte. Cóż, taka kolej rzeczy, a najważniejsze, że mam być zadowolona ja, potem koty, a łóżko może sobie być niezadowolone do końca swoich sprężyniastych dni.

Wywleczenie steranej życiem kanapy do piwnicy koty przyjęły z oburzeniem. Sypiały wprawdzie na niej rzadko, niemniej drapak to drapak, swoje miejsce ma, więc nieładnie go przestawiać. Każdy kot dziwił się na swój sposób. Pierwszy przyszedł Artur, wymiauczał w pustym miejscu rekwiem i zakończył żałobę. Szara przybiegała parokrotnie, wachając podłogę, ale zobaczywszy odkurzacza, emigrowała z pokoju na kilka godzin. Osia zauważyła brak kanapy i usiadła z podwinętymi łapkami na miejscu, które lubiła zajmować, tyle że teraz niżej.

Do nowego posłania najpierw przybywali zwiadowcy, przebiegali po nim w skupieniu, nie zatrzymując się ani przez sekundę. Potem obserwowali z rozsądnej odległości, na czym polega zmiana, bo od góry było miękkie jak zawsze, a od spodu? O tak! Ku radości kotów kanapa zapewniała wielką przestrzeń zazwyczaj zarezerwowaną dla Potworów spod Łóżka. Nie wiem, czy nowe łóżka mają od razu swego potwora, ale ten prawdopodobnie zostałby wysiedlony już przy pierwszej okazji, bo trzy koty uznały, że to miejsce zosta-

wiono specjalnie dla nich. Nacieszywszy się najniższą kondygnacją, przeszły w końcu do strefy właściwej, a przynajmniej właściwej dla człowieka, gdzie dostrzegły inne możliwości odbijania się do wysokich wyskoków i zmienione odległości od pozostałych mebli. W końcu zmęczyły się i uznawszy, że w przeciwieństwie do starego posłania to nadaje się dla kotów, wszystkie trzy na nim zasnęły, bo choć pozornie nie różniło się ono niczym od poprzedniego i ustawione zostało w tym samym miejscu, dla nich okazało się zupełnie innym światem. A ja zauważyłam z radością, że wreszcie nic mnie nie uwiera, a już na pewno nie trójka wtulających się we mnie kotów.

Zadbawszy mimochodem o komfort snu swoich sierściuchów, nie zapomniałam o kotach miejskich i ich fundacyjnej przystani. Remont miał się ku końcowi. Ściany pomalowano na żółto – w kolorze fundacji Ciach. Był to niezamierzony efekt pomieszania farb z darów wolontariuszy. Stracciatella przywlokła ze swojego składziku dwudziestolitrowe wiadro wściekle pomarańczowej farby i od tego się zaczęło. Lamperie z kolei błyszczały mdłą zielenią. W sumie ciekawy i energetyzujący efekt.

Zakończenie remontu nie na długo pozostawiło nas w stanie błogiego samozadowolenia. Ciach to nie tylko budynek. Należało zająć się bieżącymi sprawami. Najważniejszą z nich jak zwykle było napisanie dobrze uzasadnionej prośby o grant. Na szczęście o tym miało traktować najbliższe szkolenie w ramach OFF-u. Dla większości organizacji pozarządowych, nie wyłączając Ciachu, środki po-

chodzące z dofinansowania to być albo nie być. Drugie pilne zadanie polegało na zmniejszeniu zbyt dużej, bo przekraczającej standardowe trzydzieści procent całego stanu, liczby oswojonych zwierząt w ośrodku. Prawda, że te koty zostały znalezione na ulicy, więc teoretycznie powinny na nią wrócić, ale do tego nie chcieliśmy dopuścić. Entuzjazm naszej nowej stażystki, doktor Izy, która nie zamierzała się poddać, był zaraźliwy. Zostało zrobionych tysiące zdjęć i filmów.

– Rękawiczki! – wrzasnęła lekarka, machając mi przed nosem pudełkiem z jednorazówkami. W Ciachu łatwo się zapomnieć, bo większość oswojonych kotów dociska futrzaste boki do prętów, a wówczas dłonie same wędrują od klatki do klatki, przenosząc przy okazji bakterie. Właśnie usiłowałam uchwycić kotkę Malwinkę w korzystnej pozie. Nie pomagała mi, próbując koniecznie obwąchać obiektyw. Malwinka przebywała w fundacji już od dłuższego czasu. Chora na padaczkę, a więc nieatrakcyjna dla potencjalnych opiekunów, została niemal rezydentką i wizytówką tego miejsca. Iza była wściekła, że jej ulubienica ma tak nikłe szanse na znalezienie domu, chociaż jest cudownym stworzeniem. – Czego ludzie więcej chcą? – pytała, drapiąc kotkę za uchem.

A ja się domyślałam. Nie chodziło o chorobę, bo i Bezik z uszkodzonym kręgosłupem czy niewidomy Stevie znaleźli swoje ciepłe kolana. Malwinie się nie udawało z powodu braku umiejętności korzystania z kuwety.

W domu Iza miała już kocie przedszkole (trafiły do niej Ba-

teryjki, arcydynamiczne kocięta ze swoją Galwaniczną Matką), mogłam się więc bez trudu domyślić, jak wygląda dzień fundacyjnej pani doktor, od pobudki po dobranoc.

– Dajesz radę? – zapytałam.

– A w czym niby problem?

Lekarka nie zamierzała narzekać, wolała działać, więc oswojonych kotów ubywało jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Prowadzone przez nią akcje adopcyjne przyniosły nadzwyczajne rezultaty. Tylko Malwina została. Tak jak i mój Artur, pomyślałam sobie. Tak to już jest, jednym się udaje, innym nie.

Podczas gdy Iza oraz zaprzyjaźnione domy tymczasowe prowadziły batalię adopcyjną, Feliniec miał odwrotny problem: zaginęła im kotka Ania. Opiekunki Felińca wyjechały na wakacje, a zajmująca się ich stadkiem osoba nie zauważyła, że jedno zwierzątko wyszło na spacer. Poszukiwano Ani w dzień i w nocy, oklejono Starówkę i Powiśle plakatami, świecono latarkami po podwórkowych i piwnicznych zakamarkach. Bezskutecznie. Ania przepadła jak kamień w wodę.

Wtedy powstał pomysł, by utworzyć stronę zaginionych i znalezionych kotów: ogłoszenia, zdjęcia itd. Feliniec wypuścił ją jako dodatek do swojej azylowej działalności. Kłopot polegał na tym, że strona nie dawała możliwości wyszukiwania i sortowania ogłoszeń, porównywania i automatycznego dopasowywania ich według miejsca i czasu znalezienia zwierzęcia oraz wedle jego cech. Żeby prze-

konać się, czy ktoś nie znalazł poszukiwanego kota, należało przeczytać wszystkie ogłoszenia i towarzyszące i komentarze, których tematyka zmieniała się dość swobodnie. Mimo wszystko jakiś załączek porządnej bazy już powstał.

Rozdział siedemnasty, w którym Ania spotkała Anię

Miękka koteczka, która podeszła do stóp Ani, też miała na imię Ania w życiu, którego nie mogła już odnaleźć. Dwunoga Ania, poczuwszy miękkiego dotyk na skórze łydki, odskoczyła jak oparzona. Miała za sobą bardzo nerwowe przedpołudnie i nie potrzebowała dodatkowych atrakcji. W przedszkolu, do którego chodzi jej córka, pękła rura, zalało parter, więc poproszono rodziców o nieprzyrowadzanie maluchów. Mąż Ani nie mógł zwolnić się z pracy, ona też nie, stąd też spóźniona, zostawiając naburmuszoną córeczkę u równie niezadowolonej swojej siostry, dobiegała do pracy akurat w południe. Kot zerkał na nią i choć już się nie ocierał, przysiadł blisko jej nogi. Ania przeanalizowała sytuację w swoim zestresowanym umyśle szybciej, niż zrobiłby to dyplomowany strateg. Oswojony kot, który stał przy niej na światłach przy Tamce, wcale nie czekał na zielone światło, on po prostu czekał na jej ruch. Nie mogła go tu zostawić, bo na pewno nie przeżyłby w mieście. Nie mogła go zabrać, bo gdzie i jak? Mieszkała na Żoliborzu i właśnie wracała komunika-

cją miejską po dostarczeniu wściekłego dziecka do przepracowanej siostry. Nie miała transportera czy choćby dużej torebki. W dodatku była spóźniona do pracy. Bilans był prosty, a jednak nie mogła odejść. Czuła się jak frajerka i nie znajdowała zadowolającego rozwiązania.

Ania i Ania przegapiły zmianę świateł. Większa głaskała łebek mniejszej. Mniejsza odważyła się na pomruk. Duża Ania była pierwszą osobą, która się tego dnia dla niej zatrzymała. Mała Ania błąkała się już tydzień. Wymknęła się ukradkiem, z ciekawości, a potem coś ją przestraszyło i uciekła tak daleko, że nie umiała odnaleźć drogi powrotnej. Obie Anie przyglądały się sobie i podczas gdy jedna się uspokajała, druga wpadała w panikę.

– Ten kot, proszę pani, łązi tu już drugi dzień i nie ma sposobu, żeby sobie poszedł. Psa się nie boi! – powiedziała ze zgrozą nastolatka z psem, który ciągnął ją przez ulicę na smyczy.

Mała Ania cofnęła się przed psem, ale nie syknęła. Najwyraźniej znała już takie zwierzęta.

– A może to pani kotek? Zadbany. Weźmie go pani?

Dziewczyna wyraźnie przejmowała się losem kota, więc Ania próbowała przekonać ją, by się nim zajęła:

– To mój kot – skłamała – ale się zgubił. A teraz bardzo się spieszę do pracy, lecz rozumiesz, że nie mogę go zostawić na ulicy. Jestem w kropce. Pomóż mi...

– Nie ma mowy, nie zajmuję się kotami. Rodzice nie za bardzo

je lubią i nie mam czasu – dziewczyna szybko odmówiła, ale nie odeszła.

Ania stwierdziła, że czas na przekupstwo:

– Zostawię ci mój telefon – zachęcała – tylko wyjmę z niego kartę. Zatrzymasz go, gdybym nie wróciła. Weź kota do domu i przetrzymaj do mojego powrotu. Założę się, że rodziców nie będzie do piątej.

– A jak pani wróci, to stracę telefon i nic z tego nie będę miała, samo ryzyko!

– Przyniosę ci lakier... – Ania spojrzała na ubranie dziewczyny.
– Fioletowy?

– Matowy – uściśliła nastolatka.

– Okej, ale kotu nie może się nic stać. Zostaw mi swój adres i kup mu jedzenie.

Z ust dziewczyny popłynął potok wykrętów i wątpliwości, na które zresztą od razu sama sobie odpowiadała. Najwyraźniej traktowała całą tę sytuację jak pasjonującą przygodę, z której w dodatku może czerpać jakieś profity. Więc jeszcze przez chwilę się targowała.

– Drogo mnie to kosztuje – westchnęła Ania, jednocześnie zastanawiając się, ile cwaniara ma lat i jaka w tym wieku będzie jej córeczka. – Sama kupujesz karmę – zastrzegła.

– Nie ja zgubiłam kota. Daję mu karmę Aresa i wodę, tyle, ile da radę zjeść, zamykam się z nim w pokoju i on mi nie przeszkadza,

pani przychodzi przed piątą i po sprawie.

– Piąta piętnaście.

– Może być, byle nie później.

Dziewczyna zacmokała na małą Anię i klepnęła się w udo.

– Przecież to nie pies! Weź ją na ręce!

– Niech pani ją weźmie. Przynajmniej dowie się pani, gdzie mieszkam.

Dwunoga Ania dotarła do pracy dopiero o pierwszej. To nie był jej najlepszy dzień. Właściwie całkiem kiepski. Najpierw na służbowy telefon dzwoniła siostra, a potem mąż, oboje zirytowani, że nie mogą się z nią skontaktować przez komórkę. Później zwrócono jej uwagę, że blokuje linię, a w końcu sama zdała sobie sprawę, że prawie wszystko, co zrobiła, nadawało się do ponownego przejżenia. Najgorszy, choć nie dramatyczny, był brak transportera. Wróci samochodem z koleżanką, po drodze wpadną po kocicę, problem tylko, skąd teraz ma wziąć obiecany lakier. Dziewczyna, oddając kotkę, nie była zadowolona. Pal licho telefon i lakier, powiedziała. Zrobiła sobie z kotką śliczne zdjęcia i już się do niej przywiązała. Tak się nie robi ludziom i kotom. Ale umowa to umowa. Trudno. Zapytała też, czy to na pewno kot Ani.

– No to jak się nazywa? – testowała. – Aha! Nie wie pani, bo inaczej nie mówiłaby pani o nim „kot”, tylko „Mruczek”, c’nie? Niech pani obieca, że temu kotu nic się nie stanie...

Ania obiecała, choć nie powinna, i zaniosiła kotkę do samo-

chodu. Zwierzę zachowywało się spokojnie, tylko miauczało przez całą drogę. Ania biła się z myślami. Zamierzała przetrzymać kotkę do czasu odnalezienia prawowitego właściciela. Nie mogła więc zabrać jej do siebie, bo dziecko już by jej potem nie chciało oddać. Jeszcze by z tego wynikła jakaś trauma, o nie! Postanowiła przechować kota u siostry. Siostra lubiła koty, zawsze chciała jakiegoś mieć, ale ciągle coś stawało na przeszkodzie.

– Tylko na parę dni – przekonywała ją Ania. – Na pewno komuś zwiął, taki ładny kotek, taki miły, czysty i w ogóle.

– Czy ty naprawdę myślisz, że możesz mi wciąż na głowę zwałić swoje problemy? – Siostra nawet nie chciała słyszeć o kolejnej przysłudze.

– Ale nie chcesz chyba, żeby kot wylądował na ulicy? – Ania nie po to tyle się natrudziła, żeby teraz dać za wygraną.

– No właśnie, nie chcę, nie chcę też, żeby jakikolwiek kot tam lądował, ale nie mam tu wszystkich kotów świata, prawda? To, co robisz, to szantaż emocjonalny!

– Tylko ten jeden raz, proszę. Przecież ja mam dziecko, inaczej bym wzięła.

– Jak jeszcze raz usłyszę, że dziecko jest argumentem, to zaraz adoptuję piętnastcioro i powiem wszystkim: „Odczepcie się, ja mam dziecko, jestem taka cholernie ważna i nie mogę nic robić”. A wiesz, co wszyscy mi powiedzą? „Nikt ci nie kazał”. Więc przestań mnie szantażować swoim dzieckiem i tym bezdomnym kotem.

Siostra wzięła oczywiście kota, ale była tak zła i rozedrgana, że mała Ania bała się przez dobę do niej podejść. W końcu odważyła się usnąć w nogach jej łóżka. Coś jej to przypominało, jakieś uczucie ciepła, czyjaś obecność, coś, za czym tęskniła.

Duża Ania szukała wyjścia z sytuacji tak, żeby siostrze zdjąć kota z głowy i uspokoić własne sumienie.

Napisała: „Proszę pani, wiem, że pomaga pani kotom, a ja nie wiem, co zrobić. Może pani mi powie. Znalazłam kotkę na ulicy, jest miła i ładna, zdecydowanie oswojona. Nie wiem, czy komuś uciekła, ale nie umiałam jej zostawić i umieściłam ją u siostry. Może tam zostać jakiś czas. Co powinnam teraz zrobić? Niech się pani nie gniewa. Piszę do wszystkich”.

Mała Ania przezwana teraz Kurą przez córeczkę dużej Ani, która o jej istnieniu oczywiście się dowiedziała, mieszkała na nowym miejscu już dwa miesiące, kiedy otrzymałam powyższy mejl. Taki list nie należy do wyjątków. „Znalazłem kota..., ktoś podrzucił psa..., widziałem na ulicy..., znam taką karmicielkę..., sąsiad robi problemy..., w piwnicy piszczą kocięta. Takie sprawy wciąż są zgłaszane do fundacji Ciach. Tylko jak tu reagować? Fundacja nie zatrudnia osób do pracy w terenie, nie prowadzi azylu. Piszący prośbę jest w zasadzie zdany na siebie.

Może liczyć na sprawdzoną radę, nawet na niewielką bezpośrednią pomoc, ale nigdy nie na całkowite zdjęcie ciężaru z ramion. Wyobrażając sobie, jak wielki zawód robię nadawcy, odpisałam że

chętnie pomogę w sfotografowaniu kotki i zamieszczeniu ogłoszenia, ale znalezienie dla niej domu pozostaje nadal problemem empatycznej ochotniczki. Nie zdziwiłabym się, gdyby Ania, dostawszy mój list, załamała ręce i obiecała solennie, że następnym razem nie pozwoli sobie na poryw altruizmu.

Zakiełkowałam we mnie nadzieja, że kotka przebywająca u Ani to felińcowa zguba, zadzwoniłam więc do opiekunek z Felińca, nie chcąc jednak robić im zbyt wielkich nadziei, zagaiłam na początek, jak idą poszukiwania. Okazało się, że zwróciły się o pomoc nawet do wróżki.

– I co? Sprawdziło się?

– Zostałyśmy spisane przez strażników Biura Bezpieczeństwa Narodowego, którego siedziba mieści się na Powiślu. Całkowicie tego nieświadome świeciłyśmy, wraz z parą znajomych, latarkami przez tylne bramy, bo na terenie wałęsało się stadko młodych kotów. Zbiegło się do naszej grupki poszukiwawczej kilku uzbrojonych gości. Wyobrażasz sobie?

– Nieźle – wyraziłam uznanie dla przygody. – Ale szukacie dalej?

– Oczywiście! Nigdy nie przestaniemy. Choćbym miała pytać każdego mieszkańca Powiśla! Wiesz, ilu ludzi już poznałam? Wszystkich powiślańskich żuli i dresiarzy. Każdego, kto chciał opowiadać o widywanych w okolicy kotach, przesłuchałyśmy po dwa razy. Znamy miejscowe zwierzaki, ich wygląd, zachowanie, a pory

karmienia mamy w małym palcu.

– Czy pojawiły się jakieś konkretne informacje? – pytając, już wiedziałam, że wieści okazały się niepomysłne, bo w głosie mojej rozmówczyni nie było radości.

– Owszem, ale żadna się nie sprawdziła. Co gorsza, kotka Agatka, siostra Ani, wpadła w depresję, niby nic nie je, a utyla, ciągle tylko śpi, niczym się nie interesuje. Zaraz stracimy drugiego kota.

Wreszcie zdarzył się cud: jeden z tropów okazał się prawdziwy, opiekunkom wskazano piwnicę, w której najprawdopodobniej dokarmiano Anię. Zajrzały przez okienko i zobaczyły miskę z wodą i porządnym, suchym jedzeniem, jednak kota ani karmiciela nie było. Usiadły przed domem i czekały, aż pojawi się jakiś mieszkaniec. Chciały się dowiedzieć, kto tu karmi koty i jak się dostać do piwnicy. Dopiero po dłuższym czasie zobaczyły zbliżającą się postać kobiety z miniaturowym sznaucerem. Niewątpliwie ją kojarzyły. Jej twarz kogoś im przypominała, ale nie umiały skojarzyć nazwiska. Gdy usłyszały głos, uświadomiły sobie, skąd znają tę osobę. To była Zofia Czerwińska, znana nie tylko ze swojej pracy artystycznej, ale i z działalności na rzecz zwierząt. Tym razem trafiły więc pod właściwy adres – kotkę dokarmiał Stanisław Tym, który musiał akurat wyjechać, lecz nie chcąc zostawiać stworzenia bez opieki, poprosił koleżankę o pomoc. Niestety, Ani już dawno tam nie było, za to inne bezdomne koty korzystały z aktorskiej stołówki na całego.

Nie chcąc robić fałszywej nadziei dziewczynom z Felińca, po-

prosiłam o telefon do felińcowej nadwornej fotografki, pod pretekstem, że mam pilną sprawę, a mój aparat właśnie odmówił współpracy. Liczyłam na to, że fotografika pomoże zidentyfikować kota. W końcu udało się ją umówić na sesję z Kurą. I oto Kura została wstępnie rozpoznana jako felińcowa Ania. W obie strony ruszyły telefony i mejle ze zdjęciami Ani-Kury. Zguba została odnaleziona i wróciła do domu.

Córeczka dużej Ani, kiedy dowiedziała się, że kotka Kura została definitywnie oddana, obraziła się na ciocię na dobre cztery godziny nadętego milczenia. Ciocia zaś wciągnęła do odkurzacza ostatnie bryłki rozsypanego kociego żwirku i pociągnęła nosem. Lubiała koty, ale nie lubiła żwirku.

Wszystko skończyło się dobrze, lecz nie dla stęsknionej kotki Agatki, bo jej siostra zupełnie się zmieniła podczas miesięcznej tułaczki. Nie chce się z nią bawić i bardziej lgnie do ludzi niż do kotów. Jest nadzieja, że z czasem stosunki między nimi się ocieplą.

Rozdział osiemnasty, w którym Szarej jest zimno

Jest taki tydzień, gdy rok zwija się niczym zrolowana mapa, na której Mikronezja niespodziewanie sąsiaduje z Madagaskarem, a Kalifornia z Kaukazem, w planie roku zaś stykają się ze sobą wiosna i jesień. Tamtego październikowego wtorku pyszniła się wiosna.

Koty chłoneły promienie słońca, a ja wyszłam na miasto w letniej sukience i było mi w sam raz. W piątek tego samego tygodnia wyszłam już w grubej bluzie, a po dwóch minutach pospiesznie wkładałam rękawiczki. Taki dzień jesienny, z łuszczącą się złotą farbą, zapachem butwiejącego drewna i szarością na tysiąc odcieni. Oba te dni były piękne. Nie mogłam sobie przypomnieć, co się działo między nimi we środę i czwartek, jak szybko zachodziły zmiany i czemu ich nie dostrzegłam.

Koty znosiły moje refleksyjne zawieszanie się tylko przez chwilę. One też spostrzegły zmianę, zmianę temperatury, i rozpoczęły bojkot parapetu! Bo ja, niepomna pogodowego ochłodzenia, nadal w najlepsze rozszczelniałam okna.

Koty zbijały się jak kłębki kurzu w jeden większy. Najczęściej dwa duże, tłuste jak foczki, układały się obok siebie, niby osobno, a przecież blisko. Niekiedy Artur otaczał łapami Szarą. Innym razem wpasowywały się w siebie, tworząc pasiasty, więc pozbawiony filozoficznego znaczenia, znak jin i jang.

Szara okrągłymi oczami wpatrywała się w moje wsunięte pod biurko kolana. Przytulałam ją, zastanawiając się, czemu się zrobiła taka czuła. Ona zaś, doszedłszy do wniosku, że takiej wiercipięty w życiu nie widziała, przesuwała się na komputer. O tak, pomiędzy ciepłą obudową komputera a spodem blatu biurka zbierało się ogrzane powietrze. Tylko jak wysiedzieć w tym „podbiurczu”, skoro pańcia ukochana to wierzgnie, to wstanie, to znowu siądzie, ale nie na

długo, bo coś sobie zaraz przypomni, drgnie i ucieknie. Wytrzymać się nie da! Najtłustsza i najspokojniejsza Szara szalała dobrych parę dni, zanim ustaliła, że starsze kolana nadają się lepiej – są znacznie spokojniejsze. Przynajmniej w ciągu dnia. Bo w nocy, kiedy młodsze kolana kładły się do łóżka, pojawiała się cieplusienka skrzyneczka, w którą stukano palcami lub się wgapiano. Skrzyneczka nęciła Szarą bardzo. Tak bardzo, że pomimo moich protestów usiłowała noc w noc położyć się choć na chwilę na tej zmyślnej grzałce, badać ją pyszczkiem, wciskać popykujące klawisze, a nawet czasem któryś wyciągnąć. Nie odstraszało jej przechylenie laptopa na boki.

Szara odkryła też kołdrę. Szybciutko zrozumiała, że ta rzecz nie służy do ozdoby, bezceremonialnie się pod nią wpychała i zasypiała. Nie przeszkadzało jej, że tkanina przykrywa ją razem z głową i że pod spodem nie ma specjalnie dużo powietrza. Ważne, że było ono porządnie ogrzane.

Artur, zainteresowany mruczącą kołdrą, podjął próby jej zbadania. Niebawem też rozsmakował się w spaniu pod przykryciem. Co najważniejsze, pozostawał w okolicy moich stóp, dbając o utrzymanie ich odpowiedniej ciepłoty, jak i o rozkoszne doznania dotykowe.

I tak byśmy sobie beztrosko spędzali noce we czwórkę: ja, laptop, Szara i termofor-Artur, gdyby nie to, że niepokoiłam się o Ośkę. Kruszyńka nic sobie nie robiła z chłodu, rozwalala się to na parapecie, to na pufie, czasem na brzeżku łóżka, ale raczej bez przekonania.

Czyżby jej nie było zimno? – zastanawiałam się, zapominając, że ona nie od parady nosi to solidne futro w końcu jako bardzo piękny zdachowacony potomek sybiraczki i norwega została przystosowana do niskich temperatur, a w dodatku może sobie teraz powetować straty, głównie moralne, gdy z powodu sierści wystającej między poduszczkami palców wpadała w poślizg podczas kocich gonitw.

W przeddzień drugiej konferencji OFF-u, znowu odbywającej się w Warszawie, udało mi się zdekompletować dwie pary rękawiczek. Rano zgubiłam prawą z pary jesiennej, a wieczorem prawą z pary zimowej. W dniu konferencji szłam więc przez most, mając grubą rękawiczkę na lewej, przynależnej jej ręce, a cienką rękawiczkę na ręce prawej, założoną na odwrót tak, że dotychczasowy spód znalazł się na grzbiecie dłoni. Wyglądało to zabawnie, choć niepokojąco – jakbym miała palce zginające się w obie strony. Poprzedniego roku nie zsiadałam z roweru, teraz poruszam się pieszo po mieście. Jestem więc tak wolna, w obu tego słowa znaczeniach, jak tylko można wolną być. Najważniejsze są rękawiczki i odtwarzacz mp3. Idąc przez miasto, słucham czytanych książek. Mijane budynki, układy drzew, widoki, ławki i okna kojarzą mi się potem z nierzeczywistymi scenami i postaciami z lektur. Bardzo to lubię.

Było zimno i na moście nieźle wiało. Żałowałam, że nie mam kaptura albo – lepiej – wielkich studyjnych słuchawek, które przykryłyby mi uszy. Szybko też oceniłam, że już niebawem trzeba odłożyć do szafy trampki. Zaraz listopad. Listopad! To przecież moja

pierwsza rocznica w Ciachu. Co się przez ten czas zmieniło? Na pewno życie moje, mamy i trzech kotów. Nie zmieniło się natomiast to, że nadal muszę co jakiś czas udawać kichnięcie.

Na zjeździe OFF-u też było chłodno – zimne fakty i nudne zagadnienia prawne. Wykład dotyczył głównie sposobów zdobywania pieniędzy dla fundacji pozarządowych. Pewną możliwość stwarzają rozmaite granty i unijne lub rządowe dofinansowania. Żadne jednak nie gwarantują pieniędzy na samą pomoc dla zwierząt, dopiero wskazanie na powiązanie ludzi ze zwierzętami – najczęściej na aktywizację grup wykluczonych oraz dzieci, połączoną z opieką nad czworonogami – może przynieść skutek. Zresztą tak czy owak – podkreślał szkoleniowiec – najważniejsze to pokazać się od takiej strony, by ofiarodawca czuł, że straci, nie pomagając. Zadanie trudne, zwłaszcza w oficjalnym piśmie o dotację. A jednak się udaje.

Na szkolenie przybywają osoby pracujące zawodowo (częściej) lub jako wolontariusze (rzadziej) w azylach i fundacjach. Większość to starzy wyjadacze, sceptycznie podchodzący do wykładu młodych szkoleniowców, którzy nieustannie opowiadają o konieczności zmiany wizerunku, profesjonalizmie i prawnych stronach zabiegania o dotację. Szkoleniowcy wiedzą, co mówią, i przyklaskują każdej ich opinii, zarazem rozumiejąc tych, którzy podśmiewają się z „pijam”, „imidżu” i „faundrejsingu”. Zapewne byłoby mądrzej zrezygnować z zapożyczonych słów i okraszania wszystkiego szerokim uśmiechem, ale w końcu to tylko forma, liczy się zaś treść przekazu. „Ostatnie

ławki” opowiadają sobie o konkretnych problemach: że dach przecieka, że ostatni wolontariusze znudzili się i zmęczyli, że brak pieniędzy na czynsz, a księgowia upomina się o jakąś tam fakturę. Rozmawiają też o wrogości i obojętności, czasem tylko dopuszczając do siebie głos rozsądku podpowiadający, że problemy z odbiorem społecznym zmaleją, jeśli sami się postaramy i udowodnimy swoją fachowość i racjonalność działań. Wszystkie rozmowy o obojętności przebiegają podobnie, bo każdy pracujący w fundacji choć raz zetknął się z sytuacją „weźcie i zróbcie”. Ktoś wspomniał o mężczyźnie, który zadzwonił z informacją, że na parkingu kręci się kot. Powiedziano mu, żeby zabrał zwierzę do domu, czego zrobić nie zamierzał, a usłyszawszy, że fundacja nie ma możliwości wysłania kogoś po kota i zajęcia się sprawą, rzucił słuchawką. Słuchacze westchnęli ze współczuciem i stwierdzili, że już nie ma wrażliwych ludzi.

A według mnie akurat ten człowiek wykazał się wrażliwością. Doszedł do wniosku, że kotu na parkingu może stać się krzywda, więc zadzwonił do prozwierzęcej fundacji, szukając pomocy. Problem więc nie w tym, że ktoś niezwiązany z taką organizacją nie jest empatyczny i wrażliwy, lecz w tym, że nie wie, co zrobić, żeby skutecznie pomóc. Oczywiście łatwiej mu zwrócić uwagę innych na zwierzę, z którym się zetknął, niż wziąć za nie całkowitą odpowiedzialność, niemniej jednak wykazał się chęcią niesienia pomocy. Na pewno znalazłoby się o wiele więcej wolontariuszy w różnych insty-

tucjach, nie tylko prozwierzęcych, gdyby określano konkretne potrzeby, zamiast sugerować, że kandydat na rycerza w lśniącej zbroi ma sam szukać damy w opałach i obmyślać sposoby ratunku.

Osoby niechętnie słuchaniu pouczeń o budowie wizerunku fundacji rozprawiają z ożywieniem o nieustannej konieczności udzielania wciąż tych samych informacji, obalania mitów, wyciągania wyświechtanych argumentów. Przyznają, jest to irytujące! Ileż to razy sama miałam ochotę powiedzieć: „A myśl sobie, co chcesz”, zamiast tłumaczyć, że kupowanie rasowego psa jest nieetyczne, a przekonanie, że kot wyżywi się gryzoniami łapanymi w piwnicy, może okazać się słuszne tylko w mysiej wieży, nigdy zaś w warunkach metropolii. Ludzie mają prawo do niewiedzy i do błędów. Mogą trzymać się uparcie swojego zdania, mimo że przedstawiono im setkę kontrargumentów. Wiadomo, że każdą nową informację trzeba przetrawić i raczej nie ma co liczyć na nagłe olśnienie rozmówcy, poparte puknięciem się w czoło i wykrzyknięciem: „Jakiż ja byłem głupi!”. Wiadomo też, że argumenty, choćby najsluszniejsze, mogą nigdy nie zadziałać. Nasz dyskutant może trwać przy swoim zdaniu, bo tak wskazuje jego doświadczenie. Tak, może w ogóle nie wiedzieć, że kot nie powinien pić mleka, a jeśli już o tym słyszał, może się z tą opinią nie zgadzać, bo akurat ma w domu stworzenie, które toleruje laktozę. Może też nie uwzględniać faktu, że kot nie zawsze spada na cztery łapy, bo za każdym razem widział, że – owszem – spada. Usilne przekonywanie (zwłaszcza z wyżyn naszego autorytetu) spo-

woduje tylko, że szkodliwy pogląd się utrwali. Poza tym warto zostawić sobie miejsce na wątpliwości, na nowe odkrycia i elastyczność niezbędną do rozwoju. Zwłaszcza jeśli takiej elastyczności wymaga się od innych.

Tak właśnie odpowiadałam w myślach na narzekania „office-rów”, nie dlatego jednak, że ich nie rozumiałam, tylko dlatego, że we wrogości widziałam ślepą uliczkę.

Rozdział dziewiętnasty, w którym nic się nie kończy

Mijały miesiące. Do poszukiwania domu stałego dla Artura podchodziłam z coraz większą niechęcią. Nie dlatego, że tak mocno pokochałam kocura, by nie chcieć się z nim rozstać, ale dlatego, że moje działania nie przynosiły rezultatów: żadnych pytań o zwierzaka, zero zainteresowania, które, jak mi się zdawało, słusznie mu się należało. Choć mama powtarzała, że nie wypada tak zwierzęcia do siebie przywiązywać, żeby zaraz podawać je dalej jak przechodnią kurtkę dziecięcą, to ja byłam przekonana, że Artur równie dobrze czułby się w każdym innym domu, byle tylko w kocim towarzystwie. Nic nie wskazywało jednak na sukces: ogłaszanie zwierzaka tu i tam, robienie zdjęć mających oddać jego urok – nie skutkowało. Zajęło mi więc prawie rok zorientowanie się, dlaczego jedne ogłoszenia są mniej skuteczne, a inne przyciągają publiczność, choćby tylko kibi-

cującą.

Na początku miałam podejrzenie, że po prostu jest znacznie więcej bezdomnych kotów niż ludzi chętnych do opieki nad nimi. Podejrzenie bezspornie prawdziwe, jednak przewaga podaży nad popytem nie powoduje całkowitego zaniku popytu. Długo doszukiwałam się braku zainteresowania w tym, że Artur wygląda zwyczajnie, jest dorosły, nieco płochliwy i, ogólnie mówiąc, daleko mu do ideału słodkiego kociaka. Tymczasem zdarzało się, że koty o mniej sympatycznym usposobieniu, niekiedy poważnie chore lub sędziwe, cieszyły się większym wzięciem. Upatrywałam winy w nieprofesjonalnych zdjęciach, które robiłam Arturkowi, w częstotliwości i sposobie umieszczania ogłoszeń. Prawdy nie chciałam dostrzec, bo była gorzka – chodziło nie o formę, tylko o treść ogłoszenia. Nie potrafiłam zwierzaka „sprzedać”, bo opisywałam fakty, a nie uczucia. Nie apelowałam do sumień ani do wrażliwości czytelników anonsu, nie usiłowałam ani wzbudzić ich poczucia winy, ani wzruszyć, ani przestraszyć. Popęlniłam błąd, pozostając wierna sobie. Nie zebrałam publiczności rozkochanej w kotach, czytającej z chęcią każde słowo na temat ulubieńców, ale też nie odepchnęłam czułościowością ogłoszenia osób teoretycznie niechętnych adopcji. Za najważniejsze uważam niestraszenie potencjalnych obrońców zwierząt czy też ludzi, którym los czworonogów nie jest obojętny. Nie powinno się ich szantażować i zniesmaczać, przeciwnie – trzeba im zaimponować rzeczowym podejściem i perspektywicznymi działaniami.

Zamiast krzyczeć i błagać o litość nad jednym zwierzęciem, zwrócić uwagę na los wielu, nawiązać dyskusję, apelować o pomoc koncepcyjną, a nie materialną i jednorazową. Uważam, że warto oczyścić wizerunek środowiska, uczynić przynależność do niego nobilitującą, zamiast zawstydzającą.

Pogodziłam się z myślą, że mój pomysł na dom tymczasowy nie wypalił, że Artur u mnie zostanie, że Szara zmieniła się z „tymczasaki” w domownika i że nie jestem specjalistką od znajdowania domów stałych.

Mogłabym napisać w ogłoszeniu, że kot zaznał w swoim życiu wiele krzywd. Artur rzeczywiście urodził się w piwnicy, lecz jeszcze jako kocię został stamtąd zabrany i od tamtej pory żyje sobie wygodnie, zapewne zapomniawszy o piwnicy i chorobie. Mogłabym nadużyć wykrzykników, wielkich liter i emotikonów, ale taki styl komunikacji pozostawiam dzieciakom, którym sprawia to frajdę.

Osoba biorąca zwierzę pod opiekę pod wpływem emocjonalnego szantażu czuje się zapewne jak klient, który namówiony przez wyszkolonego akwizytora kupił coś dziwnego. O konsekwencjach nie ma co mówić, mogą okazać się wręcz tragiczne.

Dlatego nie napisałam w ogłoszeniu, że mojemu kotu jest źle, że czeka na stały dom. On na nic nie czeka, jest mu pysznie, ma koleżanki, ma ciepło, ma dwie pary rąk do głaskania. Jedynym argumentem za znalezieniem mu nowego domu jest to, że na jego miejsce mógłby przyjść inny kot, który nigdy nie zaznał ciepła ludzkich

kolan.

Artur to najprawdopodobniej ostatni tymczasowy lokator mojego domu, ale on nie czuje się obrażony tą etykietką. To stary dom i wszyscy mieszkamy w nim tylko tymczasowo.

Epilog

Życie uczy mnie, by zaufać przypadkom. Jeden z nich sprawił, że tymczasowy pobyt Artura w moim domu skończył się nieoczekiwanie.

W dniu, w którym składałam w redakcji rękopis tej książki, zadzwoniła Dorota. Zmarł jej kot. Pytała, czy nie wiem o jakichś kociętach do wzięcia. Nie wiedziałam. Wtedy okazało się, że była zdecydowana przygarnąć niekoniecznie kociątko. Mógł być kocurek, młody. Coś zaczęło mi świtać...

– A kojarzysz może mojego „tymczasowego” Artura? – powiedziałam nieśmiało i na pewno ciszej niż wszystkie poprzednie zdania. Nie wierzyłam we własną odwagę i w możliwość powodzenia. A jednak!

– Oczywiście. Nie sądziłam, że nadal jest do wzięcia.

Otóż to. Ogłoszenia wiszą tak długo, że odbiorcy dochodzą do wniosku, logicznego zresztą, iż kot już znalazł dom. Albo że dom tymczasowy nie zamierza się rozstawać z pupilem. Dlatego Dorota

wolała nie wyciągać Artura z kapelusza, a ja obawiałam się przedstawić ofertę. Wyobrażacie sobie analogiczną sytuację w sklepie? Sprzedawca trzyma coś pod ladą, tylko uszy wystają, a kupujący udaje, że wpadł się przywitać.

Opisałam Artura, jak umiałam najlepiej: uszy wielkie, łapy cztery, brzuch biały. Kochliwy i żarty. Jego zdjęcia popłynęły w stronę Doroty, a jej zachwyty w moją. Patrzyłam na Artura z większą niż dotychczas czułością, a wrażliwy na niewerbalny przekaz kot odwzajemniał się tym samym. Żegnałam się z nim prawie dwa tygodnie. Przez ten czas rozstałam się z każdym jego wąsem i każdym głośnym pomrukiem. Odprowadziłam go do nowego domu i zostawiłam bez sentymentów. Przywitano go z otwartymi ramionami, sercami i puszkami, a także z warczeniem innego kociego domownika, co zwiastowało ciekawą przyszłość.

– Ile Ośka ma lat? – zapytała z niepokojeni w głosie pani weterynarz.

– Dwa lub półtora – odpowiedziałam beztrąsko, ale głos musiał mi się zmienić gdzieś przy trzecim słowie na widok zmarszczonych brwi lekarki.

– Dziwne... – nie dokończyła, a ja, choć jeszcze nic złego nie pomyślałam, już sięgnęłam po koci test. Ciało zareagowało szybciej niż mózg.

Dwa dni wcześniej byłam w Ciachu i przyglądałam się kandydatom do domów tymczasowych: wielkiemu burasowi „z mordą w

poprzek”, jak określiła pani Ania, dwóm młodziakom, które wyjątkowo głośno żądały uwagi, całej bandzie dość nieufnych, choć niewątpliwie oswojonych kocurów i czarno-białej kotce, która wylądowała w moich ramionach. Na ten widok tutejsza pani weterynarz, której energia napędzała wszystkie kocie adopcje, nie posiadała się z oburzenia.

– Chciałabyś, żebym się cała ogumowała? – spytałam prowokująco.

– A i owszem – odpowiedziała. Była zmęczona i zrezygnowana. – Przenosisz bakterie i Bóg wie co z kota na kota, a ja mam potem robotę.

Tak, rękawiczki jednorazowe jej nie zadowalały, przynajmniej w sytuacji, gdy kotka tkwiła w moich objęciach.

Byłam zła. Nie wiedziałam, o co tyle hałasu. W końcu koty przebywają w jednym pomieszczeniu, nie licząc ciężko chorych w izolatce. Lekarka, równie niezadowolona, wyłuszczyła mi, że lepiej zapobiegać niż leczyć. W końcu dało mi to do myślenia. Czy na pewno zapobiegam chorobom zwierząt w moim domu tymczasowym? Żeby się upewnić, po dwóch dniach wybrałam się z moimi kotami na kontrolę. Najpierw z Osią.

Test, po który sięgnęłam, był testem zarazem na fiv, czyli koci aids, jak i na felv, czyli białaczkę. Kreska przy fiv na wyniku Osi była wyraźna. Widziałam ją, ale nie zarejestrowałam. Mózg z uporem wyświetlał okienko z błędnym zapisem pliku. Znowu ciało wy-

przedziło umysł: zrobiło mi się niedobrze, jednocześnie zimno i gorąco, ciemno przed oczami, w uszach szum. Czułam, że za moment zemdleję, lecz nie miałam pojęcia, skąd taka reakcja.

– Czego mam się spodziewać? – słyszałam, jak mówię. – Przecież to zdrowy kot. Zdrowy jak byk. – Czemu się tak tłumaczyłam?

– Teraz jest zdrowy, ale rokowania są nie najlepsze.

Nie, pomyślałam, stanowczo nie! I zapakowałam kota do transportera. Patrzył na mnie przestraszony, nierozumiejący. Jak ja sama.

Lekarka mówiła, lecz jej nie słuchałam. Kot jest zdrowy i kropka.

Zaniosłam Osię do domu.

Z wizyty u weterynarza z Szarą zapamiętałam tylko tyle, że kocica nie jest nosicielką.

Razem ze mną o Osię zamartwiali się wszyscy wokół, wszyscy, tylko nie ona. Kotka nie czuła się ani trochę gorzej niż przed testem na nosicielstwo. Powtórzyłam badanie inną metodą. Zrobiłam to ze względu na siebie. Musiałam się oswoić z myślą, że zdrowie mojej ulubienicy jest zagrożone. O tyle łatwiej przyszło mi to znosić, że nosicielstwo nie powoduje takiego spustoszenia w organizmie kotki jak choroba. Perspektywy na przyszłość nie wyglądały więc jednoznacznie źle. Prawdopodobieństwo, że Ośka przeżyje wiele lat lub kilka dni, było takie samo jak w wypadku każdego innego stwo-

rzenia: kota, psa, człowieka... Musiałam sobie poradzić z oczywistym, zdawałoby się, faktem, że tak czy owak ona pewnego dnia odejdzie, a ja nie zdołam temu przeszkodzić.

Bijatyki Artura i Osi, choć z pozoru zaciekle, były tylko zabawami, więc kocurek nie został narażony na kontakt z krwią, a co za tym idzie – z wirusem. Test w jego przypadku okazał się czystą formalnością.

Przed kilkoma tygodniami wydawało się, że mój dom już zawsze pełnić będzie funkcję tymczasowego domu dla Artura. A tu niespodziewanie kocur znalazł stałe miejsce, choroba Osi zaś udaremniła branie pod nasz dach następnych kotów. Raz, że byłoby to ryzykowne dla przybyszów, dwa, że Ósemka powinna żyć bez zbędnego stresu, z jakim niewątpliwie wiąże się poznawanie innych kotów, a także tęsknota za przygarniętym na trochę towarzyszem, gdy odchodzi on do domu stałego. Tak właśnie tęskniła za Arturem.

Niby wszystko zmieniło się diametralnie, ale naprawdę nie zmieniło się nic. Zamierzam pomagać kotom miejskim, rozpieszczać z mamy pomocą Oskę i Szarą. Przyszłość, oczywiście, jest niepewna. Tymczasem wszyscy mamy się dobrze.

Podziękowania

Dziękuję mojej nauczycielce z podstawówki, pani Lidii Skuzie, która pierwsza stwierdziła, że umiem pisać. Potwierdzali to potem moi przyjaciele Kamil Goździk i Kamil Kotwica, a nawet moja mama, która zna się na rzeczy, bo przeczytała parę tysięcy książek, z czego za „świetne” uznała tylko 151. Magda Kuflńska i Gośka Ruskowska namówiły mnie do pisania błoga, a Dorota Kozińska, przeczytawszy go, nie tylko potwierdziła moje przecucie, że powinnam jednak zabrać się do pisania na serio, ale ofiarowała mi swoją przyjaźń. Kolejną osobą, która obdarzyła mnie zaufaniem, był pan Adam Pluszka, pierwszy redaktor prowadzący tej pozycji.

Jestem im niezmiernie wdzięczna za mozolne wyciąganie mnie z szuflady. Mozolne, bo ja sama nie byłam tak pewna swego talentu i możliwości jak oni.

Do ról fikcyjnych fundacji i osób z nimi związanych pozowały mi prawdziwe organizacje i ludzie dla nich działający. Najbliższe memu sercu są Fundacja dla Zwierząt ARGOS i ośrodek Koteria, którego wolontariuszką nadal jestem. Koterii szefuje pani Anna Wypych, która pomagała mi odkryć wszystkie możliwe aspekty działania fundacji prozwierzęcej, umożliwiła mi kontakt z innymi organizacjami i spędziła ze mną tak dużo czasu, że wszystkie jej koty zaczęły traktować mnie jak członka rodziny. Fundacja Czarna Owca Pana Kota za pomocą Ogólnopolskiego Forum Fauna pokazała mi,

jak nowocześni mogą być działacze prozwierzęcy. Stowarzyszenie Empatia pomogło mi zrozumieć weganizm. Kociniec zaufał mi na tyle, by przekazać do mojego domu tymczasowego swego wychowanka Artura. Koci Świat dał się poznać od strony zagrody dla kóz. Katarzyna Popielczyk, weterynarz, zajmująca się moją czeredką, rozwiewała wątpliwości fachową radą.

Każdy wolontariusz Koterii służył mi wsparciem, ale szczególne podziękowania należą się Ewie Lenc, za jej zorganizowanie, serdeczność i absolutnie bezinteresowną pomoc, których nie odmawia nikomu – ani debiutującym pisarzom, ani bezdomnym kotom.

Spis treści

Rozdział pierwszy, w którym kichnęłam i porzuciłam bezsilność	1
Rozdział drugi, w którym odwiedziłam koci dom tymczasowy i założyłam własny	12
Rozdział trzeci, z którego można się dowiedzieć, skąd się wziął styropianowy kubek z kawą na śródmiejskim podwórku	35
Rozdział czwarty, w którym Szara popadła w niełaskę	43
Rozdział piąty, w którym nie dowiedziałam się, czemu nie powinno się używać słowa sterylizacja	63
Rozdział szósty, w którym cieszyłam się z oryginałów i martwiłam podróbkami ..	78
Rozdział siódmy, w którym zostałam mamą	95
Rozdział ósmy, w którym nauczyłam się myć zęby z kotem na kolanach	138
Rozdział dziewiąty, w którym Zoidberg nosi abażur	153
Rozdział dziesiąty, w którym mój dom tymczasowy się zapchał	175
Rozdział jedenasty, w którym nic nie jest czarne albo białe	189
Rozdział dwunasty, który nie odpowiada na pytanie, jaki jest kociarz	192
Rozdział trzynasty, w którym „prozwierzęcość” znaczy więcej niż doraźna pomoc	204
Rozdział czternasty, w którym Ośka położyła uszy po sobie	207

Rozdział piętnasty, w którym każdy chciałby mieć coś, czego mieć nie może	216
Rozdział szesnasty, w którym miałam wszystkie weekendy zajęte	219
Rozdział siedemnasty, w którym Ania spotkała Anię	231
Rozdział osiemnasty, w którym Szarej jest zimno	239
Rozdział dziewiętnasty, w którym nic się nie kończy	246
Epilog	249
Podziękowania	254